

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



1

(118) 2025

Jubileusz XXX-lecia Cracovia Leopoliś ♦ Karol Chlipalski
o swoim Ojcu ♦ Aleksandra Solarewicz o dziewczynce
z Kleparowa ♦ Poezja Anny Frajlich ♦ Anna Stengl o rodzinie
Hubertów ♦ Joanna Pacan-Świetlicka o Janie Kiepurze

I tak minęło 30 lat!

Pragnę podzielić się z Państwem radosną wiadomością. W tym roku nasz kwartalnik otrzymał dofinansowanie z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Dziękujemy bardzo! Wydamy zatem w roku 2025 – jak za dobrych czasów – cztery numery naszego pisma. Jest to dla nas szczególnie ważne, bowiem rok 2025 jest dla *Cracovia Leopoldis* jubileuszowy. Dlatego też znajda Państwo blok tekstów wspomnieniowych, które poświęcone są naszemu pismu, a skupiają się na osobie głównego inicjatora powstania *Cracovia Leopoldis* i jego wieloletniego redaktora naczelnego – Andrzeja Chlipalskiego. Przypominamy pierwszy tekst wstępny do numeru pierwszego z 1995 roku, ale i rozmowę, jaką miałem zaszczyt i przyjemność przeprowadzić z Andrzejem Chlipalskim w 2017 roku. Obszerne wspomnienie o swym ojcu napisał także Karol Chlipalski, który od pewnego czasu jest już naszym stałym autorem. Mam nadzieję, że przyjmie zaproszenie do grona redakcji.

Kraków lubi jubileusze! Zatem już teraz zapraszam wszystkich naszych Czytelników do Klubu Dziennikarzy Pod Gruszką Biblioteki Kraków 3 czerwca o godz. 16.00 na uroczyste spotkanie w związku z naszym jubileuszem 30-lecia istnienia. Spotkanie jubileuszowe możemy zorganizować dzięki wsparciu finansowemu Gminy Kraków. Bardzo dziękujemy Wydziałowi Kultury Urzędu Miasta Krakowa, pani dyrektor Jadwidze Żyrze, za pamięć o nas.

Materiały wspomnieniowe dotyczące naszego jubileuszu będziemy publikować zapewne przez cały rok 2025. Wiem, że swój tekst pisze pani Krystyna Stafińska. Jeśli mają Państwo swoje przemyślenia czy wspomnienia związane z kwartalnikiem *Cracovia Leopoldis* – zachęcam do podzielenia się nimi z nami.

Zapraszam też do lektury innych interesujących tekstów. Tradycyjnie już Franciszek Haber wiedzie nas kolejnymi ulicami Lwowa. Zapewne niedługo ukaże się jego książka, w której zawarte będą publikowane na naszych łamach teksty. Obiecujemy patronat medialny! Agnieszka Solarewicz opowiada o *Dziewczynce z Kleparowa*, a Anna Stengl snuje wspomnienia o swej rodzinie, która mieszkała na Podolu. Autorka ze Lwowa – Joanna Pacan-Swietlicka – pisze o operowym debiucie Jana Kiepy na deskach lwowskiej opery, od którego minęło 100 lat. Natomiast Michał Piekarski wspomina niezwykłego kompozytora lwowskiego – Andrzeja Nikodemowicza, który od 1980 roku mieszkał w Lublinie, a w tym roku obchodziłby setne urodziny. Karolina Grodziska przypomina toast Józefa Friedleina – prezydenta miasta Krakowa, wygłoszony z okazji odsłonięcia pomnika Jana III Sobieskiego we Lwowie. Antoni Wilgusiewicz pisze o pracy duszpasterskiej na terenie województwa katowickiego księży przybyłych z Kresów po 1945 roku. Wspominamy też zmarłego niedawno, mającego niezwykle zasługi dla Polaków żyjących na Kresach, profesora Zygmunta Kolendę. Miłośników poezji zapraszam na poetycką ucztę przy niezwykłej poezji Anny Frajlich, niedosłej lwowianki. Poetka urodziła się na zesłaniu, gdzie trafili ze Lwowa jej rodzice. Przypominamy też fragment książki *Lwów stary i wczorajszy* Franciszka Jaworskiego *W kawiarnianym dymie*. A na zakończenie wielkanocne potrawy proponują nam Jadwiga Sabadasz oraz Joanna Halaubrenner-Lisowska, która w zeszycie kucharskim swej mamy znalazła „przepis na ryby”. Życzę zatem dobrej i interesującej lektury!

Niezależnie od tego, czy uda się nam dotrzeć do Państwa domów na czas Wielkanocy, w imieniu redakcji *Cracovia Leopoldis*, naszego wydawcy Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz własnym życząc spokojną i radość w święta, ale i na cały dalszy letni czas, zapoczątkowany Zmartwychwstaniem Pańskim!

Janusz M. Paluch

Tak to się zaczęło...

Przed trzydziestu laty redaktor naczelny *Cracovia Leopolis* Andrzej Chlipalski, po zebraniu tekstów do pierwszego numeru, napisał pierwszy odredakcyjny wstępniak. W tym samym czasie Bohdan Prądyński – zaprzyjaźniony grafik, opracowywał layout naszego pisma. Pierwszego składu i łamania pisma dokonywałem osobiście i amatorsko – by było taniej. Przygotowany plik – na dużej dyskietce (czy ktoś takie jeszcze pamięta?), przekazaliśmy w mieszkaniu przy ul. Dietla profesjonalście – Jarosławowi Fallowi, który z naszym pismem związany jest do dzisiaj. W tekście redaktor naczelny zarysował koncepcję pisma. Możecie Państwo porównać, jakie były wówczas założenia programowe naszego pisma, tworzone w jakże odmiennych czasach...

Od redakcji

CRACOVIA-LEOPOLIS, Kraków i Lwów – sześć i pół wieku (a może więcej?) wzajemnych stosunków, wpływów, współpracy oraz niezwykle intensywnego przepływu ludzi i ich spraw, twórczości, aktywności na różnych polach, powiązań rodzinnych i towarzyskich – oto treści, które proponujemy Czytelnikom, oddając dziś w ich ręce nasze nowe pismo.

Kraków i Lwów współtworzyły bieg historii Polski, podobnie jak Warszawa, Wilno lub Poznań – punkt ciężkości kładł się raz tu, raz tam. Były zarazem wielkimi ośrodkami polskiej kultury – nauki, literatury, sztuki i cywilizacji. Nie ma wątpliwości, że Kraków jest nim nadal, a Lwów? Czytelnik sam udzieli sobie odpowiedzi na te pytania, jeżeli zechce zapoznać się z życiorysami wielu współczesnych wybitnych Polaków żyjących w Polsce i w diaspory.

Czy tylko Kraków i Lwów? Każdy wielki ośrodek czerpie soki z ziemi, dla której stanowi metropolię, ale zarazem tę ziemię intelektualnie użyźnia. Z jednej więc stro-



ny pradawna wiślańsko-krakowska Małopolska Zachodnia, z Tarnowem i Kielcami, Sączem i Podhalem, z drugiej szeroko rozumiana Małopolska Wschodnia, różnie w ciągu burzliwych dziejów nazywana – Ziemią Czerwieńską, województwem ruskim, Galicją Wschodnią – z Tarnopolem i Stanisławowem, Samborem i Drohobyczem, Żółkwią i Zbarażem. I jeszcze pośrodku: Przemyśl i Rzeszów, Sanok i Krosno. Tu Karpaty zachodnie z Tatrami i Góry Świętokrzyskie, Dunajec z Popradem, tam Karpaty wschodnie z Gorganami i Czarnohorą, Dniestr i Prut z Czeremoszem, a po środku San... Oto kopalnia tematów z przeszłości i teraźniejszości.

Także teraźniejszości, bowiem stosunki między Krakowem i Lwowem, między tą a tamtą stroną granicy, są nadspodziewanie bogate. Jesteśmy przekonani, że większość Polaków żyjących po tej stronie granicy nie zdaje sobie sprawy – po pierwsze: jak wygląda dzisiaj życie wieluset tysięcy Rodaków, których nie objęła ekspatriacja; po drugie: jak

duże zainteresowanie istnieje w Krakowie i w innych ośrodkach tego regionu dla tamtej Ziemi, jej historii, zabytków i krajobrazu, jak wiele czyni się nie tylko dla Polaków tam żyjących (co nie oznacza, że zawsze skutecznie, ale to już inna sprawa). Wszystko to jest godne zarejestrowania i spopularyzowania.

A więc pismo o Krakowie i Lwowie, dla krakowian i lwowian. Proszę pamiętać o tym uproszczeniu: mówiąc o Krakowie i Lwowie, myślimy zawsze o dwóch rozległych, historycznych regionach, które los dopiero przed 50 laty rozdzielił.

Tu wypada dopowiedzieć: nasze intencje nie są skierowane przeciw komukolwiek. Wierzmy, że tematy tutaj poruszane zainteresują nie tylko Polaków tu i tam, ale także tamtejszych i tutejszych Ukraińców, bo nasza historia – czy to się komu podoba czy nie – była wspólna, nasze kultury, a także rodziny przemieszane od wieków. Wspólnie przezwyciężamy tragiczną spuściznę II wojny światowej, dążymy do budowy nowej Europy, również w tej części kontynentu – Europy, w której granice staną się liniami umownymi, a prawo jednakowe dla wszystkich.

* * *

Co będzie w piśmie? Historia i teraźniejszość, te dwa uzupełniające się składniki jego zawartości. Podstawowe artykuły zamierzamy zawsze wiązać z aktualnymi wydarzeniami, rocznicami. W niniejszym, pierwszym numerze dr Leszek Podhorodecki daje zarys wielowiekowych kontaktów na linii Kraków–Lwów, wprowadzając niejako w problematykę naszego pisma. Z okazji 135. rocznicy urodzin Sługi Bożego Józefa Bilczewskiego, wielkiego arcybiskupa lwowskiego, urodzonego w Ziemi Krakowskiej i w Krakowie wykształconego, ks. Franciszek Płaczek omawia Jego życiorys i dzieło. Drogę w odwrotnym kierunku przemierzyła rodzina Noworolskich, słynnych cukierników krakowskich, których protoplasta przybył tu z Pokucia. Wywiad z panem Tadeuszem Noworolskim przedstawiamy w niniejszym numerze.

Dział Literacki będzie stałym składnikiem każdego numeru. Dzisiaj prezentujemy pierwszy odcinek cyklu opowiadań zna-

nej pisarki krakowskiej (lecz urodzonej we Lwowie) Barbary Czałczyńskiej. Ich treścią jest okres nauki w słynnej szkole ss. Niepokalanek w Jazłowcu. Nie zapominamy o poezji – dawnej i nowej, profesjonalnej i amatorskiej, czasem nieporadnej, lecz zawsze wzruszającej.

W każdym numerze zamierzamy przypomnieć szczególną osobę związaną z jednym i drugim miastem, z jednym i drugim regionem. Ileż ich w każdej epoce, także dzisiejszej!

Małopolska Wschodnia, tak bliska i tak daleka zarazem, staje się z biegiem lat ziemią mało znaną. Młodzi Polacy niewiele wiedzą nawet o Lwowie, o jego historii i znaczeniu, cóż więc mówić o setkach mniej ważnych miast i miejscowości, krain, gór, rzek. Mało kto potrafi dziś umiejscowić nazwy znane z historii, literatury. Postanowiliśmy pomóc naszym Czytelnikom i wprowadzić tu słownik geograficzno-historyczny, wyjaśniający przynajmniej część haseł spotykanych w artykułach kolejnych numerów.

Czasy obecne znajdują swoje odbicie w trzech działach. Pierwszy z nich, to wiadomości „z tamtej strony”: wydarzenia, problemy, działania.

Ważne i interesujące będą wiadomości o wysiłkach podejmowanych w Krakowie i innych miastach małopolskich na rzecz Polaków we Lwowie i tamtych trzech województwach. O działaniach różnorodnych: wysyłce darów, pomocy dla organizacji i instytucji polskich, dla szkolnictwa, dla ratowania zabytków. Będziemy te fakty skrętnie notować.

Inną dziedziną, świadczącą o wielkim zainteresowaniu „sprawami wschodnimi” w Krakowie, jest obfitość poświęconych im studiów, sesji, wydawnictw, prelekcji, wystaw i najrozmaitszych imprez. Będziemy je również dokładnie notować, omawiać, recenzować.

Takie są nasze plany. Czy uda się je zrealizować – czas pokaże. Nad poziomem pisma, doborem i jakością tekstów będzie czuwać Rada Redakcyjna, złożona z osób kompetentnych. Wielu znakomitych autorów już zadeklarowało z nami współpracę. Do pełnego szczęścia potrzebni są jeszcze Czytelnicy – o czym z nadzieją powiadamia

Redakcja

Nasza krótka historia

Byla późna jesień 1989 roku. Akademicki Chór ORGANUM pod dykcją prof. Bogusława Grzybka pojechał do Lwowa, odwiedzając po drodze Żółkiew, Sambor i związane z Aleksandrem Fredrą Rudki. I choć był to jeszcze czas Adwentu, chór podczas koncertów śpiewał koledy Polakom w lwowskiej katedrze rzymskokatolickiej i kościele pod wezwaniem św. Jana Chrzyciela w Samborze. Oprócz zespołu do uczestnictwa w wyjeździe zaproszonych zostało kilka osób, które Lwów odwiedziły po raz pierwszy od czasów dzieciństwa, kiedy wraz z rodzicami wypędzeni zostali ze Lwowa, z rodzinnych domów i mieszkań. Wśród uczestników był też ówczesny zastępca dyrektora Wydziału Kultury Urzędu Miasta Krakowa Stanisław Dziedzic oraz Andrzej Chlipalski, współzałożyciel powstającego w tamtym czasie w Krakowie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Zdarzyło się, iż przy jednym z posiłków – na stołówce Politechniki Lwowskiej – usia-

dłem przy stoliku ze Stanisławem Dziedzicem i Andrzejem Chlipalskim. Opowiadaliśmy o swych wrażeniach z wędrówek po Lwowie, wtedy szaroburego i zaniedbanego miasta, wzruszających rozmów ze spotykanymi Polakami. To wówczas zrodził się pomysł powołania do życia w Krakowie pisma poświęconego Kresom. Materializacja tego zamierzenia trwała kilka lat, bowiem pierwszy numer *Cracovia Leopoldis* ukazał się dopiero w 1995 r. Redaktorem naczelnym został Andrzej Chlipalski (1931–2019).

Założenia i cele programowe kwartalnika *Cracovia Leopoldis* w chwili jego powstania były jasne, przejrzyste i oczywiste: uświadamianie Polakom, że kilkadziesiąt lat temu we Lwowie, na Kresach, była Polska. Tam przecież biło serce Polski; przypomnienie, jak wiele Polska zawdzięcza Polakom pochodzącym z Kresów; opisywanie życia Polaków współcześnie żyjących we Lwowie i na Kresach Południowo-Wschodnich.

Skąd wziął się taki tytuł? Propozycji było co najmniej kilka. Tytuł miał być oryginalny,



Spotkanie redakcji w Klubie „Zaulek”. Od lewej siedzą: Janusz M. Paluch, Barbara Czałczyńska, Maria Taszycka, Andrzej Olszewski, Andrzej Chlipalski, Krystyna Stafińska. Nad redakcją czuwa, stojąc, Barbara Kościak



Kolegium redakcyjne w pomieszczeniach dawnego Śródmiejskiego Ośrodka Kultury w Krakowie (24 stycznia 2007 r.). Fot. 1 – siedzą od lewej: Danuta Trylska-Siekańska, Ireneusz Kasprzyśki, stoi Roma Machowska, Krystyna Stafińska, stoi Barbara Szumska, Andrzej Chlipalski. Fot. 2 – Barbara Szumska i Marta Walczewska. Fotografie wykonał Janusz M. Paluch

nawiązujący oczywiście do Kresów, Lwowa, ale i Krakowa, by *expressis verbis* podkreślać związki naszych miast na przestrzeni wieków, nie tylko okresu zwanego powszechnie Galicją. Autorem pomysłu był oczywiście Andrzej Chlipalski, zapisana po łacinie nazwa miała być nie tyle oryginalna, ale przede wszystkim nieprzetłumaczalna.

Stronę graficzną kwartalnika opracował krakus pochodzący z Warszawy i zaprzyjaźniony z Andrzejem Chlipalskim Bohdan Prądyński (1930–2000), artysta plastyk, grafik. Przez lata w redakcji pracowali: pisarka i tłumaczka z języka francuskiego, pochodząca ze Lwowa, Barbara Czałczyńska (1929–

2015), dziennikarz krakowski Adam Żarnowski (1925–1997), pochodzący ze Lwowa prof. Andrzej Olszewski (1930–2005), urodzona we Lwowie dr Maria Taszycka (1934–2015), urodzona w Przemyślanach Romana Link-Machowska (1925–2015), Barbara Kościć z Zamościa, redaktor Ireneusz Kasprzyśki rodem z Sambora, związana z Tarnopolem Anna Madej (1948–2021), Danuta Siekańska-Trylska (1935–2018) z Krzemieńca, Barbara Szumska (1939–2019) związana ze Lwowem, Krystyna Stafińska urodzona w Stanisławowie, Anna Stengl pochodząca z Krakowa. W ostatnim czasie zaproszenie do grona redakcyjnego przyjęli: posiadający lwowskie korzenie Antoni Wilgusiewicz z Katowic, także młodzi autorzy z Krakowa: Natalia Tarkowska – historyk, Paweł Brzegowy – geograf i historyk nauki; z Wrocławia Aleksandra Solarewicz; z Warszawy: Michał Piekarski – muzykolog, i Jarosław Krasnodębski – historyk. Od roku 2017 redaktorem naczelnym pisma jest Janusz M. Paluch.

Od 2018 roku działa też Rada Programowa kwartalnika *Cracovia Leopoldis* w składzie: dr Karolina Grodziska, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, ks. prof. Józef Wołczański – wybitny znawca historii i współczesności Kościoła rzymskokatolickiego na Kresach, i Kamil Woźniak – prezes zarządu OK TMLiKPW.

Nasze pismo od pierwszego numeru przygotowywane jest do druku i drukowane przez krakowskie wydawnictwo FALL, kierowane przez dra Jarosława Falla.

Myszę, że nikt nie spodziewał się wówczas, iż *Cracovia Leopoldis* będzie obecna na rynku wydawniczym tak długo.

Andrzej Chlipalski w Radiu Kraków podczas audycji promującej kwartalnik *Cracovia Leopoldis* (25 maja 2014). Fot. Janusz M. Paluch

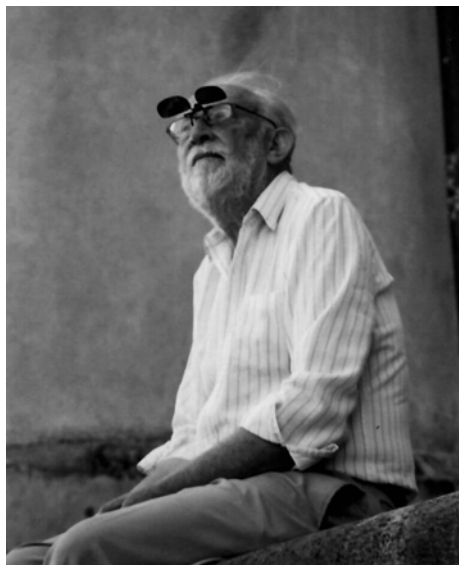


Strażnik pamięci – wspomnienie o moim Ojcu

Mówi się, że człowiek przechowuje swoje wspomnienia w postaci obrazów. Gdy zostałem poproszony o napisanie wspomnienia o moim Ojcu, starałem się wywołać z pamięci wspomnienia-obrazy Taty, pokazujące go w charakterystycznej pozie, oddającego się charakterystycznej czynności, itp. Oczywiście w mojej głowie pojawiło się ich wiele z różnych etapów mojego życia, w końcu przeżyłem w Jego cieniu ponad pół wieku, ale skupiłem się na tych najpóźniejszych. Spośród nich przemówił do mnie najmocniej obraz następujący: Tato siedzi na kanapie w dużym pokoju swojego mieszkania, ma założoną nogę na nogę, na kolanie zaś trzyma swoją ulubioną tekturkę, a na niej kartki z odzysku, i pisze, pisze, i pisze, a potem przekreśla część tego, co napisał, w bardzo charakterystyczny dla siebie sposób: obwodzi część napisanego tekstu prostokątną ramką zbudowaną z mocnych, architektonicznych kresek, a następnie zawartość ramki kreśli na krzyż ukośnymi, równie mocnymi liniami.

Co wówczas pisał? Teksty do *Cracovii Leopoldis* oczywiście. Pisał zawsze odręcznie, a następnie – w ostatnich kilku latach swojej aktywności – przepisywał na komputerze, do którego miał stosunek ambivalentny. Z jednej strony komputer ułatwiał Mu pracę, co Tato doceniał. Z drugiej – jako człowiek starej daty (*et fier de l'êrte*), wstydził się zbytniej poufalości z jednym z – pożyczmy frazę od innego lwowianina z Jego generacji – „aroganckich przedmiotów / bez wdzięku / imienia / przeszłości”. Dystans do komputera powodował, że byłem systematycznie wyzywany do otwierania na Jego komputerze folderów o nazwach odpowiadających kolejnym numerom *CL*, a następnie plików, których pustka dopiero później miała się wypełnić treścią artykułów.

Po tym wstępnym ćwiczeniu z pamięci zorientowałem się, że moje zadanie nie będzie proste. Nie jest łatwo napisać wspomnienie o własnym ojcu. Nie wiem, czy nabrałem już wystarczającego dystansu, aby poszczególnym wydarzeniom, których byłem świadkiem bądź o których słyszałem w ro-



Tato na jednej z wycieczek zagranicznych; lata 2000. Może Turcja? Oprócz Kresów Południowo-Wschodnich Ojca fascynowała historia Bizancjum

dzinnym gronie, przypisać odpowiednie znaczenie, trudno jest też z całą konsekwencją odsiać te mniej ważne. Ale z drugiej strony, wiem, że napisanie wspomnienia o Ojcu to wielka szansa dla syna, który chce uporządkować swoją wiedzę i uzupełnić własną pamięć. A oto ta próba:

* * *

Mój Ojciec, Andrzej Chlipalski, urodził się 10 maja 1931 roku we Lwowie. Jego rodzicami byli Tadeusz Chlipalski, absolwent Politechniki Lwowskiej, wówczas zatrudniony w firmie prof. Eliasza Zielskiego¹ specjalizującej się w projektowaniu instalacji grzewczych i wentylacyjnych, i Danuta (Elżbieta) z Łukowskich, filolog-romanistka. Oboje urodzili się jako poddani cesarza Franciszka Józefa I na terenach, które później, po II wojnie światowej, zostaną zagarnięte przez Związek Sowiecki: Babcia przyszła na

¹ Po II wojnie drogi mojego Dziadka i prof. Eliasza Zielskiego znowu się przetną, bowiem prof. Zielski ściągnął Dziadka na Politechnikę Śląską, na której Tadeusz Chlipalski pracował do emerytury.

świat w Gródku Jagiellońskim, a Dziadek – w Delatynie, niewielkiej miejscowości na Pokuciu, gdzie jego ojciec był przez pewien czas nadleśniczym. Zresztą trójka spośród czwórki dziadków mojego Ojca również urodziła się w Małopolsce Wschodniej: w Żółkwi, Zadwórzu i Nadwórnej. Jedynie dziadek po mieczu, po którym noszę imię, urodził się w Wieliczce, ale od początku swojej kariery zawodowej mieszkał na wschód od dzisiejszej granicy polsko-ukraińskiej (zaczynał od Starzawy nad Strwiążem, kilka kilometrów za Krościenkiem). Uważam ten fakt za wart odnotowania, gdyż – moim zdaniem – pozwala lepiej uświadomić sobie, do jakiego stopnia moi dziadkowie i pradiadkowie byli ludźmi Stamtąd – na Kresach żyli niemal wszyscy członkowie rodziny, znajomi i znajomi znajomych.

Rok urodzenia mojego Ojca był trzecim z kolei rokiem Wielkiego Kryzysu i ten fakt miał niebawem przynieść zmianę w życiu Tadeusza Chlipalskiego i jego rodziny. Dziadek przyjął posadę państwową – nauczyciela w szkole przemysłowej w dalekim Bielsku za rzeką Białą – i wówczas cała rodzina przeniosła się na Śląsk. Długo jednak w zawodzie nauczycielskim Dziadkowi nie pozwolił wytrwać temperament. Jego pasją było szybownictwo, które zaczął uprawiać w czasie studiów na Politechnice Lwowskiej. W 1935 roku, podążając za tą pasją, wziął udział w tworzeniu warsztatów szybowcowych w Bielsku i objął w nich funkcję kierownika. W tym samym czasie urodził się (Babcia jedzie na poród do Lwowa) młodszy brat mojego Ojca – Jan. Warsztaty – jak wnioskuję – były dobrze zarządzane, a Dziadek zyskał sobie opinię sprawnego menedżera i otrzymał ofertę pracy w charakterze dyrektora Lwowskich Zakładów Lotniczych.

I tak w czasie wakacji w 1938 roku rodzina wróciła do Lwowa i zamieszkała w wynajętym od lwowskiego lekarza pochodzenia żydowskiego dr. Ehrlicha mieszkaniu przy ulicy Nabelaka 35. Tato 1 września rozpoczął naukę w II klasie w szkole powszechnej im. św. Marii Magdaleny przy ulicy Potockiego. Spokojne lwowskie życie trwało jednak tylko rok. Dokładnie 12 miesięcy później, po wakacjach spędzonych w Worochcie, wybuchła wojna i nic już nie miało być jak dawniej.

* * *

Dziadek Tadeusz, jako przedstawiciel „przemysłu strategicznego”, został zmobilizowany i we wrześniu 1939 roku ewakuowany wraz z kierowaną przez siebie firmą i sprzętem do Rumunii. Tak opisywał to Tato:

W kilka dni po wybuchu wojny [ojciec] otrzymał nakaz wywiezienia w kierunku wschodnim urzędów i fachowców. Wyjazd nastąpił w dniu 11 września. Punkt zborny wyznaczono na samym końcu ulicy Nabelaka, gdzie po lewej stronie (na rogu ulicy Strzały) rosły duże, rozłożyste drzewa. Pod tymi drzewami ustawily się załadowane już ciężarówki (ukryte na wypadek nalotu) i tutaj dosiadła część ludzi, w tym mój ojciec, a także jego brat Jan, prokurator, który obawiał się represji w przypadku zajęcia Lwowa przez Niemców². Pod tymi drzewami pożegnaliśmy się z ojcem, jak sądziliśmy – na krótko.

Tymczasem rozłąka trwała lat prawie osiem. Mój Dziadek z Rumunii trafił do Paryża. Na przełomie czerwca i lipca 1940 r. brał udział w wielkim exodusie paryżan uciekających przed wojskami niemieckimi na południe³; następnie z Port-Vendres statkiem przez Casablankę dotarł do Anglii, gdzie spędził kolejne lata.

* * *

Ale wróćmy do Lwowa AD 1939. Tato wraz ze swoją mamą i młodszym bratem przeprowadzili się na ul. Kadecką 28, gdzie mieszkała Jego Babcia po kądzieli, Janina z Sochaniewiczów Łukowska, i jej niezamężna córka – młodsza siostra mojej Babci – Alina. Mieszkanie to stało się domem mojego

² Wydaje mi się, że Jan Chlipalski (starszy) obawiał się bardziej sowietów, gdyż oskarżał w jakiejś sprawie przeciwko komunistom (co wiem od jego syna Adama) i Tato popełnił tu przejęzyczenie, ale może jest coś, czego ja nie wiem.

³ Opisy i refleksje, które były bardzo bliskie jego opowieściom, odnalazłem w *Szkicach piórkiem* Andrzeja Bobkowskiego, które przeczytałem po raz pierwszy w 1997 roku kilka miesięcy po śmierci Dziadka. Niestety za późno, by w większych szczegółach skonfrontować te dwie opowieści. Skądinąd wiem, że Dziadek zetknął się z Bobkowskim w Paryżu, ale nie wiem, czy czytał jego pamiętnik. Raczej wątpię.

Tato na szybowcu ze swoimi rodzicami. Najprawdopodobniej Golezów k. Ustronia w Beskidzie Śląskim; ok. 1935

Ojca na następne cztery i pół roku, a zarazem ostatnim Jego lwowskim adresem.

Okres okupacji był oczywiście czasem obfitym w wydarzenia, a także pełnym traum i ciężkich przeżyć, których nie sposób tu wymieniać, należy jednak wspomnieć o kilku sprawach, które niewątpliwie wywarły na mojego Ojca wpływ do końca życia. Najważniejszą z nich była wywózka Jego – mieszkających po sąsiedzku, przy Kosynierskiej 7 – dziadków (Anieli i Karola Chlipalskich) oraz kuzynów (Adama i Pawła Chlipalskich) i ich mamy do Kazachstanu. Wprawdzie wszystkim udało się przeżyć wojnę i wydostać z „nieludzkiej ziemi”, ale w przypadku stryjostwa mojego ojca raz rozłączone małżeństwo (stryj Jan przebywał w ołagru we Francji) nigdy się później nie skleiło z powrotem, a kuzyni mojego Ojca całe życie spędzili na obczyźnie i tam zmarli – Adam w Montrealu, Paweł w Londynie. „Wojna zabijała nie tylko fizycznie” – tak Tato spuentował historię rodziny swojego stryja we wspomnieniu napisanym pół wieku później. Być może jest to oczywistość dla osób, które przeżyły wojnę, ale my, późniejsze pokolenia, nie zawsze sobie zdajemy z tego sprawę.

Kolejną rzeczą, która wpisała się w Jego pamięć, były strzały, jakie obudziły Go nad ranem 4 lipca 1941 roku. Kilkaśmet metrów od mieszkania, w którym mocno spał, Niemcy właśnie dokonali mordu na 22 polskich profesorach, o czym wyrwany ze snu Tato dowiedział się później.

I trzecia sprawa sięgająca swoimi korzeniami lat okupacyjnych, która jak bułmerang powróciła pod koniec Jego życia. W pewnym momencie Tato stał się regularnym klientem zakładu introligatorskiego przy ulicy Mazowieckiej. Wcześniej oddawał do oprawy różne książki, ale raczej takie, które bezpośrednio łączyły się z Jego zainteresowaniami. Ewentualnie te, które były obiektywnie cenne. Tym razem jednak jako pierwsze otrzymały nową szatę książeczek dla dzieci, które zabrał ze Lwowa w 1944 roku. Początkowo myślałem, że jest to związane z urodzeniem się mojego syna – Tadzika, który w przyszłości miałby się stać ich czytelnikiem. Dziś myślę, że pojawienie się Tadzika było raczej pretekstem. Chodziło o coś więcej, chyba o to, żeby prze-



chować historię, która wywoływała w moim Ojcu zawsze głębokie poruszenie, ilekroć ją później opowiadał. Otóż w jakiś czas po wejściu Niemców do Lwowa na Kadecką przyszła krewna wspomnianego już dr. Ehrlicha, od którego moi dziadkowie wynajmowali mieszkanie przed wybuchem wojny. Miała ze sobą dwie siatki wypakowane książkami. Ze łzami w oczach wręczyła je mojemu Ojcu, mówiąc, że dotychczasowej właścicielce, córce dr. Ehrlicha (imienia dziewczynki nie zapamiętałem⁴), „już się nie przydadzą”...

* * *

Historia lat wojennych nie byłaby pełna, gdybym nie wspomniał o edukacji Taty.

⁴ Próbuując odnaleźć jakieś ślady po dr. Ehrlichu, w zasobach internetu natrafiłem na wspomnienie o prof. Stanisławie Ehrlichu, znanym prawniku, po wojnie szefie katedry Teorii Państwa i Prawa na Uniwersytecie Warszawskim. We wspomnieniu jest przytoczona inskrypcja na grobie jego rodziny znajdującym się w Przemysłu: „Klara Ehrlich (matka Profesora), dr Juliusz Ehrlich (brat), Barbara Ehrlich (bratowa), Jannina Ehrlich (ich córka), Dorota Ehrlich-Citron (siostra ojca), dr Olga Ehrlich-Citron (kuzynka) – ulegli zagładzie bez wieści. Umęczeni, zrzućeni do dołu, spoczęli bezimienni w masowym grobie, 1942”. Być może więc książki stojące dziś na półce w pokoju mojego syna należały do Janki Ehrlich, córki Juliusza i Klary...



Tato (po prawej) zapatrzonej w dal w autobusie PKS; lata 50.

Jak już wyżej napisałem, uczęszczał On do szkoły św. Marii Magdaleny. Rok szkolny 1939/40 upłynął pod znakiem zmian i bałaganu. Pierwszą zasadniczą zmianą było to, że lekcje rozpoczynały się o godzinie 9:00 czasu... moskiewskiego (!), czyli o lwowskiej siódmej. Oddajmy głos Tacie:

Także inne porządki sowieckie wprowadzono. W mojej przedwojennej klasie II byli chłopcy z roku 1930 i 1931 i analogicznie w klasie I – z r. 1931 i 1932. Sowietci „uporządkowali” nas latami. Ja, urodzony w 1931, „zostałem” w klasie II, starsi poszli do III, a do nas doszłusowali ci z dawnej I. Powtarzałem więc klasę z powodów „politycznych”.

Przy tej okazji pojawił się na pewien czas w klasie mojego Ojca młodszy kolega z innej szkoły – Wojciech Kilar.

W czasie okupacji niemieckiej poniechano sowieckich eksperymentów organizacyjnych, ale zawężono jednocześnie program nauczania, Babcia postanowiła więc wysłać Tatę na tajne komplety. Nie będę jednak rozwijał tego tematu, bo wspomnienie o tym okresie Jego życia ukazało się w *CL* nr 1/2017.

Na okupację przypadł u mojego ojca czas, w którym kształtuje się osobowość

młodego człowieka, jego światopogląd, co z kolei będzie wpływało na wybory, jakich będzie dokonywał w późniejszym życiu. Zazwyczaj dzieje się to pod wpływem otoczenia, osób, które szczególnie mocno umieją trafić do umysłu, a także i do serca nastolatka. Kto wówczas odegrał taką rolę w przypadku mojego Ojca? Na to pytanie nie jest mi łatwo odpowiedzieć. Tato nie był osobą, która lubiłaby się otwierać wobec innych, a tym bardziej wobec własnego syna – wobec niego należało trzymać zdrowy dystans i nie nawiązywać zbyt „partnerskich” relacji. Wydaje mi się, że tę rolę w przypadku mojego ojca odegrała jego Babcia – Janina Łukowska. Z nią w czasie okupacji spędzał najwięcej czasu, gdy Jego mama i ciocia pracowały. Wiem, że zabierała Go wszędzie ze sobą, na zakupy, w odwiedziny do znajomych itp., a po drodze snuła opowieści ze swojego życia. I tak stworzyłem sobie w wyobraźni obraz starszej pani oraz dwunastoletniego chłopca w przykusej jesionce wędrujących przez Lwów i zatopionych w rozmowie o czasach, gdy po ulicach jeździły powozy, a nie niemieckie pojazdy wojskowe. Wiele z tych wędrowek prowadziło do pałacu Bielskich przy ul. Kopernika.

Prababcia, którą ojciec odumartw w dzieciństwie, wychowywała się w Bursztynie u swoich dziadków – Grzegorza i Pauliny Sochaniewiczów (nie wiem, co robiła wówczas jej mama, Sabina z domu Csillik, nie wiem, przypuszczam, że przebywała we Lwowie (?), zajmując się wychowaniem syna – Stefana⁵, a może po prostu już nie żyła). Mój praprapradziadek był zarządcą bursztyńskich dóbr książąt Jabłonowskich i, jak rozumiem, zaufanym księcia. Świadczyć o tym może fakt, że zasiadał przez jakiś czas, w zastępstwie ks. Jabłonowskiego, w radzie powiatu rohatyńskiego jako radny wybrany w tzw. I kurii – wielkiej własności ziemskiej⁶. Tak się złożyło, że moja prababcia była rówieśnicą córki księstwa – Eleonory, z którą przez całe późniejsze życie łączyła ją serdeczna przyjaźń. Prababcia, spędzając wiele czasu z księżniczką Jabłonowską (później-

⁵ Stefan Sochaniewicz (1891–1917) był dobrane zapowiadającym się historykiem, którego błyskotliwą karierę przerwała przedwczesna śmierć.

⁶ Informację tę znalazłem w *Szematyzmie Królestwa Galicji...* z r. 1873.

szą hr. Bielską), obserwowała z bliska życie „wyższych sfer”, była wtajemniczona w ich rodzinne historie, parantele, anegdoty itp. Te historie, a także wizyty w pałacu zapewne często stanowiły treść rozmów toczonych pomiędzy babcią a wnukiem.

Dobre pamiętam wnętrza pałacu. Na wprost głównego wejścia we wnęce na stole stała srebrna waza, wypełniona biletami wizytowymi gości (byłem zbyt mały, by docenić dobór nazwisk). Na lewo otwierał się widok na hol ze schodami, wznoszącymi się na I piętro. Nad nimi wisiała ogromna skóra niedźwiedzia ze szczerzącą zębów głową w dół, a wokół niej dziesiątki wspaniałych poroży [...]. Na I p. było kilka salonów – można było biegać wokół, włączając w to podest klatki schodowej (sprawdziłem to po kilkudziesięciu latach). W pokojach było mnóstwo ciężkich mebli, dywanów i obrazów, ale nie potrafiłem ich wtedy ocenić [...] – pisał Tato w *Cracovia Leopoldi* (nr 3/1999).

Opowieści Prababci, a także wizyty w pałacu Bielskich we Lwowie, musiały poruszać jakąś czułą strunę w duszy mojego ojca. Nie miało to nic wspólnego z zachwytem nad życiem „wyższych sfer” i snobizmem. Z czasem Tato zorientuje się, że miał przywilej widzenia czegoś, co właśnie odchodziło bezpowrotnie w przeszłość, i że to nakłada na niego pewnego rodzaju zobowiązanie: nie pozwolić, aby przeszłość została pochłonięta przez niepamięć. Jak o tym myślę, przychodzi mi do głowy historia innego młodego kresowianina, który spędziwszy wakacje w pałacyku Ordów w Nowoszybach na Polesiu, postanowił poświęcić życie dokumentacji świata, który miał niebawem zniknąć. Roman Aftanazy, bo o nim tu mowa, był nieco starszy, był studentem historii sztuki na UJK i podjął się tego zadania od razu. W przypadku Taty miał jeszcze upłynąć jakiś czas, zanim zasiane w nim ziarno w pałacu Bielskich wzeszło.

* * *

Drugich sowietów rodzina mojego Ojca postanowiła nie czekać we Lwowie. Nigdy nie dowiedziałem się, do jakiego stopnia Prababcia z córkami były świadome tego, co miało nastąpić po powtórным wejściu Armii Czerwonej do miasta nad Pełtwią.

Wielu lwowiaków jeszcze długo nie chciało przyjąć do wiadomości, jakie decyzje już zapadły wśród aliantów. Prababcia i Babcia w każdym razie nie miały złudzeń i zdecydowały się na wyjazd. Wpływ na tę decyzję miała też propozycja pp. Henne – niemieckiej rodziny dokwaterowanej do mieszkania Prababci – co do pomocy w przeprowadzce do Krakowa. Henne, oficer zaopatrzeniowiec w Wehrmachcie, i jego żona byli nastawieni życzliwie do Polaków, a nawet mieli rodzaj poczucia winy, o czym dyskretnie dawali znać przez cały okres wspólnego zamieszkiwania⁷. Prababcia i Babcia z dwoma synami wsiadły więc do służbowego samochodu niemieckiego i ruszyły na zachód. Młodsza siostra mojej Babci została we Lwowie pilnować dobytku. Oddajmy głos mojemu Ojcu:

Wyjechaliśmy 6 maja 1944 roku. Mijaliśmy dymiące jeszcze po nocnych bombardowaniach ruiny kamienicy na ul. Leona Sapiehy i ludzi grzebiących w gruzach w poszukiwaniu resztek swojego dobytku. Gdzieś przed Gródkiem Jagiellońskim minęła nas kolumna pędzących samochodów, na jednym z nich czerwieniło się od generalskich lampasów. Ktoś potem objaśnił, że to Himmler wracał z frontu wschodniego. Noc spędziliśmy w jakimś domu noclegowym w Przemyślu. Nazajutrz dotarliśmy do Wieliczki. Trzy dni później skończyłem 13 lat.

* * *

I tak rozpoczął się nowy rozdział w życiu mojego Ojca. Na początku była Wieliczka. Tam też zastało Go „wyzwolenie”; wraz z wieloma innymi wieliczczanami schronił się w podziemiach kościoła Reformatów, gdy przez miasto przechodził front. Tuż po wojnie skończył szkołę powszechną w Wieliczce i rozpoczął naukę w tamtejszym gimnazjum. Po jakimś czasie moja Babcia zdecydowała o przeniesieniu Go do szkoły do Krakowa. I tak trafia do III (dziś II) Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Jana III Sobieskiego.

⁷ Prababcia korespondowała później z p. Henne. Ostatni list, jaki od niej otrzymała, informował o tym, że jej mąż został zastrzelony przez Polaków wracających z pracy przymusowej – niemal w identycznych okolicznościach jak ta opisana przez L. Kruczkowskiego w *Pierwszym dniu wolności*.

W 1947 roku wraca z Anglii Jego ojciec. Stało się to po tym, jak nie powiodła się próba ściągnięcia rodziny do Anglii. Babcia, Tato i jego brat Janek mieli opuścić Polskę w transporcie organizowanym przez tzw. Białego Kapitana z fałszywymi francuskimi paszportami. Tato miał wrytą na pamięć fałszywą historię swojego życia, po francusku oczywiście. Na dzień przed wyjazdem Biały Kapitan wpadł – z jednej strony był to pech, ale z drugiej Pan Bóg czuwał: Babcię, Tatę i Stryja Janka ominęło aresztowanie (w przeciwieństwie m.in. do Wiesława Chrzanowskiego, późniejszego marszałka Sejmu, który miał jechać tym samym transportem)⁸. I w ten oto sposób nie zostaliśmy Kanadyjczykami⁹.

Po nieudanej próbie wyciągnięcia rodziny z Polski Dziadzio Tadeusz, jak się już rzekło, wraca do kraju. O dalszej karierze w przemyśle lotniczym nie ma mowy. Postanowił więc wrócić do swojego pierwszego zawodu – projektanta urządzeń grzewczych. Niemal natychmiast po powrocie otrzymuje zlecenie zaprojektowania nowej instalacji centralnego ogrzewania w Zamku Królewskim i – co istotne dla późniejszego życia mojego Ojca – otrzymuje mieszkanie służbowe na wawelskim wzgórzu. Tato, w tym czasie licealista, dostaje od swojego ojca fuchę – ma policzyć żeberka grzejników CO we wszystkich pomieszczeniach zamku i w innych zabudowaniach na wzgórzu wawelskim. Odtąd chodzi po komnatach, także tych, które są zamknięte dla publiczności; odwiedza pracownie konserwatorów, obserwuje archeologów przy pracy; kto wie, może też zagląda do sal wykładowych Wydziału Architektury Akademii Górniczej, które mieszczą się na Wawelu?

⁸ Chrzanowski opisuje sprawę Białego Kapitana w wywiadzie-rzecz przeprowadzonym przez P. Miereckiego i B. Kiernickiego pt. *Pół wieku polityki, czyli rzecz o obronie czynnej*, Warszawa 1997, str. 163–164.

⁹ Dziadzio miał już wtedy w kieszeni angaż – najprawdopodobniej – przy pracach nad stworzeniem kanadyjskiego myśliciela Avro Arrow, przy którym zatrudnionych było wielu Polaków pilotów i inżynierów ściągniętych z Anglii. Dość powiedzieć, że w trójce pilotów doświadczalnych wyselekcjonowanych do odbycia pierwszego lotu testowego było dwóch Polaków. Ostatecznie za sterami usiadł Janusz Żurakowski.

Maturę Tato zdaje w 1949 r. i zostaje studentem Wydziału Architektury AGH. Za interesowania jego w dużym stopniu kręca się wokół historii architektury, którą poznaje doskonale, czego nie udaje mu się niestety przekuć w karierę naukową. Ale nawet po latach Jego wiedza robi wrażenie. Bodajże w 1963 roku Tato pojechał po raz pierwszy do Rzymu na wycieczkę autokarową. Po wjeździe do Wiecznego Miasta kierowca zgubił się. Tato siada obok kierowcy i prowadzi go do hotelu, w którym był wyznaczony nocleg, bo zna plan miasta na pamięć. Sukces jest jednak połowiczny. W podręcznikach do historii sztuki i architektury nie było ani słowa o tym, które ulice są jedno-, a które dwukierunkowe.

W tym miejscu warto przytoczyć jeszcze jedno wydarzenie z jego czasów studenckich, które miało niewątpliwie wpływ formacyjny na mojego Ojca. Dwaj koledzy z klasy równoległej w Liceum Sobieskiego – Marek Kubliński i Bohdan Różycki – założyli jeszcze w 1947 roku organizację podziemną, której celem dalekosieżnym było wyswobodzenie Polski z sowieckiej niewoli, jako pierwsze zadanie wyznaczili sobie zaś uwolnienie ojca Bohdana więzionego na UB. Do tego potrzebna była broń, którą postanowili pozyskiwać poprzez rozbrajanie milicjantów. Podczas jednej z takich akcji, 22 września 1950 r., wywiązała się strzelanina na Rynku. Tato i jego przyjaciel Bogdan Michalski, spacerujący po ulicy Sławkowskiej, byli przypadkowymi świadkami ucieczki młodych spiskowców. Wuj Boguś (tak zwracałem się wiele lat później do kolegi Taty) miał rozpoznać w uciekającym młodym człowieku Marka Kublińskiego. Rozbrajanie milicjantów skończyło się tragicznie. Milicja po kilku godzinach dopadła Różyckiego w podwórku kamienicy przy ulicy Kazimierza Wielkiego, gdzie poważnie ranny, nie chcąc oddać się w ręce milicjantów, strzelił sobie w skroń. Kublińskiego aresztowano kilka dni później, po czym postawiono przed sądem i skazano na śmierć. Wyrok został wykonany 15 czerwca tego samego roku¹⁰.

¹⁰ Wydarzenia te uwiecznił w powieści *Mała matura* (Marginesy 2010), a następnie w filmie pt. *Mała matura 1947* Janusz Majewski. Znany reżyser przesunął opisywane tu wydarzenia na rok 1947. Na marginesie chciałbym dodać, że z Januszem Majewskim Tato przeszedł całą

Studia Tato ukończył w 1955 roku (Jego alma mater to Politechnika Krakowska, bowiem Wydział Architektury ostatecznie został włączony do tej nowo powstałej uczelni). Jeszcze przed złożeniem dyplomu pracował w Biurze Projektów Służby Zdrowia, w którym pozostał przez 35 lat. BPSZ było filią warszawskiego przedsiębiorstwa zajmującego się projektowaniem szpitali, przychodni, ośrodków zdrowia itp. Tato szybko dał się poznać jako zdolny projektant. Grał ważną rolę w zespole, który w 1959 roku wygrał konkurs na projekt zespołu szpitali afiliowanych przy Akademii Medycznej w dzielnicy Prokocim; projekt ten niestety nie doczekał się realizacji. Ale od tego momentu Tato stopniowo awansuje w strukturze biura, zostając w końcu głównym projektantem. Nie chcę zamęczać pp. Czytelników *Cracovia Leopoldis* szczegółami dotyczącymi architektonicznej kariery mojego Ojca; powiem tylko, że brał udział, a następnie kierował zespołami, które stworzyły projekty Szpitala Górniczego w Tychach, Górniczego Centrum Rehabilitacji Leczniczej w Reptach Śląskich, Szpitala Reumatologiczno-Rehabilitacyjnego w Ustroniu, Szpitala Dziecięcego w Dąbrowie Górniczej. Ale Tato był aktywny zawodowo nie tylko na Śląsku i w Zagłębiu, w Krakowie, który zostanie Jego drugim domem – zaprojektował m.in. Centrum Dializ Akademii Medycznej, był także współautorem projektu Szpitala Pediatricznego zbudowanego przez Amerykanów; spod Jego ręki wyszedł projekt rozbudowy i modernizacji szpitala w Bochni. Oprócz szpitali zaprojektował dziesiątki ośrodków zdrowia, przychodni, centrów rehabilitacji i innych obiektów medycznych.

Oczywiście nie tylko praca zawodowa zajmowała Go w tych latach. Tato prowadził relatywnie bogate życie towarzyskie, uczył się języków i – w miarę skromnych możliwości, na jakie pozwalała socjalistyczna rzeczywistość – podróżował. Jako dobrze ułożony młody człowiek był zapraszany na



Tato na skuterze, Białka Tatrzańska; 1961. W latach 60. środkiem lokomocji, jakiego Tato używał do podróży, był skuter marki lambretta. Jeździł na nim nawet na delegacje, np. na Śląsk

bale tzw. bezetów¹¹, gdzie nawiązał kilka znajomości, które przetrwały wiele lat. W tym samym towarzystwie jeździł konno, eskapady wierzchem wiodły go nieraz z Woli Justowskiej aż po tereny, które obecnie zajmuje Rondo Mogiłskie. Trudne to dziś do wyobrażenia...

Dobrym duchem, który wówczas wprowadzał Tatę na „salony” i polecał licznyemu znajomym, była Jego nauczycielka angielskiego, pani Adela Duninowa. „Pani Adzia” mieszkała wraz ze swoją siostrzenicą, „panią Wisią”, czyli Jadwigą Horodyską (znaną rzeźbiarką, której dzieła znajdują się m.in. w katedrze ormiańskiej we Lwowie), w skromnym mieszkanku mieszczącym się na parterze w pałacu Czartoryskich. Pani Duninowa uczyła wiele osób, w tym pewnego księdza, który właśnie przygotowywał habilitację i chciał podszkolić swój angielski, by móc czytać literaturę naukową w tym języku. Ksiądz nazywał się Karol Wojtyła. Tato został poproszony, aby dołączyć do tych lekcji, bowiem nawet starszej pani nie godziło się wówczas spędzać czasu sam na sam z dorosłym mężczyzną, nawet jeśli ów był księdzem. Tak więc co tydzień w środę wieczorem przez kilka lat odbywały się lekcje, na których najczęściej czytano Mertona w oryginale, zgodnie z życzeniem księdza, o którym Pani Duninowa powiedziała kiedyś do mojego Ojca: „Zobacz pan, on kiedyś

swoją edukacyjną drogę, od szkoły św. Marii Magdaleny we Lwowie, przez LO im. Sobieskiego, aż po dyplom na Wydziale Architektury PK.

¹¹ Bezet – „bez ziemi” – osoba pozbawiona majątku ziemskiego w wyniku II wojny światowej i reformy rolnej 1944 roku.

daleko zajdzie...” Po latach Tato zadawał sobie pytanie, co mogła mieć wówczas na myśli Pani Adzia, mówiąc „daleko zajdzie”...

Gdy Książd awansował w hierarchii kościelnej, nie miał już czasu na lekcje, więc stały kontakt się urwał, jednak Tato, mieszkając na Wawelu, wpadał na Niego od czasu do czasu, gdy ten przemieszczał się z Franciszkańskiej do katedry albo z powrotem. Wtedy, nie widząc obrączki na palcu mojego Taty, nieodmiennie pytał: „Panie Andrzeju, kiedy Pan się wreszcie ożeni?”. I to w końcu musiało nastąpić.

W 1965 roku Tato pojechał na wycieczkę na Krym, w której niezależnie wzięła udział również młoda lekarka – Hanna Ostrowska. Co ważne (niewątpliwie dla mojego Ojca), Jej rodzina przez kilka pokoleń mieszkała na Kresach, ale tych dalszych – mój dziadek po kądzieli urodził się w Kijowie, babcia zaś w Maniewiczach na Wołyniu. Dziadkowie Hanny Ostrowskiej mieli sklep na Kreschatyku i dom letni w Irpieniu (tym samym, w którym żołnierze rosyjscy w marcu 2022 roku dokonali rzezi). Przyszła rewolucja – Ostrowscy stracili wszystko. Przeżyli kolejne fale terroru, jakie towarzyszyły przechodzeniu Kijowa z rąk do rąk – Niemców, Skoropadskiego, Białych, Petłurówców, Bolszewików, itp., udało im się jednak przyjechać (wrócić?) do Polski. Nawet nie wiem dokładnie kiedy i jak. Czy z Polakami w 1920 roku, czy wcześniej? Trauma związana z terrorem bolszewickim spowodowała, że w domu Ostrowskich tych czasów nie wspomniano przy córkach. W rok po wycieczce na Krym Hanna Ostrowska wyszła za mąż za mojego Ojca w kościele ss. Wizytek na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, a kilka miesięcy później przeprowadziła się do Krakowa. Ja urodziłem się dwa lata po ślubie, a trzy po wycieczce na Krym.

* * *

Ale cofnijmy się w czasie o dekadę, może o półtorej. Po rozpoczęciu pracy zawodowej mojemu ojcu powodziło się nieźle jak na lata 50. i 60. Mógł sobie pozwolić na wydatki wykraczające poza pierwsze potrzeby: skupował starocie, w tym stare meble. I znów w tym działaniu dopatruję się głębszego niż tylko estetycznego celu. Tato chciał w ten sposób zrekompensować rodzinne straty

– dom Pradziadków Chlipalskich padł ofiarą szabru natychmiast po tym, jak sowietci zabrali ich w kwietniu 1940 roku i wywieźli do Kazachstanu – i odtworzyć nić „między dawnymi i młodszymi laty”. Myślę, że chciał żyć w takim otoczeniu, jakby wojenna katastrofa nigdy się nie wydarzyła. Wydaje mi się, że mu się to udało: nieraz gdy odwiedzali mnie koledzy szkolni, po wejściu do największego pokoju w mieszkaniu moich rodziców rozdziawiali szeroko usta i pytali, czy oto właśnie weszli do muzeum.

Tato jednak zdecydowanie odżegnywał się od ambicji artystycznych, podśmiewał się z niektórych kolegów po fachu, uważających się za następców Le Corbusiera. Tak naprawdę jednak sam był artystą, choć na użytek prywatny. Jego artystyzm przejawiał się w umiejętności aranżacji przestrzeni, zestawiania ze sobą kolorów, stylów, itp. W pewnym okresie swojego życia dobrze się też czuł w towarzystwie artystów, choć sam był daleki od bohemy w sensie stylu życia. W pewnym momencie najbliższymi przyjaciółmi Rodziców stali się: Wanda Czelkowska, swojego czasu znana rzeźbiarka (której gwiazda znów zaczyna świecić jaśniejszym światłem), uczennica Xawerego Dunikowskiego, i jej mąż, Bohdan Prądyński, plakacista, grafik, zajmujący się przede wszystkim oprawą graficzną wydawnictw i imprez kulturalnych (pierwotna – wciąż aktualna (!) – makieta kwartalnika *Cracovia Leopoldis* była jego dziełem). Pani Wanda i pan Bohdan mieszkali przez lata w jednym, ale za to wielkim pokoju przy ulicy Karmelickiej (w mieszkaniu niegdyś należącym do Xawerego Dunikowskiego) i prowadzili dom otwarty. Bywał u nich świątek artystyczno-literacki, nie tylko Krakowa zresztą: Wanda Warska, Jerzy Kurylewicz, Jonasz Stern, Jerzy Panek, Jacek Waltoś i wielu innych.

W wielkim pokoju przy Karmelickiej 27 Tato poznał także pisarkę p. Basię Czalczyńską, której felietony później będą otwierały przez lata kolejne numery *CL*, a która także prowadziła coś w rodzaju salonu. U Pani Basi na Karłowicza Rodzice z kolei stykali się z Kornelem Filipowiczem, Władawą Szymborską, Ewą Lipską i innymi znanymi ludźmi pióra.

Warto tu dodać, że na przełomie lat 80. i 90. Tato zaczął się czuć coraz bardziej obco w towarzystwie skupionym wokół Pani

Wandy. Coś pękło, coś się skończyło. Świat i Polska się zmieniały, co miało wpływ na „odmrożenie” sporów politycznych, które wcześniej, w latach 70. i 80., zdawały się tracić na mocy. Tato był uformowany w zdecydowanie innym duchu niż wiele osób z tego towarzystwa, czuł się niekomfortowo, a zapewne on też denerwował swoim pryncypialnym podejściem do pojęć i symboli, które przez to towarzystwo były traktowane jako „archaiczne”. Powodem wielu niesnasek był też Lwów i jego status.

Portret mojego Ojca w czasach późnej komuny byłby niepełny, gdybym nie wspomniał o Porębie. W tej gorczańskiej wsi Rodzice w drugiej połowie lat 70. wybudowali (według projektu Taty) domek letni, który stanie się ulubionym refugium mojego Ojca. Spędzał tam każdą wolną chwilę, przeważnie zajmując się ogrodem. Szczególnie wiele uwagi poświęcał ogródkowi skalnemu, przy którym spędzał długie godziny, dobierając i sadząc rośliny i tworząc z nich przemyślane kompozycje. W późniejszych latach Tato czas w Porębie dzielił na ogród i pisanie i redagowanie tekstów do *Cracovia Leopoldis*. Tam wywiózł znaczną część swojej bogatej biblioteki leopolitanów i archiwum, którego w miesiącach zimowych bardzo mu brakowało.

* * *

Najlepsze lata w pracy zawodowej mojego Ojca jako projektanta dobiegają końca wraz z dekadą gierkowską. Na początku lat 80. kryzys w PRL jest na tyle głęboki, że władza ludowa zaczyna oszczędzać na wszystkim, również na inwestycjach w obiekty służby zdrowia, a praca Taty staje się coraz bardziej frustrująca. Jasnym punktem w tych latach były jego wyjazdy do Syrii, gdzie był konsultantem przy projektowaniu i budowie szpitala. Tato nigdy nie zdecydował się na dłuższy pobyt w tym kraju, ciężko znosząc upały tam panujące, ale swoje kilkutygodniowe wyjazdy wykorzystywał na dogłębne zwiedzanie tego starożytnego kraju.

W połowie lat 80., a może nieco później, władza ludowa srożąc się na wszelkie przejawy opozycyjności poluzowała w jednej kwestii – „godzenie w sojusze” poprzez mówienie o Kresach przestało być tak mocno tępione. Gdzieniegdzie zaczynają się tworzyć

pierwsze grupki zbierające się, aby wspominać ziemię rodzinną, uzupełniać swoją wiedzę o Kresach i przekazywać ją młodszemu. Początkowo spotkania kresowiaków mają charakter półkonspiracyjny, później coraz bardziej wychodzą na powierzchnię. Pojawiają się pierwsze wydawnictwa.

I w ten sposób zaczął się nowy okres w życiu mojego Ojca.

Nie oznacza to oczywiście, że dopiero wtedy Tato przypomina sobie o rodzinnym mieście. Pamiętał o nim i tęsknił od momentu, gdy w czerwcu 1944 roku wysiadł z auta p. Henne w Wieliczce. Przez wszystkie te lata Lwów pozostał dla Niego rajem utraconym. Tato już dużo wcześniej kompletował wyszperane w antykwariatach wydawnictwa poświęcone Lwowowi i Kresom Wschodnim, które w końcu złożyły się na sporą i cenną bibliotekę uzupełnianą do końca życia. W latach 70. ściągał nielegalnie z Zachodu kolejne numery kwartalnika *Lwów i Kresy*, wydawanego przez londyńskie Koło Lwowian. W ten „proceder” zaangażowana była m.in. siostra mojej Mamy, mieszkająca w Paryżu. Lwów i Kresy Południowo-Wschodnie były stale obecne w rozmowach zarówno w domu, jak i ze znajomymi Stamtąd. Tylko raz przed upadkiem sowieckiego imperium udało się Tacie wyjechać do Lwowa, a miało to miejsce we wczesnych latach 70. Pamiętam ten wyjazd, gdyż Tato przywiózł mi dość toporny (nie miało to wpływu na mój zachwyt) sowiecki samochód na pedały, którym jeździłem po długim korytarzu w naszym wawelskim mieszkaniu. Jego wrażeń z tamtego wyjazdu nie pamiętam, bo byłem za mały. Musiały być przygnębiające.

W drugiej połowie lat 80. Tato bierze już udział w spotkaniach lwowskich organizowanych m.in. w podziemiach klasztoru oo. Dominikanów pod życzliwą opieką o. Adama Studzińskiego. Równocześnie współtworzy grupkę towarzyską, która spotyka się regularnie w mieszkaniach i rozmawia o sprawach lwowskich. U nas w domu bywają: pp. Lucyna Twardowska, Barbara Czałczyńska, prof. Andrzej Olszewski, historyk sztuki, przyjaciel Taty jeszcze z czasów szkolnych we Lwowie. Z biegiem czasu dochodzą kolejne osoby stanowiące otąd grupkę najbliższych znajomych mojego Taty.

Grupek takich wówczas powstaje więcej w całej Polsce, przychodzi więc czas na

połączenie sił i – gdy okazuje się to możliwe – na formalne zatwierdzenie ich działalności, co następuje we Wrocławiu w 1988 roku, a w Krakowie, z czynnym udziałem mojego Ojca, z początkiem roku następnego. Tak powstaje Towarzystwo Miłośników Lwowa (człon nazwy „i Kresów Południowo-Wschodnich” zostaje dodany później). Nie ma raczej sensu, abym przedstawiał w tym miejscu historię TMLiKWP, zostawiam to innym, którzy znają ją lepiej, podobnie jak dzieje kwartalnika *Cracovia Leopoldis*. Chciałbym się jednak podzielić refleksją bardziej ogólną na temat tego ostatniego okresu działalności mojego Ojca, który trwał mniej więcej przez ostatnie 30 lat jego życia. Gdy Tato zaczyna działać w TMLiKWP, ostatecznie – jak mi się wydaje – wzrasta ziarno posiane niemal pół wieku wcześniej w czasie Jego wędrówek z Babcią po Lwowie. Wtedy łączą się wszystkie kropki, pod którymi ukrywały się: wrażliwość na sztukę, zainteresowanie historią architektury, zamiłowanie do literatury pamiętnikarskiej, przywiązanie do przeszłości Lwowa i okolic i ogromna pracowitość. Wtedy też ostatecznie krystalizuje się jego powołanie: nie pozwolić, aby przeszłość odeszła zapomniana, żeby przechować ją w rozmowach, prelekcjach, publikacjach, itp. Wierzył, że dopóki przeszłość będzie trwała w naszej pamięci, dopóty ludzie ją zamieszkujący nie umrą całkowicie. Tak jak dotąd żyje pamięć o małej Ehrlichównie w książkach stojących na półce w pokoju mojego syna.

I na koniec chciałbym się uderzyć w pierś: wspomnienie o moim Ojcu pewnie byłoby pełniejsze, gdybym potrafił lepiej wykorzystać czas, gdy Tato był obok mnie. Wtedy byłem zbyt zajęty swoim życiem, a poza tym wydawało mi się, że stan ówczesny będzie trwać w nieskończoność, że zawsze będę miał czas z nim porozmawiać. On, jako człowiek zajmujący się przez wiele lat przywracaniem pamięci o ludziach, sprawach i rzeczach, które odeszły w przeszłość, zdawał sobie sprawę z tego, że czas nie stoi i nie czeka. A wiedział to – jak się okazuje – od dawna. Porządkując Jego papiery, znalazłem brudnopisy listów do mnie, tego „mnie” w przyszłości, w których objaśniał mi koligacje rodzinne i wspominał osoby, które miał szansę poznać dawno temu. Listy te były datowane na...1984 rok.

Z ANDRZEJEM CHLIPALSKIM

rozmawia Janusz M. Paluch



Andrzej Chlipalski, fot. Adam Dyndowicz

Przypominamy rozmowę z redaktorem Andrzejem Chlipalskim, która przeprowadzona została w 2017 roku. Ukazała się drukiem na łamach kwartalnika *Cracovia Leopoldis* nr 2(87)/2017 (s. 34–41). Andrzej Chlipalski był inicjatorem założenia pisma oraz jego redaktorem naczelnym w latach 1995–2016.

Mieszkasz w tych „krakowskich stronach” od 1944 roku. Czy pamiętasz, jak przyjmowano was, ludzi wypędzonych z Kresów, pozbawionych niemal z dnia na dzień dorobku życia? W końcu niewielu udało się wywieźć ze sobą meble, wyposażenie domów, książki etc. Nie ukrywam, że z relacji pisemnych i ustnych nie wygląda to korzystnie dla krakowian, którzy z uprzedzeniami i chłodem, z moralnego przymusu, przyjmowali ekspatriantów... Powodowało to, że niektórzy kresowianie, jeśli tylko mogli i nadarzyła się im korzystna sytuacja, uciekali czym prędzej z Krakowa, najchętniej do Wrocławia...

Przyjechaliśmy ze Lwowa do Wieliczki jeszcze podczas okupacji niemieckiej. Rzeczywiście nie zawsze było miło. Mnie na szczęście nie dotknęły te różne przykrości, bo zajechaliśmy do bliskiej i kochanej cioci Stasi Smrokowskiej. Miałem 13 lat. Przez dwa lata chodziłem do szkoły w Wieliczce, a potem już w Krakowie do Gimnazjum i Liceum im. Jana III Sobieskiego. Po trzech latach, w 1949 roku, była matura, a potem studia architektoniczne na Politechnice Krakowskiej.

We Lwowie zostało twoje dotychczasowe środowisko koleżeńskie, ale tu zyskałeś nowe, ze szkoły średniej i ze studiów.

Teoretycznie tak, ale co zabawne, przyjaciela towarzyszącego mi przez większość życia – Bogdana Michalskiego, poznałem... w schronie, w piwnicach klasztoru oo. Reformatów w Wieliczce, bo tam ukryliśmy się – jak setki wieliczkan – w nocy, gdy sowieci wypierali Niemców z tych okolic.

Wracając jednak do środowiska koleżeńskiego, muszę się przyznać, że przyjaźni i bliższych znajomości szukałem raczej poza szkołami, w środowiskach towarzyskich czy związanych ze szczególnymi zainteresowaniami, które podzielałem. Do takich zaliczam przede wszystkim problematykę tzw. miłośnictwa Lwowa i w ogóle problematykę kresową. Te sprawy z czasem pochłonęły mnie bez reszty i trwają do dziś – inaczej mówiąc – do końca życia.

Chyba wszystko w twoim życiu ogniskuje się wokół Lwowa i Kresów. Nie sądziłem jednak, że także już wtedy, w czasach szkolnych. Skupmy się jeszcze na chwilę na tamtych latach. Opowiadałeś kiedyś o nauce języka angielskiego. Dzisiaj to nic nadzwyczajnego, ale w latach 40. XX wieku w szkołach nie uczono tego języka.

Poradzono mi drogą prywatną panią Adelę Duninową ze Lwowa, choć była rodem ziemianką z za Zbrucza. Świetnie знаła kilka języków i uczyła ich. Zacząłem więc uczęszczać do niej na lekcje, które odbywały się w ponurych izdebkach na dole gmachu Muzeum Czarotoryskich, na rogu ulic Piarskiej i św. Jana. Po pewnym czasie dołączył do nas okresowo ksiądz z pobliskiego kościoła św. Floriana, Karol Wojtyła, który pisał pracę naukową i potrzebował pomocy językowej w angielskiej i francuskiej literaturze. Ja pozostawałem na jego lekcjach jako „przyzwoitka”. Po lekcji Księdza odbywała się zawsze pyszna kolacja, przygotowywana przez panią Wisię, czyli Jadwigę Horodyską, znakomitą artystkę-rzeźbiarkę, siostrzenicę pani Adzi Duninowej i jej współmieszkanek. Ksiądz mówił do pani Wisi żartobliwie: *la cuoca* (kucharka). Na te kolacje przychodziło coraz więcej osób, głównie

z wyższych sfer, w większości z naszych, wschodnich stron.

W tamtym czasie pojawiła się w Krakowie, przybyła z Rumunii, bratanica pani Horodyskiej, Kinga, dla swoich – Kinia. Rodzina pochodziła z powiatu czortkowskiego, a po wybuchu wojny i wejściu sowieców jej ojciec został zabrany i zamordowany. Wtedy razem z matką uciekły do Rumunii. Tam Kinia zaczęła chodzić do szkoły, ale matka niespodziewanie umarła. Kinia zaopiekowała się wtedy protektorka szkoły, księżna Carra-gea, wywodząca się z rodu niegdyś cesarza bizantyjskich. Kiedy po II wojnie światowej komunistyczne władze Rumunii nakazały wszystkim obcokrajowcom opuszczenie kraju, Kinia też musiała wyjechać. I w ten sposób – po pałacu w Bukareszcie (gdzie tańczyła nawet z królem) znalazła się w Krakowie, w strasznym mieszkaniu ciotek. Konieczne wtedy okazało się zapisanie Kini do szkoły z internatem ss. Urszulanek na ulicy Starowiśnej. Zdała tam z czasem maturę i z powrotem zamieszkała u pani Wisi Horodyskiej, która – po niemałych trudach – wystarała się o dodatkowy pokój. Kinia prowadziła bogate życie towarzyskie. Znalazłem się w tej grupie osób obok m.in. Marysi de Geringer i kilkorga innych z tzw. dobrych rodzin, bo innych panie by nie akceptowały. Oczywiście przyszły studia i nasza grupa się rozleciała. Nie chce mi się wierzyć, że tych osób już nie ma wśród żyjących, mimo że byli młodszy ode mnie.

Po jakimś czasie nasze panie zostały wyproszone z budynku Muzeum Czarotoryskich



Kartka pocztowa wydana z okazji jubileuszu Szkoły Marii Magdaleny (ze zbiorów A. Chłipalskiego)



i przeniesione do mieszkania przy ul. Basztowej. Kinia wyszła niebawem za mąż – ślubu udzielał jej biskup Wojtyła. Małżeństwo ze Staszkiem Wołkowickim nie było jednak udane, prędko się rozpadło. Po niewielu latach oboje zeszedł z tego świata.

Ale to są sprawy całkiem prywatne, choć warto od czasu do czasu o nich wspomnieć.

Nie mówiłeś dotąd o swojej pracy zawodowej.

Na początku naszej rozmowy wspominałem o wstąpieniu na Wydział Architektury na Politechnice Krakowskiej. Studiowałem w latach 1949–1955 i jeszcze przed dyplomem związałem się z powstającym wtedy w Krakowie oddziałem warszawskiego Biura Projektów Służby Zdrowia. Przez wiele lat zaprojektowałem – w większości na Śląsku – szpitale, przychodnie, ośrodki rehabilitacji. Niestety te najważniejsze – krakowski szpital wojewódzki w Wieliczce i pawilony Akademii Medycznej – nie doszły do skutku, bo wtedy nastąpił upadek tego typu inwestycji, pozostały mi do dziś stosy papieru. Nie mogę nie wspomnieć, że w latach 1984–1988 jeździłem siedmiokrotnie na delegacje do Syrii, gdzie pomagałem w projektowaniu szpitali. Potem jeszcze przez parę lat pracowaliśmy z Alkiem Chodakiem oraz gronem inżynierów i techników; nasze nowe biuro nazwaliśmy „Hospides”. Niestety dłużej się nie dało, z inwestorami było marnie. Ale właśnie wtedy nastał dla mnie czas emerytury i wciągnęła mnie bez reszty tematyka lwowska.

Wspominałeś już o miłośnictwie Lwowa, o problematyce kresowej. Rok 1989 dla Kresowian w Polsce jest o tyle ważny, że w końcu można było zwrócić się ku utraconym Ziemiom.

Tak, we Wrocławiu powołano wtedy do życia, w 1988 roku, Towarzystwo Miłośników

Lwowa. Potem nazwa została rozszerzona na Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Ale w skrócie mówimy: TML. A kiedy we Wrocławiu związało się TML, to niebawem jego oddziały powstawały – jak grzyby po deszczu – w całej Polsce. Oczywiście także w Krakowie. To był rok 1989. Włączyłem się do pracy przy tworzeniu naszego krakowskiego oddziału, poznałem dziesiątki lwowiaków, tarnopolan, stanisławowian oraz wołyńnian. Aktywnym członkiem w naszym towarzystwie był wówczas Janusz Orkisz. Prowadził nasze zebrania bardzo profesjonalnie. Zaproponował wtedy kandydaturę prof. Jerzego Kowalczuka na prezesa naszego Towarzystwa. Sam nie chciałem kandydować. W takiej sytuacji prof. Kowalczuk został wybrany na pierwszego prezesa Oddziału Krakowskiego TMLiKPW, a ja zostałem wiceprezesem. Współpraca naszego oddziału z Zarządem Głównym była wtedy bardzo intensywna. Kiedy we Wrocławiu prezesem ZG została pani Danuta Nespiak, mnie uczyniono również wiceprezesem. Szybko zrezygnowałem z tej funkcji. Ale to wtedy wystąpiłem z propozycją powołania do życia Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich. Niestety ta inicjatywa, mimo szerokiego poparcia ze strony członków oraz dość licznych prób podejmowanych w różnych ośrodkach, dotąd nie doczekała się realizacji. A środowisko Kresowian przecież tak szybko odchodzi!

Co działo się w środowisku Kresowian wcześniej, bo nie uwierzę, że przed 1989 rokiem nie spotykaliście się, nie rozmawialiście o Lwowie i Kresach...

Rzeczywiście takie spotkania miały miejsce, nawet zanim powstał TMLiKPW. Gdzie się odbywały? Kolejno w kilku miejscach – najważniejsze były w podziemiach klasztoru oo. Dominikanów, a to dzięki o. Adamowi Studzińskiemu. Jednak tymi, którzy od początku to wszystko ożywiali, byli pan Stanisław Wasiuczyński i pani prof. Janina Winowska. Wcześniej spotykaliśmy się u Adwokatów na Sławkowskiej albo w jakimś biurze na Szewskiej, obok mieszkania naszej członkini, pani Teresy Wilkowej *de domo* Kondolewicz, siostrzenicy Szczepcia. To były takie kameralne spotkania. O tych sprawach pisaliśmy już na łamach *Cracovia Leopolis*.

Ale skąd się takie grupy spotkaniowe brały?

To byli przeważnie znajomi lwowiaczy, którzy ściągali swoich znajomych i krewnych, i tak powiększała się ta grupa.

Czy to były już spotkania tematyczne, z prelekcjami?

Na początku były to spontaniczne spotkania, podczas których opowiadaliśmy sobie nawzajem a to własne historie albo relacje z wyjazdów do Lwowa, a to znowu jakieś tematy, które nas zajmowały. W końcu zaczęliśmy do tych spotkań podchodzić bardziej poważnie i wreszcie nadszedł czas, że postanowiliśmy je sformalizować i wzbogacać je także różnymi imprezami.

Co było pierwsze?

Pierwsza, w 1994 r., była wystawa książek zatytułowana „Lwów i Kresy Południowo-Wschodnie w kolekcjach zbieraczy lwowskich”. Skorzystaliśmy wtedy z książek zgromadzonych w Bibliotece Jagiellońskiej. Podczas naszego zebrania założycielskiego w 1989 r. wygłosiłem referat programowy naszego Towarzystwa. Zakreśliłem w nim ramy programu, czym będziemy się zajmowali i co w Krakowie będziemy robić.

W ten sposób wszedłem więc na drogę działalności organizacyjno-twórczej. Przez następne lata – do czasu całkowitego poświęcenia się redakcji kwartalnika *Cracovia Leopoli* (były to więc lata 1989–1995) – współtworzyłem lub tworzyłem najrozmaitsze przedsięwzięcia i imprezy związane ze Lwowem, jego historią i kulturą. Ale także całą Małopolską Wschodnią.

Jakie najważniejsze innowacje organizacyjne wprowadzałeś?

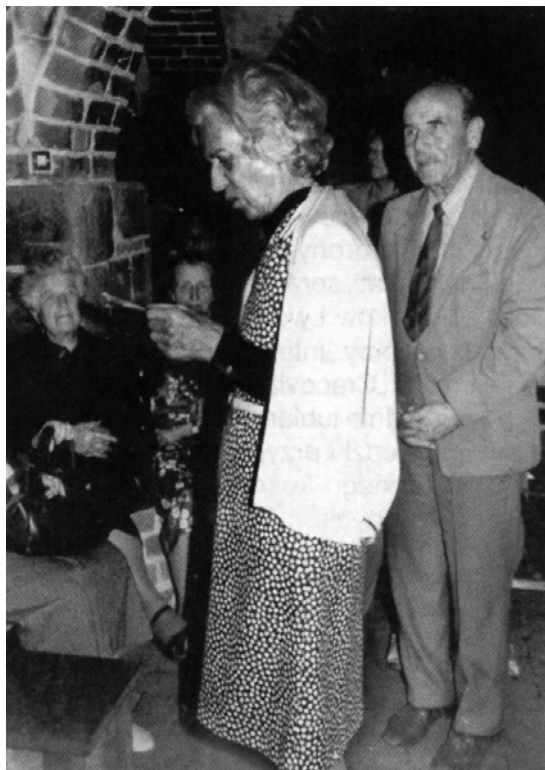
Były to różne pomysły, które staraliśmy się realizować. Jednym z ciekawszych było stworzenie kół, które skupiały dawnych mieszkańców Stanisławowa, Złoczowa, Tarnopola, Sambora etc. Z biegiem lat te koła się porozpyływały albo czasem usamodzielniały. Na przykład Złoczowianie – z wielkimi ambicjami Romana MaćkóWKi. To, że nagle spotykali się ludzie pochodzący z jednej miejscowości, było dla nich bardzo ważne, było ważniejszym lepszczem niż ogólne towarzystwo miłośników Lwowa, z którym może nie mieli nic wspólnego. Dla wielu sama nazwa TMLiKPW mogła być abstrak-

cyjna, ale jak słyszeli np. Koło Tarnopolan, od razu czuli jedność. Ale i tak nie wszyscy to rozumieli i doceniali. Podjęliśmy też bardzo ważną ideę organizowania mszy świętych w intencji – dzisiaj już świętego – abp. Józefa Bilczewskiego. Msze święte odprawiał ks. kardynał Franciszek Macharski, który z taką ojcowską troską odniósł się do naszej inicjatywy.

Organizowaliście też imprezy otwarte i adresowane do wszystkich mieszkańców Krakowa.

Asumpt do wszczęcia takiej właśnie działalności dało nastanie jubileuszowego roku 1994. Było to wszak stulecie Powszechnej Wystawy Krajowej, otwartej we Lwowie w roku 1894. Dla uczczenia tej rocznicy nasze Towarzystwo ogłosiło rok 1994 Rokiem Lwowskim i od tamtej chwili rozpoczęły się liczne imprezy: wystawy, koncerty, spotkania naukowe i wspomnieniowe, msze święte. W tym wszystkim brałem udział jako inicjator i realizator, miałem bowiem wiele znajomości z różnych sfer, nie tylko ekspatrianckich, ale z całego kraju. Docierałem do znanych ludzi i instytucji z całego kraju, a i spoza.

Wśród organizowanych przez nas imprez za jedną z najważniejszych trzeba uznać koncert w Filharmonii Krakowskiej, który odbył się w 24 listopada 1994 r. – a więc zamykający Rok Lwowski. Nazwaliśmy go *Homagium Leopoli*. Zaprośiliśmy do niego siedmiu kompozytorów rodem ze Lwowa. Pięciu specjalnie na tę okoliczność skomponowało utwory poświęcone swemu miastu – Andrzej Kurylewicz, Stanisław Machl, Krystyna Moszumańska-Nazar, Andrzej Nikodemowicz i Bogusław Schaeffer. Dwaj ofiarowali swoje wcześniejsze dzieła – Wojciech Kilar i Stanisław Skrowaczewski. Wszyscy kompozytorzy potraktowali wykonanie swoich utworów honorowo. W realizacji tego przedsięwzięcia pomagała mi lwowianka i kompozytor, uczestniczka *Homagium Leopoli*, pani prof. Krystyna Moszumańska-Nazar. Zagrała Capella Cracoviensis pod dyktando Stanisława Gałońskiego i Stanisława Krawczyńskiego. Cała korespondencja towarzysząca organizacji tego przedsięwzięcia zachowała się, co jest bardzo ważne, bo większość z uczestników tego koncertu już nie żyje. Dokładniej wszystko opisałem w kwartalniku CL nr 1/1995.



Prof. Jadwiga Winowska i Stanisław Woszczyński podczas spotkania u o.o. Dominikanów (archiwum A. Chłipalskiego)

Ośrodka Kultury czy w Galerii Domu Polonii. Pokazywano nie tylko książki, także albumy i widokówki, gazety o znaczeniu historycznym, plakaty, pamiątki po wybitnych ludziach, teatralia... Z tymi wystawami łączyły się sesje naukowe i popularne, ponadto w prasie i czasopiśmie ukazywały się liczne artykuły oraz wydawnictwa.

Wspominałeś kiedyś o problemach związanych z odnową lwowskich cmentarzy.

Powojenne ratowanie zniszczonych lwowskich i wschodniomałopolskich cmentarzy to wielki problem, nie tylko obiektywny – roboczy, by się tak wyrazić, lecz bardzo uczuciowy. Ze wszystkich stron kraju, a i spoza granic też, odzywały się głosy, nawet zawiązywano komitety na rzecz ratowania w pierwszym rzędzie Cmentarza Obrońców Lwowa. Uważano, że tego wymagają względy patriotyczne, a i stan tej nekropolii, bestialsko zniszczonej przez okupantów. W tym świetle stary Cmentarz Łyczakowski i inne cmentarze lwowskie odkładano na drugi plan, tym bardziej że nie widziało się z odległości ich zniszczenia przez czas oraz wartości Łyczakowa, pełnego zabytków i miejsc pochówku pokoleń, zwłaszcza wybitnych Polaków. Różnica zdań dawała się odczuć nawet w gronie krakowskich członków Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW.

W końcu, po rozmowach półprywatnych i oficjalnych, doszło do pozytywnego rozwiązania. Uzyskano zgodę władz ukraińskich na podjęcie przez Państwo Polskie robót budowlanych na Cmentarzu Orląt i odbudowę części architektury – z jednym wyjątkiem: bez pomnika Chwały, tzn. kolumnady z dwoma kamiennymi lwami (mimo iż obie rzeźby w ostatnim czasie sprowadzono z miejsc „wypnania”, ale w końcu odbudowano deskami). Katakumby i groby odbudowano.

Natomiast Cmentarz Łyczakowski pozostawiono stronie społecznej. Władze zgodziły się na podjęcie robót przy grobowcach i pomnikach przez miejscowych Polaków oraz stały nadzór ze strony polskiej, konkretnie oddziału krakowskiego TML. W tej kwestii wypadła docenić organizacyjny udział prezesa Adama Gyurkovicha oraz aktywność merytoryczną wiceprezesa Stanisława Czernego i Ryszarda Deforta. Na tej

Wróćmy jeszcze do początków Roku Lwowskiego.

Początkiem była nasza coroczna uroczystość jubileuszowa, odbyta wyprzedzająco, bo w listopadzie 1993 r. Była to uroczysta msza święta u Dominikanów, potem prelekcja prof. Artura Leinwanda i koncert dwóch zespołów. Wcześniej, w czasie mszy świętej w Bazylice Mariackiej śpiewały chóry prof. Danuty Degórskiej-Czubek i Chór Cecyliński, a na organach grał prof. Bogusław Grzybek.

Koncertów było kilka, ale jeszcze więcej wystaw, głównie książek dawnych, przechowywanych w zbiorach, ale i nowych, świeżo napisanych. Cenię sobie pierwszą, pokazaną jeszcze przed Rokiem Lwowskim, wystawę o „Czterech przedwojennych kolekcjonerach”: ziemianinie – kolekcjonerze i bibliofilu – Franciszku Biesiadeckim, pisarzu Mieczysławie Opałce, Rudolfie Mękickim oraz introligatorze i senatorze Aleksandrze Semkowiczu. Po tym ostatnim została we Lwowie oryginalna willa z napisem „Dom pod Książką”. Potem były wystawy, do których organizacji i nas dopraszano – w Międzynarodowym Centrum Kultury, Śródmiejskim

zasadzie uratowano smętne resztki grobów z Powstań Listopadowego i Styczniowego (na tzw. Górcie Powstańczej). Z czasem podobne prace podjęto – idąc za tym wzorem – na Cmentarzu Janowskim, a także w Tarnopolu.

Z prowadzonymi pracami na cmentarzach wiąże się zdobywanie środków finansowych.

W tym celu podjęliśmy coroczne kwesty w dniach 1 i 2 listopada na cmentarzach krakowskich. Niestety nie było zrazu kandydatów na kwestarzy na innych nekropoliach niż Rakowice czy Salwator. Przeto – jako ówczesny prezes zarządu oddziału krakowskiego TML – poczułem się zmuszony do podjęcia kwesty na ogromnym cmentarzu, w dość oddalonych od centrum miasta Batowicach. Razem z kol. Edwardem Adlesem spędzamy tam co roku szereg godzin, ale z dobrym skutkiem. Co roku ludzie dopytują się o nas z sympatią. Kwesty są też na Podgórzu, a tarnopolanie zbierają na cmentarz w Tarnopolu. Niestety odpadł Stanisławów, bo tam polski cmentarz zburzyli okupanci.

Do kwest włącza się młodzież szkolna. W tym miejscu muszę wymienić młodego historyka – krakowianina, ale entuzjastę Kresów, Pawła Naleźniaka, który przed laty przyłączył się do nas. Pracując w szkolnictwie i w Instytucie Pamięci Narodowej, zaraża problematyką kresową młodych ludzi. To dla nas wielka satysfakcja.

Czy w swojej działalności po tamtej stronie kordonu ograniczasz się do samego Lwowa?

Bynajmniej. Tu warto poruszyć współpracę z „Wspólnotą Polską”. Z jej krakowskim prezesem prof. Zygmuntem Kolendą miałem szansę objechania wielu miejscowości, skąd dochodziły wiadomości o złej sytuacji Polaków. Tam nawiązywaliśmy kontakty co do spraw bytowych, ale i kultury polskiej. Potem zbieraliśmy w Krakowie książki, które przy okazjach przesyłamy. Tak zresztą jest do dziś, problemem jest tylko transport. Ale tu ratuje nas pan Maciej Wojciechowski ze swoim samochodem! Później jeździliśmy parokrotnie z panią Romą Machowską. Niestety jej już nie ma...

Reasumując, wiele się działo. Ale jeszcze coś bardzo ważnego, o czym wreszcie



musisz opowiedzieć. Pewnego dnia narodził się nasz kwartalnik, jeszcze nie wiadomo, o jakiej nazwie...

Stop! Nim się narodził, musiało zaistnieć zapłodnienie. Dokonało się ono we Lwowie, przed Bożym Narodzeniem w 1989 roku. Tam we Lwowie się przecież poznaliśmy. Do Lwowa pojechaliliśmy z okazji koncertów Akademickiego Chóru „Organum” w Samborze i Lwowie. Pamiętam, siedzieliśmy przy obiedzie w stołówce studenckiej na Politechnice Lwowskiej. Ty, Stanisław Dziedzic – dyrektor ówczesnego Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Krakowa, Bogusław Grzybek – dyrygent Akademickiego Chóru „Organum”, i ja. I wtedy padło z waszej strony pytanie, czy nie podjąłbym się realizacji powołania takiego pisma? Rzeczywiście taki pomysł nosiłem w sobie od dawna, ale nie było przecież takich możliwości, nie tylko finansowych. Kiedy ta propozycja padła od was, zaczęło się to krystalizować. Pierwszy numer kwartalnika ukazał się dopiero w 1995 roku. Przez ten czas byliśmy zajęci tworzeniem w Krakowie oddziału Towarzystwa. To były bardzo owocne lata. Po długim okresie, kiedy oficjalnie nic nie można było zrobić dla Kresów, nagle można było mówić, pisać, organizować spotkania, wystawy, a nawet posiadać własne pismo.

Po jakimś czasie przedłożyłem koncepcję: charakter i tytuł pisma. Propozycji tytułu było wiele, ale chwycił mój: *Cracovia Leopoldis*. Dlaczego te dwie nazwy miast? Przecież miało być o Lwowie? – pytano.

I słusznie, ale ja uważałem, że to jest „głos z Krakowa dla Lwowa”. A dlaczego po łacinie? Bo łacina wiąże nas z Zachodem – tłumaczyłem – i nie da się jej przełożyć na inny język, którego nie lubimy. I przyjęło się!

Pierwszy numer został wydany parę lat później – w sierpniu 1995 r. Pismo od razu spodobało się w całym kraju, przyszło dużo listów pochwalnych i prośb o kontynuację w takim stylu, jak zaczęliśmy. Trzeba zwrócić uwagę, że wtedy było już na rynku wydawniczym kilkanaście pism lwowskich. Ale *Cracovia Leopoldis* spodobała się szczególnie.

Kto jeszcze przy tym pracował?

Wśród osób, które zajęły się redagowaniem pisma, znalazł się plastyk Bohdan Prądyński, który opracował stronę graficzną pisma, istniejącą do dzisiaj. Byliśmy zaprzyjaźnieni z rzeźbiarką Wandą Czelkowską, a Bohdan był jej mężem. Wanda pochodziła z Wilna, po latach wyprowadziła się z Krakowa, nadal tworzy w Warszawie. Mieszka i pracuje w opuszczonej hali fabrycznej, gdzie stoją jeszcze resztki maszyn. W niewielkim boksie ma urządzonej pokój, w którym mieszka. Ona nie ma szczęścia do mieszkańców. W Krakowie mieszkali wraz z kilorgiem innych artystów na ul. Karmelickiej 27 w mieszkaniu pozostawionym przez znakomitego rzeźbiarza prof. Xawerego Dunikowskiego. Kiedy kamienica wróciła do dawnych właścicieli, musieli opuścić mieszkanie (Bohdan już wtedy nie żył). Podobnie straciła mieszkanie w Warszawie. Z tego grona pochodziła też Barbara Czałczyńska. Basię poznałem właśnie u Wandy, u której odbywały się spotkania ludzi sztuki i kultury z krakowskiego świata artystycznego. Basia była pisarką katolicką, współtwórczynią i przez parę lat prezeską Klubu Inteligencji Katolickiej w Krakowie. Kto dzisiaj o tych klubach pamięta? Basia pisała dla nas przez całe lata, do kiedy mogła, wstępne felietony literackie, pełne poezji i niesłychanej mądrości. Nie ma jej już między nami, zmarła w 2015 roku. Był też w naszej redakcji i dostarczał nam teksty, ale nie brał czynnego udziału w jej pracach, prof. Andrzej Olszewski z obecnego Uniwersytetu Pedagogicznego, ale wtedy chyba jeszcze Wyższej Szkoły Pedagogicznej. To mój kolega ze Lwowa, ze szkolnej ławy od Marii Magdaleny. Nasze rodziny we Lwowie

się przyjaźniły. Był zawsze cichy i milczący i tak niespodziewanie i cicho odszedł – zmarł w roku 2005. Ważną rolę w redakcji odgrywała pani Maria Taszycka, córka znanego polonisty prof. Witolda Taszyckiego, który od 1929 r. związany był z Uniwersyteciem Jana Kazimierza we Lwowie. Tam urodziła się w 1934 roku pani Maria. Z falą ekspatriantów trafili najpierw do Torunia, a potem, w 1946 roku – do Krakowa, gdzie profesor dostał angaż na Uniwersytecie Jagiellońskim. Też już jej nie ma z nami od 2015 roku. Osobą, która zajmowała się kontaktami z czytelnikami i wysyłaniem *Cracovia Leopoldis* do naszych Czytelników rozsianych w Polsce, ale i poza granicami, była pani Roma Link-Machowska, która całe swoje życie podporządkowała sprawom kresowym. Działała na każdym froncie, w TMLiKPW, w redakcji *Cracovia Leopoldis* i w Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska”. A jej nieodłącznym asystentem był mąż, przesympatyczny pan dr Zdzisław Machowski, który dbał o nią, pilnował jej na każdym kroku. Kiedy nadszedł dla nich czas ostateczny, oboje trafili do szpitala i w krótkim czasie po sobie odeszli. Najpierw on – w grudniu 2014 r., a później ona w marcu 2015 roku. Od samego początku jest z nami pani Krystyna Stafińska, pilnująca głównie spraw Stanisławowa, pani Anna Madej – kolejna prezeska krakowskiego Koła Tarnopolan (po pp. Wacławie Obuchowiczu i Michale Lasockim), dalej pani Danuta Trylska-Siekańska, doglądająca spraw Krzemieńca i Wołynia, pani Marta Walczewska, zajmująca się sprawami Kościoła, Ireneusz Kasprzysiak. No i oczywiście ty, a także przez lata Basia Kościć, która kierowała Klubem „Zaulek” przy ul. Poselskiej 9, gdzie odbywały się przez lata comiesięczne spotkania TML oraz zebrania naszej redakcji, aż do likwidacji klubu. Nie mogę pominąć pana dr. Jarosława Falla, który od początku zajmuje się przygotowaniem do druku i drukiem *Cracovii Leopoldis*, i jego pomocnika Piotra Rachwańca.

Przez 21 lat – czyli 84 kwartały – wydałeś prawie 90 numerów kwartalnika, a ponadto kilkanaście zeszytów i broszur okolicznościowych! To ogrom pracy!

Ta nieproporcjonalna liczba numerów wynika stąd, że były lata, w których wydawaliśmy więcej niż cztery numery. Ale w minio-

nym roku tylko jeden. Przez te ponad dwie dekady doznawaliśmy hojności wielu ważnych urzędów, a w chwilach kryzysowych wspierali nas Kochani Czytelnicy. Wszak były lata, kiedy znikąd nie nadchodziła dotacja. Prawie zwijaliśmy interes, informując czytelników o naszych kłopotach, i wtedy zaczynały napływać na konto TMLiKPW datki, większe i mniejsze. Wszystkim na bieżąco dziękowaliśmy i chętnie każdego bym raz jeszcze wymienił za ten dar serca. Muszę jednak o jednym, szczególnym darczyńcy w tym miejscu wspomnieć. Bo wiem wszystkiego mogliśmy się spodziewać, ale nie tego, że znaczna pomoc finansowa spłynie z Londynu, i to od kogo! Samej pani Władzy Majewskiej! Kiedyś spotkaliśmy się z nią w Busku-Zdroju, gdzie corocznie przebywała na kuracji. Nie chciała w tej sprawie rozgłosu, wykręciła się też niestety od wywiadu dla naszego pisma... Teraz, kiedy jej już nie ma od 2011 roku, mogę o tym oficjalnie opowiedzieć.

Dofinansowanie otrzymywaliśmy z różnych urzędów. Dbali o nas w różnych latach: Senat RP z marszałek Alicją Grześkowiak, Krakowski Urząd Wojewódzki z wojewodami Tadeuszem Piekarszem i Jackiem Majchrowskim, Małopolski Urząd Marszałkowski z marszałkiem Markiem Nawarą, Urząd Miasta Krakowa z prezydentami Józefem Lasotą, Andrzejem Gołasiem i Jackiem Majchrowskim oraz dyrektorem Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego UMK Stanisławem Dziedzicem, Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa z przewodniczącymi śp. Andrzejem Przewoźnikiem i Andrzejem Kunertem. Wszystkim raz jeszcze w tym miejscu pragnę serdecznie podziękować.

Znając twą skrupulatność, prowadziłeś bez wątplenia statystyki. Wszak tych prawie setka numerów kwartalnika to tysiące stron maszynopisu, kilkudziesięciu autorów... Wiem, że z czymś jednak nadal jesteś na bakierniku – Internet...

Rzeczywiście, gdy spojrzeć od strony statystycznej wstecz, to można popaść w dumę i zadziwienie, że tyle się udało. Te 90 numerów to ponad 6000 stron druku, których autorami były setki osób. Myślę, że

powinniśmy jeden numer poświęcić na same indeksy. Rzeczywiście Internet jest dla mnie czymś zupełnie obcym, czego już chyba nie ogarnę. Ale cieszę się, że nasz kwartalnik dostępny jest dla wszystkich, pod każdą szerokością geograficzną, w Internecie. I choć sam na stronę nie zaglądam, zawsze musi ktoś mnie tam zalogować, to adres naszej strony znam na pamięć – www.cracovia-leopolis.pl – i serdecznie zapraszam do jej odwiedzania!

Dlaczego postanowiłeś zakończyć pracę nad kwartalnikiem? W tamtym roku ukazał się tylko jeden numer? Nie chciałeś kontynuacji pisma?

Zabrakło sił fizycznych i umysłowych, pamięć odmawia posłuszeństwa. Powiadałem Czytelników, że trzeba kończyć. Protestowali, ale z pustego i Salomon nie należy. Liczyłem na to, że ktoś inny zakasze rękawy i otworzy drugi etap historii *Cracovia Leopoldis*. Wszyscy na Ciebie liczyli, Januszu, i udało się. Powodzenia!

Dziękuję bardzo. Mam nadzieję, że teraz nie opanuje Cię *dolce far niente*?

Ależ bynajmniej. Obiecałem synowi spisanie historii rodzinnych, które znam z opowiadań, literatury lub sam przeżyłem. To w sumie daję ponad 200 lat! Sam nie mogę doczekać się wolnego czasu. Zamierzam pisać do 120. roku życia! (*śmiech*). Może to kiedyś wydamy w ramach Biblioteki *Cracovia Leopoldis*?

Bardzo dziękuję za rozmowę!



Zniszczony grób barona Dormusa – stan przed 1995 r. [archiwum A Chłipańskiego]

W kawiarnianym dymie

W kawiarnianych mrokach żyją całe grupy ludzi, tworząc charakterystyczną i specjalną publiczność, żądną nowin, ruchu nerwowego i oddechu Europy, co wionie ze szpalt zadrukowanej bibuły, spragnioną plotek wielkiego miasta i życia, a przede wszystkim życia, błyskotliwego, na falach drgającego światła, w arabeskach dymu, wśród nawoływań kelnerów.

Znam pewnego dziennikarza, który z chlubą opowiada, że najlepsze artykuły stworzył w kawiarni, znam urzędników, którym ciężą powłoki biurokratyzmu jak szata Dejaniry, a którzy w kawiarni tylko szerszą oddychają piersią, w ostatnich czasach nawet rodziny całe z wielką pompą i uroczystością wybierają się w niedzielę... do kawiarni. Stała się więc kawiarnia dziś instytucją prawie że społeczną, miejscem neutralnym dla schadzek ludzkich i dyskusji, a czasem także wielkim targowiskiem, gdzie przychodzą do skutku tak różne interesy, jak różne jest życie.

Wśród tej barwnej a krzykliwej publiczności kawiarnianej spotyka się po kątach grupy ludzi cichych i w zadumanej kontemplacji pogrążonych. Czasem przy pionkach na szachownicy, czasami w bezymysłnej grze w karty toną oni, dla otaczającego świata obojętni. Nic nie widząc wkoło siebie ani nie słysząc, patrzą jak sroka w kość na przesuwające się przed ich oczyma „dziewiątki” i „dziesiątki”, „asy” i „piki”. Obok każdego takiego stolika obsiadłego przez graczy gromadzi się druga grupa, równie cichych i zamyślonych osobników, którzy wcale nie grają, a tylko się grze przypatrują z równym, a może i większym zainteresowaniem niż sami grający. Są to tak zwani „kibice”, całkiem specjalna klasa amatorów gry, których by można podzielić na dwie grupy: kibiców czynnych i biernych. Podczas gdy taki kibic bierny przypatruje się grze dla samej gry, to przeciwnie kibic czynny spełnia funkcje jakieś pomocnicze, za co zwykle partycypuje w wygranej. Więc „kibic buchalter” intabuluje¹ pozycje po-

szczególne i zapisuje „ważniejsze wypadki w historii”, więc inny kibic posiada głos doradczy i po skończonej grze bierze udział w dyskusji i wzajemnych rekryminacjach², a wreszcie otrzymuje część wygranej, o ile ona wypłacaną bywa w naturze, jak cygara, flaszki piwa etc. Są także kibice, którzy przy pomocy kopnięć nogą i innych telegraficzno-mimicznych znaków przestrzegają klientów swoich o grożącym im niebezpieczeństwie. Znakomite są czasem sylwetki kibiców, zwłaszcza przy grze w szachy: ich miny i ruchy, zdumienie czasami, to znowu radość i irytacja, gdy klient ich gra dobrze lub się na każdym kroku blamuje³. Zdarza się często, że grający podniesie pionka do góry i trzyma go nieruchomo w powietrzu, namyślając się, gdzie go postawić. Wówczas, i to można ciągle obserwować, głowy wszystkich kibiców pochylają się nagle i zaczynają patrzeć od spodu na rękę trzymającą pionka, jakby tam pod jego podstawą znaleźli albo przynajmniej spodziewali się znaleźć coś bardzo ciekawego. Jest w takim odruchowym pochylaniu głowy pewien moment psychologiczny, nawet podobny do tego, z jakim ludzie patrzą na wiszącą, a tuż tuż spaść mającą bryłę śniegu z dachu. W ogóle obowiązują kibiców ścisłe postanowienia regulaminowe, które są nawet skodyfikowane w 21 paragrafach i w odpisach krążą po kawiarniach. Niektóre z tych postanowień określają towarzyskie obowiązki kibica, jak, że nie wolno mu pluć na buty *vis à vis* siedzącego partnera, inne znowu wzbraniają zbytniego mieszania się do gry, a jest jeden także paragraf, który zakazuje wymyślania graczowi, gdy ten gra niefortunnie czy niedołąźnie.

Pod wiedeńskim jednak błyszczącym pokostem dzisiejszych kawiarni znikły bez śladu dawne lwowskie typowe tego typu rodzaju przybytki. Ostatni zamknięty został w grudniu roku 1902.

² Rekryminajce – odpowiadanie oskarżeniem na oskarżenie lub wzajemne obwinianie się o coś. Fintabula.

³ Blamuje się – myli się, robi pomyłki.

¹ Intabuluje – dokonuje zapisu, konotacji.

Była to najstarsza we Lwowie kawiarnia J. Dobrowolskiego, zwana popularnie „Piekiełkiem”. Tradycyjna to była dziura, w dzień i noc otwarta, a zawsze gwarem i szumem rozwydrzonych gości rozkołysana, zawsze pełna ruchu i typowych scen kawiarnianych, w które nocne życie wielkiego miasta tak bardzo obfituje. Za jednym oknem starego typu, okolonym szyldowym napisem: „Kawiarnia Dobrowolskiego”, rozsiadły się dwa niewielkie pokoje, o starożytnym sklepieniu, a zawsze okopcone i dymem przesiąknięte.

Pierwsza sala, długa niby kiszka, stanowiła czytelnię, a przechodząc wąską szyją i po kilku schodkach w salę bufetową, nadawała całej kawiarni wrażenie korytarza, którego głowę stanowił bufet najeżony butelkami, a ogon szeleścił czarnymi płachtami dzienników i jaskrawą ilustracją pierwszej stronicy pism humorystycznych. Wśród błękitnych warstw dymu, drgających promieni lamp i odbiciem ścian lakierowanych szumiąco tu przez pół wieku życie gwarne i krzykliwe, bez granic niby i miary, szerokie, jak pozbawiona ludzka natura, a jednak... puste i głupie, że śmiech z takiego życia i z takich rozpasanych szałów, których szary ranek i twarda rzeczywistość jedyną nagrodą, zamglony wzrok pijanicy jedynym wspomnieniem.

Kto jednak pamięta kawiarnię Dobrowolskiego w ostatnich latach, ten nigdy nie będzie miał wyobrażenia, czym było „Piekiełko” w latach dawnych, jaką ono odegrało rolę w towarzysko-kawiarnianym życiu lwowskim od roku 1848 począwszy.

W ostatnich bowiem latach była kawiarnia Dobrowolskiego jedynie ostatnią stacją opojów i najrozmaitszej nocnej hołoty, która po całonocnej wędrownie szynkowej tam się leczyła czarną kawą lub inną jeszcze ostatecznością na podwórzu kawiarnianym. Zanim jednak przyszło do ostateczności, uważali goście tamtejsi za swój święty obowiązek nieludzkim rykiem napełniać cały lokal, a że jak wiadomo, każdy zalany gość ma swoje drażliwości, więc nieraz latały tam szklanki z „melanżem” w powietrzu, nieraz rozlegał się huczny trzask policzków przy załatwianiu spraw „honorowych”, a niejeden w ten sposób uhonorowany, z cylindrem złamanym w harmonię, z przetrąconym „stosem pacierzowym” wylaatywał przy akompaniamencie kopniaków, aplikowanych rzęsiście, na ulicę, co w nomenklaturze kawiarnianej nosi skromne miano „wyrzucenia gościa”. Jednym słowem było „Piekiełko” w ostatnich czasach mordownią, maglem na zebra i kości swoich klientów, rodzajem konserwatorium dla ochrypłych i pijackich śpiewów, które tonem swoim *fortissimo* przerażały nieraz spokojnego przechodnia z ulicy Krakowskiej. A przecież był czas, kiedy „Piekiełko” było pierwszorzędną we Lwowie kawiarnią i z góry spoglądało na inne mordownie w guście takiej kawiarni, jak „Pod Żółtym Prześcieradłem” przy ul. Kamińskiego, słynącej z tego, że gospodarz od kilku lat chory leżał obłożony betami na bilardzie, lub kawiarni „Pod Piękną Heleną” w Rynku, dokąd złązili się goście z okrutnego szynku „Pod Kanoną”, który istniał dawniej przy ulicy Ormiańskiej, z lokalu



„Pod Cyranką” z ulicy Wałowej, gdzie obok taniego obiadu „można było dostać w pysk, jak się trafił jaki awanturnik”, z mleczarni w bramie Andriollego, gdzie znowu kulawa baba szynkowała mleko, i innych wziętych dawniej bardzo miejsc rozrywki, z których już dzisiaj i śladu nie zostało.

Do kawiarni Dobrowolskiego natomiast schodzili się goście z okolicznych, dziś już po części nieistniejących nawet restauracji pierwszorzędnych: Zihna w ulicy Krakowskiej, Gótza lub Stadtmüllera, dawniej przy ulicy Dominikańskiej, i innych. Zwłaszcza popołudniową porą, mimo przepełnienia, panowała tam cisza grobowa. Wszyscy goście zatopieni byli w czytaniu gazet, których kawiarnia Dobrowolskiego posiadała największą liczbę, i studiowaniem najnowszych wydarzeń politycznych, tak że najmniejszy rozgwar prawdziwą tam wywoływał sensację.

Razu np. pewnego siedział tam poważny obywatel, który się odznaczał ogromnym wzrostem i siłą. Wtem otworzyły się drzwi i weszła jakaś figura, podejrzliwie się po całym lokalu rozglądając. Na widok owej figury zerwał się ów obywatel, chwycił ją za kołnierz i stentorowym głosem, a wśród ogromnej sensacji między zgromadzonymi, wołał począł:

– Pan miałeś czelność pokazać się we Lwowie? Gdyby na świecie wierzyli słuchaj nie stało, to bym cię na własnych plecach powiesił!

Okazało się później, że był to szpieg, który w czasie powstania z roku 1863 oddawał usługi policji. Ostatecznie ów obywatel nie miał potrzeby spełnić obywatelskiego obowiązku powieszenia szpiega na własnych plecach, bo ten zbity, zmaltretowany i wytarmoszony przez innych gości wyniósł się czym prędzej tam, gdzie pieprz rośnie.

W ogóle ciekawe to były postacie lwowskiej tramtradycji, które oblegały dawniej stoły „Piekielka”. Już dzisiaj i resztki ich znikają, już ich nie spotkać nigdzie, owych krzykliwych, rozwydrzonych, ale zawsze sympatycznych pogromców wszelkiego kołtuństwa i mamełuctwa. Rewolucyjności z urodzenia i temperamentu, politycy zakroju⁴ wojny europejskiej, demokraci ze szlachecką fantazją i staropolskim warcholstwem, jedną nogą stali jeszcze w epoce wielkich zdarzeń i rewolucji, która

na barkach swych wynieść miała dla nas niepodległość, a tuż przed nimi rozpoczynał się okres politycznej nudy i jałowości. – I ci co na wiosnę patrzyli narodów, co przed nimi Wiedeń i kamaryla rzucała to konstytucją, to reakcją, to policyjnymi rządami, nie mogli znieść tchnienia jałowych czasów...

Więc obsiadali stoliki kawiarniane zadumani nad tym, co robi Francuz, czy też zechce dać pomoc polskiej rewolucji, czy też Bismarck czego nowego nie knuje lub co też myśli Garibaldi lub Mazzini. Ale wojna europejska za wolność ludów jakoś nie nadchodziła, a oni coraz cichsi byli, coraz bardziej się ich szeregi przerzedzały, aż wreszcie i tramtradatów nie stało w kawiarni Dobrowolskiego.

Nie stało też tam i lwowskiej cyganerii literacko-dziennikarskiej, która nocną porą zaczynała swoje kawiarniane urzędowanie wśród gwaru, krzyku i mnóstwa trunków, z których rodziły się najrozmaitsze projekty po to, aby za chwilę się znowu w kieliszku koniaku lub absyntu utopić. Przesiadawali tam Lam⁵, Stebelski⁶, Podgórski, Chochlik-Zagórski⁷ i inni.

Z kawiarnią Dobrowolskiego przeszedł do przeszłości spory kawał lwowskiej tradycji lokalnej i lwowskiego życia przebrzmiałego. A na pochwałę lokalu tego powiedzieć trzeba, że nigdy, nawet w ostatnich czasach upadku, nigdy on nie uprawiał szulerki, nigdy nie grał na strunach namiętności swoich klientów.

W czasie kawiarnianego szychu, taniego komfortu, damskich kapeli, potoków światła elektrycznego „Piekiełko” usiłowało zostać zawsze tym samym „Piekiełkiem”, ale już mu i dawnych gości nie stało – więc się staczało coraz niżej, zeszło do rzędu lokali dla najobszurniejszych figur pijackich, a gdy wreszcie z powodu konkurencji i moczymordów nie stało – „Piekiełko” przestało istnieć.

⁵ Jan Lam (1838–1886) – powieściopisarz, satyryk, dziennikarz lwowskiego „Dziennika Polskiego”, ukazującego się w latach 1861–1868.

⁶ Włodzimierz Stebelski (1848–1891) – poeta, satyryk, eseista, krytyk literacki, dziennikarz związany z „Kurierem Lwowskim”, „Kurierem Codziennym” i „Gazetą Narodową”.

⁷ Włodzimierz Zagórski (1834–1902), znany pod pseudonimem „Chochlik”, satyryk związany z pismami „Chochlik”, „Różowe Domino”, współpracował też z „Kurierem Codziennym”.

⁴ Politycy planujący wojnę.

Dziewczynka z Kleparowa

Żar czerwcowego dnia, po-
ciąg z zesłańcami na wia-
dukcie i łomot kolbami do
drzwi nad ranem. To jest
cały Lwów, jaki zapamięta-
ła. – Ja to mam tak wryte
w mózg, że nie mogę się
pozbyc tego obrazu. Wcze-
śniejse lata? Zupełnie nic...
– szepcze Wiesława Modra-
kowska. Na stole leży foto-
grafia pierwszokomunijska:
„Tak, to ja”, różne pogodne
zdjęcia rodzinne w plene-
rze... Tak, istniał kiedyś też
lwowski raj, ale została po
nim w pamięci jak gdyby czarna dziura.

Siedzimy w cieniście pokoju przy zi-
mowej herbacie. Dr Wiesława Modrakow-
ska, 95-letnia, wciąż praktykująca lekarz
stomatolog, uśmiecha się łagodnie. – Mam
pani opowiedzieć o Lwowie? – starsza pani
podnosi wzrok w stronę okna, zatrzymuje
go na domu po przeciwległej stronie ulicy,
a jej pogodne dotąd oczy nagle ciemnieją,
przybierając stalową barwę.

DZIECIŃSTWO WŚRÓD KRZAKÓW MALIN

Urodziła się we Lwowie 16 lutego 1930
roku. Jej matką była Halina Zwojszczyk
z domu Zając, urodzona 21 maja 1903
roku we Lwowie, córka Stanisława i Anto-
niny z Monasterskich. Prawie cała jej rodzi-
na pochodziła ze Lwowa. Natomiast ojciec
kpt. Stanisław Zwojszczyk urodził się w To-
maszowie Mazowieckim 16 września 1894
roku jako syn Marii i Aleksandra. W Toma-
szowie mieszkali jego krewni. – W tym brat
Aleksander, którego ja po wojnie odwie-
dziłam i który zresztą był bardzo podob-
ny do ojca (nie był to wojskowy, pracował
gdzieś w fabryce) – dodaje dr Modrakowska.
Kpt. Zwojszczyk był żołnierzem piechoty WP,
harcerzem, legionistą, członkiem Sokola,
POW i Związku Strzeleckiego. Za wojnę
1920 roku został odznaczony orderem Vir-
tuti Militari. W 1932 roku wstąpił do KOP.



Wiesia Zwojszczyk, koniec lat 30.

Jako zawodowy wojsko-
wy był przenoszony z pla-
cówki na placówkę, więc
pierwsza córka urodziła się
w Wilnie, a dwie młodsze
we Lwowie. Wiesława Mo-
drakowska pamięta ojca,
ale bardzo niewyraźnie.
Przed wybuchem II woj-
ny kpt. Zwojszczyk był
kwatermistrzem Batalionu
KOP „Kleck”. Natomiast
pani Zwojszczykowa zaj-
mowała się wychowywa-
niem trzech córek: Zdzi-
sławy (ur. 1926), Wiesławy

(ur. 1930) i Bogusławy (ur. 1936). – Same
„sławy” – śmieje się. – Moją mamusię pa-
miętałam jako „panią oficerową”: z papierosem
i książką. Bywała w kasynie, gdzie spotykała
się ze swoim towarzystwem. Ale przypisanie
pani Zwojszczykowej wygodnictwa byłoby



Halina z Zająców i por. Stanisław Zwojszczyk.
fotografia ślubna, Lwów 1924



Stanisław Zwojszczyk (po prawej), budowa
Kopca Józefa Piłsudskiego, Kraków 1937

Nie wiem, czy to przeżycie na mnie tak
podziało? – Ma na myśli czerwiec 1940.

PRZYSZLI PO NAS NAD RANEM

Upalnego czerwcowego dnia 1940 roku 10-letnia dziewczynka wracała ze szkoły główną ulicą Kleparowa. – I taki się jakiś wyczuwało niepokój na ulicy... – szepcze. Dziewczynka podniosła głowę: za domami, wysokim nasypem kolejowym jechał pociąg towarowy. Z jego małych zakratowanych okienek wystawały dziesiątki rąk, a te ręce wyrzucały jakieś papierki. Ludzie biegli w tę stronę i gorączkowo je zbierali. Jak się potem dowiedziała Wiesia, na tych papierkach były zapisane nazwiska i adresy osób, które tym właśnie pociągiem były wywożone na Sybir. – Na tej 10-letniej dziewczynce zrobiło to tak straszne wrażenie, że kiedy wróciła do domu przy ul. Jordańskiej 13, nie mogła słowa powiedzieć – Wiesława Modrakowska zniża głos. – I za parę dni nad ranem usłyszeliśmy, oczywiście głośne, łomotanie do drzwi... Była 4, może 5 rano. Nie wiem, ciemno było. I oczywiście wrzaski po rosyjsku: „Szybko, szybko!”. Ich było dwóch, wojskowych z karabinami. 10-letnia dziewczynka była jak sparaliżowana. Przypomniała sobie te wagony bydłce, jadące nasypem przez Kleparów, i nie była się w stanie ubierać. Na szczęście 14-letnia siostra Wiesi była na tyle przytomna, że pomagała jej, a także pomagała matce ubierać najmłodszą 4-letnią siostrę (mimo krzyków „szybko, szybko!”). Potem do tego ciężarowego wozu przyszło się zapakować... – I drugi taki moment, wspomnienie straszne – opowiada dr Modrakowska – my miałyśmy ukochanego jamniczka, nazywał się Tofik. I ten Tofik biegł teraz za wozem i wrzeszczał, jakby chciał zapytać: „Dlaczego jedziecie? Dlaczego mnie z sobą nie zabieracie?”. Biegł tak długo, aż... aż obraz mi się zatarł. Nie wiem, co się z nim stało. To jest tajemnica. Ciężarówka zmierzała na dworzec lwowski, który tego dnia był wypełniony ludźmi. Trzymali tu wszystkich pojmanych cały dzień. To był upalny czerwiec, a każda z pań miała na sobie kilka warstw odzieży, bo mówiono, żeby zabrać na siebie jak najwięcej, gdyż tego nie ukradną. Rodziny uwięzionych przynosiły na dworzec picie, jedzenie, koce, ubrania. Do pań Zwojszczyk przychodziły z pomocą dwie ciotki. W pewnej

krzywdzące, bo w czasie II wojny okazało się, jak dzielna i zaradna była ta kobieta.

Swoim trzem córkom państwo Zwojszczykowie zapewнили szczęśliwe dzieciństwo, „lwowski raj”, jak je określa Wiesława Modrakowska. Ten raj mieścił się pod adresem ul. Jordańska 13. – Kleparów... Pamiętam, był ogromny ogród, a w nim krzaki malin, zawsze tam buszowaliśmy – opowiada powoli – ogród jakoś pod górę szedł, na górze była altanka, w której się bawiliśmy. Kiedy po wojnie starałam się o odszkodowania za ten domek, miałam nawet ogromną niemiecką „płachtę” tego ogrodu (działka miała numer 1775), to mi nie uznali jako dowód, bo ja nie wiedziałam, w którym roku drzewa były posadzone, sad – śmieje się z absurdu. Oprócz sadu pamięta jeszcze leśny basen na Kleparowie, na którym uczyła się pływać. A potem... – To jest dziwne, że ja prawie nic nie pamiętam, co było przed wojną...



Wiesia Zwojszczyk, połowa lat 30. XX w.



Kpt. Stanisław Zwojszczyk jako dowódca kompanii, baonu „Kleck”, połowa lat 30. XX w.

chwili mała dziewczynka poczuła tak zwaną potrzebę osobistą. – Ciotki wzięły mnie między siebie – a nikt ich nie pytał, nie zaczepiał – i wyprowadziły na zewnątrz, za dworzec i ja już nie wróciłam do transportu. W ten sposób zostałam we Lwowie, ja jedna z rodziny. Podobno Lwów został wyludniony, kompletnie! Jak podaje IPN, akcja deportacyjna 1940 roku odbyła się 29 czerwca. Dokument pani Haliny Zwojszczyk, dotyczący ubiegania się o azyl, a przechowywany w Archiwum Badań nad Prześladowaniami Nazistowskimi w niemieckim Aarlosen¹, podaje, że wyjechała z terenu Polski do ZSRR 29 czerwca 1940 roku. Potwierdza to, że panie Zwojszczyk zostały wywiezione w ramach trzeciej z kolei wielkiej deportacji.

NA NOWYM LWOWIE

Wiesia wróciła do opustoszałego domu, w którym została tylko matka jej mamy, babcia Antonina Zajac. Ta nie została zabrana przez sowietów do transportu, bo była przykuta do łóżka wskutek wylewu. Teraz miała się nią zajmować 10-letnia wnuczka. – To było takie ciężkie... – wzdycha dr Modrakowska – musiałam ją karmić, myć, bo wiadomo, że ona nie panowała już nad potrzebami. W pewnej chwili zaczęła pomagać Wiesi jedna z bezdzietnych ciotek, sióstr matki.

Niebezpiecznie zrobiło się, kiedy sąsiedzi zaczęli się interesować, dlaczego całą rodzinę wywieźli, a jednej córki nie. Wiesia musiała zniknąć. Zabrała ją do siebie druga ciotka, do willowej dzielnicy Nowy Lwów, która była „dosyć odległym terenem”. – Tu już było dobrze, chodziłam do szkoły i poznałam dwóch kolegów, których potem po wojnie spotkałam we Wrocławiu. Jeden z nich to był Andrzej Romer, wnuk słynnego kartografa, a drugi – Janusz Horzowski². Powiedzieli mi potem, że zabiegali o moje względy. A wtedy we Lwowie Wiesia miała w nich aniołów stróżów.

DO KRAKOWA

W czerwcu 1941 do Lwowa weszli Niemcy. Wiesia jeszcze skończyła klasę w szkole na Nowym Lwowie, a pod koniec roku opuściła rodzinne miasto na zawsze. Z Krakowa przyjechał po nią wujek Stanisław Lesek, mąż najmłodszej siostry pani Zwojszczykowej. Trudno znaleźć bliższe dane o Stanisławie Leseku, z wyjątkiem tych podanych na stronie fundacja100.pl. Urodził się 17 kwietnia 1902 r. we Lwowie jako syn Stanisława i Rozalii z Krupów i miał brata oraz kilkoro rodzeństwa. Wstąpił do Legionów, uczestniczył w obronie Lwowa przeciwko Ukraińcom, gdzie należał do załogi odcinka (pododcinek Zamarstynów-Żółkiewskie). Po wojnie mieszkał we Lwowie i był przedsiębiorcą budowlanym. W latach 1936–1938 służył w sztabie Wschodniomałopolskiego Inspektoratu Okręgowego Straży Granicznej, gdzie uzyskał stopień przodownika. Został odznaczony Krzyżem Walecznych

¹ Aarlosen Archives są międzynarodowym centrum badań nad prześladowaniami nazistowskimi i jednocześnie największym archiwum dokumentów dotyczących ofiar i ocalonych. Zbiory zawierają informacje o 17,5 mln osób. Znajdujące się w nich dokumenty dotyczą wielu różnych grup ofiar reżimu nazistowskiego, pracowników przymusowych, osób przemieszczonych (tzw. dipisów) i migracji po 1945 roku: <https://aarlosen-archives.org/pl/>.

² Janusz Horzowski (1928–2018) – geolog, starszy wykładowca oraz kierownik Muzeum Geologicznego AGH w Krakowie.

i Medalem Niepodległości, a 31 grudnia 1938 r. zwolniony ze służby. W 1939 roku miał świadomość, co mu grozi z rąk sowie-
tów, i oboje z żoną uciekli pod niemiecką
okupację. – W 1941 dawna granica z Niem-
cami przestała istnieć i wujek zabrał mnie
z tego byłego raju lwowskiego, tak, jecha-
liśmy oczywiście pociągiem. To była kolej-
na duża zmiana w życiu małej dziewczynki
rodem z Kleparowa, ale tym razem zmiana
na lepsze.

SZKOŁA W KONSPIRACJI

Zamieszkała z ciocią i wujkiem w Kra-
kowie w ich mieszkaniu przy ulicy św. Jana
13/35. – Tam byłam kochana, zadbana. Peł-
nia szczęścia – wspomina. Niczego jej nie
brakowało. Wujek i ciocia, którzy sami nie
mieli dzieci, a byli jej rodzicami chrzestnymi,
marzyli nawet o adopcji, no ale na to nie zga-
dzała się rodzona matka (która w tym czasie
odnalazła się na Zauralu). Pan Leszek jako
ceniony budowniczy (on wybudował 2-piętro-
wy dom ciotki na Nowym Lwowie) pracował
w urzędzie, mógł więc zapewnić rodzinie
utrzymanie. Na końcu ulicy św. Jana pod
numerem 7 był kościół i klasztor Prezentek
i tam Wiesia skończyła szkołę podstawową.
Gimnazjum kończyła i małą maturę zdawa-
ła już na tajnych kompletach. Uczestniczki
spotykały się w domach różnych koleżanek.
Co pamięta z tamtego czasu? Koleżankę
Zulę Zawadzką, w której domu najczęściej
spotykali się na nauce i z którą się zaprzy-
jaźniła. To była kamienica przy ul. Kar-
melińskiej, która miała dwa osobne wejścia, tak
że w razie wyspy można było ewakuować
się i uniknąć aresztowania. – Blisko swoją
szkołę mieli chłopcy – myśmy tak na siebie
„kukali” – uśmiecha się. Zapamiętała też ka-
wiarnię „Pani”, mieszczącą się przy ul. św.
Jana 11. – Ona nazywała się „Pani”, bo tam
usługiwały panie z towarzystwa, a w ka-
wiarni spotykali się członkowie polskiego
podziemia³. Wielokrotnie, jak wracałam ze

szkoły, starsi ludzie mnie zatrzymywali: „Nie
idź dziecko, bo tam jest łapanka”. Rzeczy-
wiście, raz słyszałam strzelaninę. A potem
w 1945 przyszli sowieci, by wyzwać nas
od Niemców, i wszyscy znajomi mówili, żeby
biżuterię i zegarki chować. Wujek schował
cenne rzeczy chyba do pieca i ciotka się
śmiała, że teraz nie możemy w piecu pa-
lić, a był środek zimy. – Ten strach przed
przyjściem sowietów też we mnie został –
poważniej dr Modrakowska.

MÓJ TATUŚ SZÓSTY DO ROZSTRZELANIA

Od dawna nie ma wiadomości od tatusia.
Wiadomo, że bił się w kampanii wrześniowej,
dowodząc baonem „Kleck”, a potem trafił do
oboju jenieckiego w Kozielsku, bo stamtąd
pisał listy do żony („ale nie przypominam
sobie, abyśmy my dzieci je czytały”). Kon-
takt urywa się. W jednym ze swoich listów
z ZSRR Zdzisław podaje Wiesi adres ojca,
widocznie ją o to prosiła. Czekają i tęsknią.
Tatuś w tym czasie spoczywa w dole śmier-
ci, z listami od nich w kieszeni...

Wiesia zaczyna szukać ojca wszelkimi
sposobami, również przez PCK. 13 kwiet-
nia 1943 Niemcy ogłaszają odkrycie ma-
sowych grobów polskich oficerów w Katy-
niu. 28 czerwca na krakowski adres Wiesi
przychodzi zawiadomienie z siedziby PCK
w Warszawie, że kpt. Stanisław Zwojsz-
czyk został ekshumowany w Katyniu, przy
nim znaleziono listy. W piśmie wspomnia-
no też, że „depozyt znajduje się na razie
w posiadaniu władz niemieckich”. Co to za
depozyt? Rodzina Zwojszczyków nigdy go
nie poznała. Możliwe, że dołączył potem do
zawartości tak zwanych skrzyń katyńskich,
które tajemniczo zaginęły pod koniec wojny.

Po latach Wiesia dowie się, że 1 paź-
dziernika 1939 batalion dowodzony przez
ojca bił się pod Wytycznem i prawdopo-
dobnie tam dostał do niewoli sowieckiej.
Kpt. Zwojszczyk figuruje na liście do roz-
strzelania sporządzonej 6 kwietnia. Jest na
niej 90 osób, on na 6. pozycji. Wiadomo
też, że następnie, 11 lub 12 kwietnia 1940,
został przekazany do dyspozycji naczelnika
Zarządu NKWD Obwodu Smoleńskie-
go, a 13 lub 14 zamordowany w Katyniu.
W 2007 roku ówczesny minister obrony Alek-
sander Szczygło awansuje kpt. Stanisława
Zwojszczyka do stopnia majora. Pierwszą

³ Miejsce ważne dla Polaków. W tej kawiarni toczyło się polskie życie literackie, odbywały się też koncerty, występy artystyczne: <https://rocznik.biblioteka.krakow.pl/rbk2019/jacek-olczyk-zycie-literackie-w-okupowanym-krakowie-1939-1945/>. Możliwe, że dr Modrakowska słyszała odgłosy oblavy, która odbyła się w maju 1943 roku, w wyniku której Niemcy aresztowali wszystkich gości.

książkę o Katyniu Wiesława Modrakowska przywiezie w latach 50. z Wielkiej Brytanii, szmuglując ją w bieliźnie.

„BÓG ODMIENI NASZ LOS, ALE CIERPLIWOŚCI!”

Z listów wзира zupełnie inny obraz mamy niż ten, jaki można by stworzyć na podstawie jej przedwojennego trybu życia. Nie załamala się, opiekowała córkami, a także przysparzała polską sierotę, 17-letnią Gienię, która potem zwracała się do niej „mamusiu”. Na zesłaniu Polacy żyli i pracowali w otoczeniu miejscowej biedoty, tak samo gnębionej przez komunistów jak oni sami. – Moje siostry na ten prosty lud złego słowa nie powiedziały. Powiedziały, że oni Polakom wręcz pomagali, bo oni też byli wywiezieni. Mamusia i siostry dostały jakąś chałupę czy stodołę, drewnianą, to między balami były szpary, które one tym chlebem glińiastym, który był na przydział, lepily te szpary – przypomina sobie dr Modrakowska – a nasza 14-letnia Zdzisia pracowała w kopalni rudy, ale nie wiem, co tam robiła. Zachowały się listy od Zdzisławy, nigdy nie ma w nich narzekania, a zapewnienia o tym, że razem z najbliższymi polskimi znajomymi trzymają się razem i pomagają wzajemnie. Mieszkają z panią profesorową, której mąż tutaj zmarł, i jeszcze jedną panią, Stefą, oraz oczywiście wspomnianą Gienią, która jest dla nich siostrą. Zdzisia prosi adresatkę – Wiesię, aby była pierwszą uczennicą w klasie, aby dziękowała wujkowi i cici za opiekę i modliła się za nich. Czasami proszą, by im coś przysłać: „Moja kochana, przyslij mi zdjęcie Naszego Najdroższego Ojczulka” – prosi Zdzisława. Dalej opowiada młodszej siostrze o życiu codziennym na zesłaniu: „Ja chodzę do pracy w tej samej fabryce co z początku, z tą różnicą, że w cięższej trochę pracy przy rudzie, gdzie jest moc zjadliwego pyłu szkodliwego na płuca. Jest to praca terminowa, poza tym przejdziemy do innej cięższej do niej podobnej. Płaca dosyć dobra, np. w pierwszym dniu zarobiłam 7,35 rubli, to znów parę dni po 9 rubli, raz po 5 rubli itd. Obiad jem przeważnie w stołówce, który wynosi 152 ruble. Nieraz przynoszę coś do domu ze stołówki, to znów Matusia zgotuje coś w domu i tak się żyje”. A oto inny fragment: „Z przykrością i politowaniem patrzę na tych, co się Go [Boga] wypierają,



co mówią, że nie ma Boga, bo gdyby był, zrobiłby inaczej. Ja wiem, że zrobi inaczej, aby Mu dziękować, błagać, chwalić i miłować. Tak będzie, ale cierpliwości! Pan Bóg wie, co robi. Nie ręczę za to, że wiele osób nie przyzna mi racji. Ja jednak tego się trzymam”⁴. Dalej starsza siostra opowiada o życiu codziennym, o zimie, która ustąpi miejsca wiosnie i „dobrym niespodziankom”. Tak się też stanie. Wszystkie trzy wyjdą z niewoli, a uratuje je prawdziwy cud.

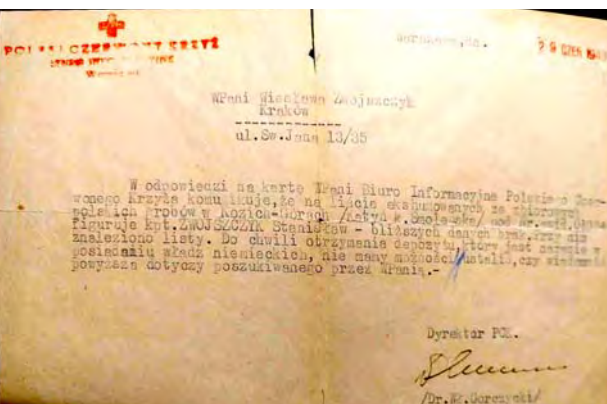
WYJŚCIE Z SOWIETÓW I MAŁŻEŃSTWO Z ROZSĄDKU

12 sierpnia 1941, po podpisaniu układu Sikorski–Majski, władze sowieckie udzieliły „amnestii” polskim zesłańcom. Z niewoli oczywiście nie można było wydostać się automatycznie, ale na opuszczenie terytorium ZSRR trzeba było mieć sowieckie zezwolenie. – One przebywały w Krasnouralsku⁵, a potem gdzieś indziej i tam w sąsiedztwie mojej mamusi mieszkał jeden pan z rodziną, łącznie trzy osoby. Ten pan zgłosił się do armii gen. Andersa i dostał pisemne pozwolenie na wywiezienie 3 osób... Ale on przed tą „3” dopisał „1”, i w ten sposób mógł wywieźć nie 3, ale 13. – A te sowieckie

Zdzisława Zwojczczyk i jej brytyjski mąż Alfred, druga połowa lat 40. XX w.

⁴ Jedna z kartek została zaadresowana do Lwowa na ulicę Cieszyńską 18, na Zofię Rzęsę [moja próba odczytania nazwiska zapisywanego wtedy oczywiście cyrylicą], z adnotacją „dla Wiesi Z.”.

⁵ Miasto w obwodzie swierdłowskim (Swierdłowski od 1991 r. Jekaterynburg), obecnie w Uralskim Okręgu Federalnym. Obwód leży na 2 kontynentach, w Europie i Azji. Zajmuje południową część pasma Uralu, a także przyległe do gór zachodnie fragmenty Niziny Zachodniosyberyjskiej (Wikipedia).



tumany się oczywiście nie zorientowały, że on ich oszukuje – mówi dr Modrakowska. – Pytałam siostr, jakie są dalsze losy tego pana, a one nie wiedziały. No jak tak można? Przecież on narażał dla nich swoje życie! Ten mężczyzna prawdopodobnie nosił nazwisko Perkowski. Zdzisława często wspomina w listach niejakiego „Perkowskiego”, który opiekuje się ich rodziną. Trzech Perkowskich figuruje na przykład na liście żołnierzy 3 Dywizji Strzelców Karpackich: Kazimierz, Marian i Stanisław.

Starania trwały długo. Dopiero 22 czerwca 1942 roku wszystkie trzy opuściły ZSRR i znalazły się w Teheranie⁶. Tam Zdzisława, która marzyła o studiach lekarskich, pracowała w szpitalu jako pielęgniarka. I tam poznała Alfreda, majora armii brytyjskiej stacjonującej w Indiach, który się jej oświadczył. – Zdaje się, że moja siostra potraktowała ten związek rozsądkowo... – myśli głośno dr Modrakowska – pobrali się i Alfred zaopiekował się naszą rodziną. 30 lutego 1945 opuściła Iran i wyjechała do Libanu. Kiedy Alfred wyjeżdżał do Anglii, zabrał obie siostry i moją mamusię ze sobą. W ten sposób ratowało się wtedy więcej polskich rodzin, przez takie małżeństwa z rozsądku. Bardzo ciekawy jest formularz rejestracyjny, jaki wypełniła każda z pań. Osoby wygnane z ojczyzny podczas wojny, więźniowie i uchodźcy po zakończeniu działań wojennych musieli zdecydować, co zamierzają teraz zrobić. Zgłaszali się do specjalnego punktu i wypełniali formularze, podawali podstawowe informacje rodzinne, przebieg losów, ale też podawali oczekiwane miejsce relokacji. Obie panie podały „Lwów,

Zawiadomienie z PCK z dn. 28.06.1943 r. o ekshumowaniu ojca w Katyniu

Polska” – lecz w obu formularzach zdanie to zostało wykreślone. Może z początku nie pojmowały, że Lwowa w Polsce już nie ma? W dokumencie z 2 października 1948 Międzynarodowa Organizacja Uchodźców (International Refugee Organisation⁷) – Misja Środkowschodnia informuje, że przysłała do biura w Bejrucie dokumenty w sprawie przesiedleń indywidualnych co do 6 osób. Na liście widnieje Halina Zwojszczyk, z adnotacją, że wyjechała do Wielkiej Brytanii.

„Z CIEBIE TAKA MAŁOROLNA, JAK ZE MNIE KSIĄDZ”

Kiedy Polacy mogli już wyruszyć na Ziemie Odzyskane, pan Lesek dostał przydział służbowy do Wrocławia. Razem z zespołem innych fachowców miał zaopiekować się tutejszymi budynkami użyteczności publicznej. – Zdaje się, najpierw „województwem”⁸ – zastanawia się dr Modrakowska. Wiesia i jej ciocia dołączyły do niego i zamieszkały we Wrocławiu. Tutaj Wiesia skończyła dwie ostatnie klasy liceum (bo tyle jej brakowało po tajnych kompletach), zdała maturę i zaczęła studia stomatologiczne, odbywające się jeszcze wówczas w ramach Uniwersytetu Wrocławskiego. Czasy dla takich jak ona były ciężkie. Na uczelni należało regularnie wypełniać ankietę dotyczącą pochodzenia. Wiesię obciążało zaś wiele. Była kresowianką, córką oficera KOP zamordowanego w Katyniu oraz zesłanki politycznej, która teraz przebywała za Żelazną Kurtyną. Dzięki przyjaciółom z Poronina zdobyła fałszywe zaświadczenie i oficjalnie podawała w dokumencie, że jej ojciec był przed wojną... chłopem małorolnym. Pisała tak w ankiecie co roku, aż życzliwy kolega poradził jej po cichu: „Wiesia, z ciebie taka córka małorolnego, jak ze mnie ksiądz. Ty uważaj, co piszesz w ankiecie, bo co roku podajesz inną liczbę morgów, które niby posiadał twój ojciec”. Równolegle UB zainteresowało się

⁷ Przynależna do ONZ, istniała w latach 1946–1952. Wspomagała uchodźców i przesiedleńców wojennych.

⁸ Tj. obecnym urzędem wojewódzkim mieszczącym się przy dzisiejszym pl. Powstańców Warszawy, wybudowanym w czasie II wojny jako siedziba jednostki samorządu lokalnego, Regierungspräsidium.

⁶ Dokument z Archiwum Aarlosen [op. cit]. Z niego wynika też data wyjazdu do Libanu.

wujkiem Lesekiem, który w czasie wojny działał w podhalańskich strukturach ZWZ-AK. Wujek w tym czasie mieszkał znowu w Krakowie, dokąd został skierowany, aby budować Nową Hutę. Został pojmany i postawiony przed sądem wraz z kolegami z wojennej konspiracji, ale ostatecznie uniewinniony, uniknął więzienia⁹.

KADET LWOWSKI ZA MĘŻA

Wiesia skończyła studia i rozpoczęła pracę w „wędrownym” ambulansie. Był to pojazd mieszczący w sobie gabinet lekarski i stomatologiczny, którym podróżowała trójka lekarzy. Odwiedzali oni dolnośląskie miasteczka powiatowe, aby zapewnić ludności dostęp do usług medycznych, który w tamtych czasach był ograniczony do dużych ośrodków. Stacjonowali w jednym miejscu 2–3 miesiące i jechali dalej. Był to dla Wisi bardzo dobry czas. Zarabiała się lepiej aniżeli w mieście.

W 1953 roku Wiesława Zwojszczyk wyszła za mąż za Andrzeja Modrakowskiego, wykładowcę na Wydziale Weterynarii wrocławskiej Akademii Rolniczej. Andrzej był synem zasłużonego profesora medycyny, Jerzego Leopolda Modrakowskiego, który przed I wojną wykładał na Uniwersytecie Lwowskim¹⁰. Andrzej urodził się w Warszawie 7 lipca 1924, ale potem związał się ze Lwowem. W 1939 roku był kadetem 3. Kompanii I Korpusu Kadetów we Lwowie i poznał to miasto. „Dlaczego wolę zajmować się końmi? Bo ja tak nie cierpię, jak przychodzą te pańcie ze swoimi pieskami” – mówił, bo znał

gwarę lwowską. Jego cały zespół zresztą wywodził się ze Lwowa. Był tam np. jeden ciekawy laborant nazwiskiem Mryc¹¹, którego wszyscy wołali „Mrycku”, legenda Wydziału Weterynarii. „Pani Profesorzy – anonsował – przyszedł znowu ten teofilik”, a miał na myśli pieska z hemofilią. Mrycku miał więcej takich powiedzonek. Przede wszystkim jednak był świetnym fachowcem. Studenci przychodzili do niego przed egzaminem, a on ich odpytywał. „Umiesz” – oceniał i taki student szedł i zdawał!

Andrzej był bardzo aktywny zawodowo w dziedzinie chirurgii i anestezjologii. Odbýwał staże zagraniczne, 2 lata wykładał w Iraku, napisał wiele prac naukowych. Pracował na uczelni i jednocześnie na wrocławskim Torze Wysiógów Konnych, gdzie do dziś odbywa się memoriał jego imienia. Zmarł 17 stycznia 2007 roku i jest pochowany na cmentarzu św. Rodziny na wrocławskim Sępolnie. Na jego grobie zamocowana jest symboliczna tabliczka ku czci teścia, oficera z Katynia.

SPOTKANIE PO 20 LATACH

W 1954 roku Wiesia urodziła córkę i zmieniła miejsce pracy na przychodnię akademicką. 3 lata później dostała od rodziny zaproszenie do Anglii. – Zastanawiałam się długo. Jechać czy nie? Ale w końcu złożyłam podanie o paszport... i dostałam go! No i znowu dylemat: „jechać czy nie?”. To wtedy nie był prosty wybór, to była droga na drugi koniec świata, najeżona przeszkodami organizacyjnymi, finansowymi i politycznymi przede wszystkim. Wiesia starała się wtedy o pracę w Klinice Chirurgii Stomatologicznej Akademii Medycznej, którą kierował profesor Tadeusz Owiński¹². „Jedź. Kto wie, czy znowu będziesz mogła?” – poradził profesor. Pojechała, mało tego, zabrała ze sobą 3-letnią córeczkę. Jechało się wtedy pociągiem przez Niemcy, Francję. Potem przeprawa przez kanał La Manche. – A pociągi były nabite! – wspomina – wszędzie Polacy, którzy wtedy tłumnie ruszyli na Zachód, by

⁹ Zob. D. Golik, *Sześć karabinów u malarza z Poronina*, <https://plus.dziennikpolski24.pl/szesc-karabinow-u-malarza-z-poronina/ar/c15-18241785> dostęp 20.02.2025; S. Lesek zmarł w Krakowie 19.03.1974, został pochowany na cmentarzu Grębałów.

¹⁰ Jerzy Leopold Modrakowski (1875–1945), lekarz, prof. medycyny. Przed I wojną związany ze Lwowem, tu został prof. farmakognozji. W latach 1936–1939 rektor Akademii Stomatologicznej w Warszawie, od 1.09.1939 rektor UW, kierownik szpitali polowych na terenie kampusu UW. Dzięki jego staraniom w maju 1940 roku wydano 529 dyplomów studentom Wydziału Lekarskiego. Następnie wykładowca na tajnym Wydziale Lekarskim. Wywieziony po Powstaniu Warszawskim do obozu pracy we Wroclawiu, zmarł tuż po zakończeniu wojny. Pochowany na Powązkach.

¹¹ Mikołaj Mryc.

¹² Tadeusz Owiński (1904–1995), chirurg szczękowo-twarzowy i stomatologiczny, asystent prof. Antoniego Cieszyńskiego na UJK we Lwowie. Po II wojnie światowej twórca wrocławskiej szkoły chirurgii stomatologicznej i szczękowo-twarzowej.



Pamiątki z wyjazdu do Katynia, 10.04.2010 r.

zobaczyć krewnych, z którymi rozdzieliła ich II wojna. W tym tłumie ona z maleństwem. To była ciężka wyprawa! Po przyjeździe na teren Wielkiej Brytanii córeczka energicznie zażądała powrotu do domu, ale odwrotu nie było. Panie dotarły do rodziny, która mieszkała w dalekim Manchesterze. Gościły tam 2 miesiące. Wiesia dostała nawet propozycję, by zostać, ale ona wolała Polskę. Co innego Halina Zwojszczykowa. – Proponowałam mamusi, aby przyjechała do ojczyzny. „Dziękuję. Ja już tam, za Uralem widziałam rządy komunistów i mnie to całkowicie wystarczy” – odpowiedziała matka. Przyjechała dopiero w latach 70. Kiedy ją zobaczyłam, gdy wyszła z auta, załamalam ręce – opowiada dr Modrakowska. Halina Zwojszczykowa okazała się wyniszczona chorobą nowotworową. Powód przyjazdu stał się jasny. Chciała umrzeć na ojczystej ziemi.

„NIE CHCIAŁAM WIDZIEĆ TYCH KAŁMUKÓW”

Biegły lata, a Wiesia nie decydowała się odwiedzić Katynia. – W latach 90. istniała już Rodzina Katyńska i oni cały czas organizowali pielgrzymki, tylko ja nigdzie nie chciałam jechać, przekraczać granic. – Nie chciałam tych kałmuków widzieć – wzdycha. Przekonała ją do wyjazdu dopiero przyjaciółka, Bronia Orawiec¹³. Rodzina Orawców z Poronina byli to znajomi wujka Leseka z konspiracji. To Bronisław Orawiec: kiedy był wójtą Poronina, wystawił Wiesi słynne zaświadczenie o „małorolnym” pochodzeniu. Jego brat, mjr Franciszek Orawiec, zginął w Katyniu. A córka Bronia była zasłużoną

działaczką Rodziny Katyńskiej w Zakopanem i przyjaciółką Wiesi. – I teraz Bronia mówi: „Dlaczego nie chcesz jechać, przecież to jest prawdziwy grób twojego ojca? Jedźcie pociąg, jedźcie polskie wojsko, harcerze, cała Rodzina z całej Polski. Bezpiecznie. Poza tym to będziemy paręnaście godzin razem i sobie pogadamy” (no bo cały czas ona była tu w Poroninie, a ja tam we Wrocławiu, więc miałyśmy kontakt tylko telefoniczny, a ja kiedyś wszystkie wakacje spędzałam u nich). No i trzy dni przed wyjazdem z Wrocławia do Warszawy dostaję od niej telefon: „Ojej, tak mi przykro, ale ja dostałam z Kancelarii Prezydenta zaproszenie do samolotu i bardzo się cieszę, bo mam problem z kręgosłupem, a taka podróż będzie trwała krócej”. No i przejechała się razem z nimi...

PŁATKI MOKREGO ŚNIEGU NA TWARZY

Na razie jest noc z 9 na 10 kwietnia 2010 i tak jak zostało ustalone, Wiesława Modrakowska musi dojechać do Warszawy. – Tam był podstawiony pociąg, tylko dla nas. To było ciekawe, bo na granicy z Białorusią był postój, który trwał może nawet 2 godziny ze względu na rozstaw szyn, inny po tamtej stronie. Pociąg przez Białoruś dojechał do Smoleńska, a stamtąd autokary zabrały ich do Katynia. Tam miał dołączyć prezydent Lech Kaczyński i miały odbyć się uroczystości. – Było tak strasznie zimno! Spadały duże płatki mokrego śniegu, które się przylepiały do twarzy – pamięta dokładnie dr Modrakowska. – Myśmy tacy zmarznięci byli, ale tutaj w Katyniu czekała na nas kasza gryczana gorąca, zaprawiona czymś – chociaż mięsa sobie nie przypominam (śmiech) – bardzo smaczna. I gorąca herbata. Przybysze z Polski jedli, spacerowali, rozmawiali przed bramą cmentarza. Robili pamiątkowe zdjęcia, Wiesława Modrakowska zrobiła fotografię rosyjskiego strażnika. – A tak. Stał, gieroj jak spod igły! – uśmiecha się – zapytałam, czy mogę zrobić zdjęcie: „Tak, oczywiście!”. Zgodnie z planem wszyscy czekali na delegację rządową, ale to czekanie się przedłużało. – Wreszcie jakieś dziwne wiadomości zaczęły przychodzić. Wyczuwało się zdenerwowanie. Potem ktoś do Smoleńska pojechał, wrócił i taką wiadomość podał. Konsternacja straszna. Msza się odbyła. Od razu za wszystkich zamordowanych.

¹³ Bronisława Orawiec-Löffler (1929–2010), lekarz stomatolog, działaczka społeczna, członkini Federacji Rodzin Katyńskich.

Franciszek Haber

Z BATOREGO NA PARNAS

CZĘŚĆ I Z BATOREGO NA WAŁY HETMAŃSKIE I POBLIŻE

Za rączkę w rodzinnym gronie pod pomnik Sobieskiego, ale nie mogło być inaczej, wcześniej na plac Kapitulny do łańciskiej katedry, a wszystko obok słynnego lwowskiego deptaka, czyli Wałów Hetmańskich. A jak to z tymi słynnymi wałami było naprawdę? Zanim rozpanoszył się we Lwowie austriacki ciemieżca, ciągnęły tędy wały obronne walecznego miasta, niestety zostały wyburzone, chociaż w zamian wykonano wiele modernizacji. Miejsce po wałach splantowano i zamieniono w szeroką aleję kasztanów, klonów i krzewów, ozdobioną także klombami. Z prawej, wschodniej strony powstała ulica Hetmańska – do 1855 roku Untere Wallgasse, potem Obere Karl Ludwig Strasse (do 1871), a następnie Hetmańska (do 1940), a z zachodniej, lewej strony nazywała się Karola Ludwika, potem – za II RP – Legionów. Dzisiaj obie strony to Aleja Swobody (Hetmańska numery parzyste, Legionów nieparzyste). Ulicy Hetmańskiej dał nazwę stojący nieopodal pomnik hetmana wielkiego koronnego Stanisława Jabłonowskiego, znakomitego dowódcy skutecznie broniącego Lwów przed Tatarami w 1695 roku, notabene jego pomnik zniszczyli sowieci po drugiej wojnie światowej. Przy wałach płynęła rzeka Peltew, nieprzynosząca splendoru miastu, dlatego też schowano ją w kolektorze pod ulicą Legionów (1888).

W ten oto sposób metropolia wypiękniała i szybko ruszyła zabudowa tej części aglomeracji. Na styku Wałów Hetmańskich i placu Mickiewicza, wcześniej Mariackiego, znajdowała się studnia-fontanna z wyrzeźbioną w białym marmurze figurą Matki Boskiej dłuta Jana Nepomucena Hauttmanna, zakupioną w Monachium w 1859 roku, sam artysta podjął się restauracji starej studni, której postument wykonano z kamienia trembowelskiego. Hojną fundatorką była hrabina Seweryna z Petewskich Badeniowa, żona hrabiego Władysława Badeniego, polityka Galicji. W związku z budową pomnika wieszczu Adama Mickiewicza (1904) studnię przeniesiono w inne miejsce, a jej projekt opracował architekt Michał Łużecki. Po wojnie zdjęty z cokołu posąg został uratowany, gdyż trafił do składu, jakim w tym czasie była kaplica Boimów, a wypatrzony przez zakonników szczęśliwie zawędrował do dawnego kościoła oo. Bernardynów, obecnie cerkwi św. Andrzeja. Fontanna, po odzyskaniu przez Ukrainę niepodległości, została odnowiona głównie ze środków społecznych (1997), a na cokole stoi wierna kopia poprzedniej rzeźby.

Na placu Mickiewicza nr 8 stoi modernistyczna kamienica Sprechera zbudowana przez architekta Ferdynanda Kesslera

Widok Lwowa z rzeką Peltwią (tu powstana Wały Hetmańskie) – domena publiczna





Studnia i fontanna Matki Boskiej, Lwów –
 fot. Marek Münz (1925) – domena publiczna

i Juliana Cybulskiego (1921). To pierwszy we Lwowie drapacz chmur. Więcej o nim w innym moim esej o ulicach Lwowa. Do tej kamienicy został wręcz przyklejony z lewej strony współczesny budynek o ośmiu kondygnacjach z adresem Aleja Swobody 6/8 (Hetmańska), sąsiadujący z kamienicą nr 10. Wzniesiony

został wg projektu Jarosława Nazarkewycza (1964) i stoi na miejscu zombardowanych kamienic (1941). Od strony wschodniej, mający ponad wiek, drapacz Sprechera ma adres Rutowskiego nr 1. Przesłania on widok z placu Mickiewicza na Boimów (Staro-jewrejską) oraz plac Kapitulny (Katedralny) i katedrę. Pod tym numerem była zarejestrowana firma bławatna Abrahama Brauna oraz kwaciarnia F. Franczaka. Naprzeciw, w nieistniejącym domu pod adresem Rutowskiego nr 2, mieściły się: księgarnia Rehmana, sklep z rękawiczkami oraz sklep z odzieżą. Idąc do kaplicy Boimów wzdłuż pierzei południowej placu Kapitulnego, mijano się różne sklepy. Pod nr. 2 za czasów galicyjskich handlował tu bielizną Ignacy



Reklama sklepu Mokrzyckiego, Lwów
 Reklama sklepu z rękawiczkami, Lwów

Drexler, ojciec rzeźbiarki Luni Drexlerówny. Musimy pamiętać, że do XIX wieku miejsce to było przykościelnym cmentarzem. Ocalała po nim jedynie ta wolno stojąca kaplica pod wezwaniem Trójcy Świętej i Męki Pańskiej, która należała do lwowskiej rodziny kupieckiej Boimów, a fundatorem był pochodzący z Transylwanii Jerzy Boim,

kupiec, późniejszy sekretarz króla Stefana Batorego. Była to rodzinna kaplica grobowa, a budował ją w latach 1609–1611 manierystyczny architekt i rzeźbiarz z Wrocławia Andreas Bemer. Kaplica powstała na planie kwadratu z kasetonową kopułą i ośmiobocznym tamburem, a latarnię tejże kopuły wieńczy figura Chrystusa Frasobliwego. Kaplica należy do sztuki późnego renesansu, a dekoracje rzeźbiarskie

przypisuje się Andrzejowi Bremerowi, a także pochodzącemu z Wrocławia Johannowi Scholzowi, i noszą one wyraźne ślady wpływów niderlandzkich. Natomiast dekoracje rzeźbiarskie wnętrza kaplicy to dzieła Han-



Reklama księgarni Rehmana

Składy płócien i gotowej bielizny.
Bayer M i Spółka, Lwów, Karola Ludwika
 1 Magazyn fabryczny Płócien, stołowej
 i gotowej bielizny. Kompletne wyprawy
 ślubne.
 Drexler Ignacy i Synowie, plac Kapitulny 2.

MAGAZYN POŚCIELI
Marian MLEKO
 Lwów, pl. Kapitulny 2.
 tel. 237-72.

sa Pfistera. Po wojnie długo niszczała, pod koniec lat siedemdziesiątych stała się Lwowską Galerią Obrazów i to ją zapewne uratowało. W XIX wieku dobudowano do niej od strony południowej kamienicę. Po drugiej stronie katedry ulica Kilińskiego łączyła rynek z ulicą Hetmańską. Po wojnie ulica Kilińskiego (Berdy) wyraźnie się skróci-



Figura Chrystusa Frasobliwego na kopule kaplicy Boimów, Wikipedia



Kaplica Boimów (Kaplica Ogródcowa), Lwów (1935) – domena publiczna

ła i teraz łączy ulicę Hetmańską (Prospekt Swobody) z placem przy świątyni, a część ul. Kilińskiego stała się placem Katedralnym.

Tutaj stanęła bazylika archikatedralna Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny,

Reklama sklepu za „Gazetą Informacyjną” (1891).
 Reklama sklepu z pościelą, Lwów – domena publiczna

zwana katedrą łącińską, gotycka świątynia trójnawowa otoczona kaplicami. Zanim powstała, był to kościół Trójcy Przenajświętszej, który spłonął podczas najazdu litewskiego w 1350 roku. Z inicjatywy króla Kazimierza Wielkiego rozpoczęto budowę nowego kościoła w 1360 roku, który konsekrowano w 1481 roku. Po wielkim pożarze Lwowa zawałiła się część sklepień prezbiterium wykonanych przez mistrza Joachima Grana z Wrocławia. W latach 1765–1772 dokonana została gruntowna restauracja katedry. Świątynia uzyskała późnobarokowy charakter z elementami rokoka i krzyżowe sklepienia naw, a w prezbiterium krzyżowo-żebrowe. Wnętrze świątyni pokrył freskami Stanisław Stroiński (1771–1775). Wieże ozdobiono hełmem w stylu rokoka. Drugiej niestety nie dokończono. W latach 1766–1769 zmodernizowano kaplice, wymieniono ołtarze,

a brali w tym udział lwowscy artyści, jak architekt Piotr Polejowski, rzeźbiarze Maciej Polejowski, Jan Obrodzki czy Franciszek Olendzki. W efekcie uzyskano harmonijność wnętrza. W proteście przeciw aneksji miasta przez Austrię główne wejście do katedry zamurowano (1772) i wybito nowe w fasadzie zachodniej. W 1802 roku kościół otrzymał kutą ambonę. Pod koniec XIX wieku Julian Zachariewicz odnowił prezbiterium w stylu gotyckim, wstawiono witraże według projektów m.in. Jana Matejki, Józefa Mehoffera czy Tadeusza Popiela. Organomistrz Jan Śliwiński wykonał małe organy w prezbiterium (1896), a trzy lata później przebudował główne Romana Ducheńskiego z 1839 roku, utrzymując styl nowogotycki w taki sposób, że między sekcjami widać okno z witrażem Teodora Axentowicza *Matka Boska Królowa Aniołów* (1895). Na ścianach prezbiterium



Fragment sztukaterii – kaplica Boimów – domena publiczna



Katedra łacińska, Lwów, 1840 i 1898 –
domena publiczna

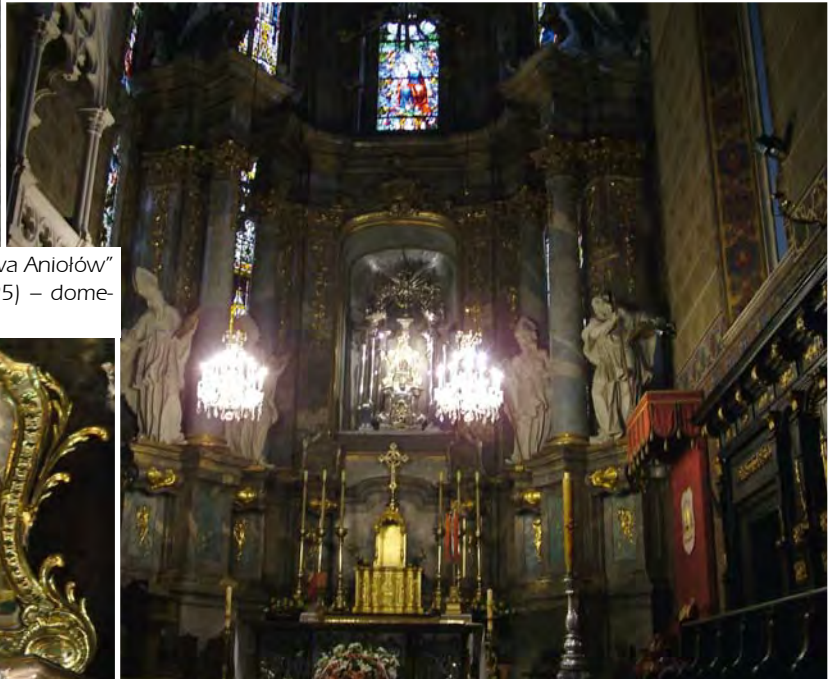


pomniki nagrobne i epitafia z brązu (XVI w.), a także kamienne w krużgocach, ponadto wspaniałe rzeźby i epitafia w kaplicach. U wejścia do prezbiterium z prawej strony nawy głównej stał empirowy pomnik Katarzyny z Ossolińskich Jabłonowskiej (1806) dłuta Hartmanna Witwera. Dach miedziany zagrabili austriaccy zaborcy w 1917 roku, ocalały zaledwie bla-

Witraż „Matka Boska królowa Aniołów” – Teodor Axentowicz (1895) – domena publiczna



Kopia obrazu Matki Boskiej Łaskawej,
Wikimedia



Katedra łacińska, Lwów – prezbiterium, Wikipedia



Pomnik Katarzyny z Ossolińskich Jabłonowskiej – Józef Jaworski (1912) – domena publiczna

chy na wysokiej wieży (65 m). Po drugiej wojnie światowej usunięto władze kościelne, które szczęśliwie znalazły tymczasową siedzibę w archidiecezji lubaczowskiej, do której trafił także cudowny obraz Matki Boskiej Łaskawej. Arcybiskupstwo powróciło do Lwowa dopiero w 1991 roku, a kościół przeszedł gruntowny remont w związku z wizytą papieża Jana Pawła II, którą upamiętnia tablica na murze świątyni. Katedrę obiegają kaplice – po trzy z obu stron nawy i po jednej z obu stron prezbiterium. Tutaj także znajduje się zakrystia wielka i zakrystia mała (wikaryjska). W głównym ołtarzu dziś znajduje się kopia obrazu Matki Bożej Łaskawej (Ślicznej Gwiazdy Lwowa) pędzla profesora ASP w Krakowie Józefa Nykła (1982), podobnie w Lubaczowie, ponieważ oryginał namalowany jako epitafium przez Józefa Szolc-Wolfowicza dla wnuczki Katarzyny Domagaliczówny (1598) trafił po gruntownej renowacji do skarbcza katedralnego na Wawelu.

Kaplica Kampianów, Wikimedia – domena publiczna

O dziejach kościoła katedralnego pisał radca dworu hrabia Maurycy Dzieduszycki (1813–1877) w swojej znakomitej książce *Kościół katedralny lwowski obrządku łacińskiego pod wezwaniem Wniebowzięcia Najśw. Panny* wydanej nakładem X.O. Hołyńskiego (Lwów 1872), a dedykowanej Sewerynie z Pietruskich hrabinie Badeniowej. Współczesne opracowania to m.in. Marii Podłodowskiej-Reklawskiej *Katedra łacińska we Lwowie* (2013), Ryszarda Czarnowskiego *Katedry Lwowa* (Rytm 2020) i Ryszarda Frączka / o. Brunona Neumanna OH *Bazylika metropolitalna obrządku łacińskiego we Lwowie* (Scriba, 2021). Wymienię tu tylko jedną z ośmiu kaplic, która zawsze zachwyca mnie swym pięknem. Kaplica Kampianów – renesansowa, z przełomu XVI i XVII wieku, zbudowana na miejscu dawnej kaplicy Strumiłłów przez lwowskiego architekta Pawła Rzymianina. Ufundowana została przez burmistrza Lwowa i doktora medycyny Pawła Kampiana jako rodzinne mauzoleum. Od strony ulicy Kilińskiego ścianę kaplicy ozdabiają płaskorzeźby i medaliony Jana Pfistera i Andrzeja Bemera. Ołtarz w kaplicy z czarnego marmuru wykonał Henryk Horst, także figury Piotra i Pawła z czerwonego marmuru stojące



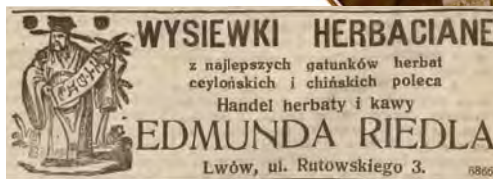
w niszach ołtarzowych, nadając twarzom podobieństwo do ojca (Pawła zm.1600) i syna (Marcina zm.1629) Kampianów. Ich popiersia na prawej ścianie kaplicy wyrzeźbił Wojciech Życki. Czuje się niedosyt w opisie lwowskich świątyń mimo wojennych grabieży i zniszczeń, ale w krótkim eseju niestety jest to niemożliwe.

Obok katedry biegnie ulica Rutowskiego – z placu Mariackiego (Mickiewicza) na plac Krakowski (Osmomysła). Jest jedną z najdłuższych ulic starego Lwowa, od 1780 nazywała się Długa, potem Teatralna, a od 1915 Rutowskiego, w latach 1941–1944 Lang Gasse, w 1944 znów Rutowskiego, a teraz Teatralna. Tadeusz Rutowski (1852–1918) był człowiekiem wielu profesji i zasług: dziennikarz, ekonomista, poseł na Sejm Krajowy i do Rady Państwa, i to przez kilka kadencji, w końcu prezydent Lwowa (1914–1918) w niezwykle trudnym dla miasta okresie I wojny światowej. Mecenaz sztuki i redaktor naczelnny miesięcznika „Sztuka”. Naczelnny Komitet Narodowy ufundował medal (1916) upamiętniający zasługi prezydenta, wygrawerowany przez profesora Jana Raszkę. Rutowski m.in. mieszkał także na Rutowskiego pod nr 12.



Edmund Riedl (1854–1913)

Lwowie firmę handlującą kawą, herbatą, nasionami, alkoholem i japońską porcelaną, zresztą miał dwa sklepy na parterze, w jednym z nich sprzedawano nasiona. Po jego śmierci firmą zajmował się syn Kazimierz. W tym domu była



Reklamy sklepu Edmunda Riedla – domena publiczna



Medal Tadeusza Rutowskiego – domena publiczna

Przy kamienicy Sprechera stoi wąska trzypiętrowa kamienica z wykuszem nakrytym balkonem trzeciego piętra, zbudowana na miejscu starego domu Muellerów przez architekta Zygmunta Kędzierskiego (1900) dla kupca Edmunda Riedla, który miał we



Fasada kamienicy Rutowskiego nr 3, Lwów, Wikipedia

Ulica Rutowskiego, z lewej kamienica nr 7 i nr 9 na rogu Kilińskiego – domena publiczna

także kancelaria notarialna Zygmunta Groblewskiego.

Kamienica przy ul. Rutowskiego 5, trzy-piętrowa, modernistyczna, mieściła pracownię kuśnierskie braci Lubelskich, także sklep futer; podobnie kamienica nr 7, również trzy-piętrowa, szeroka z oficynami, i pracowniami kuśnierzy, zbudowana w stylu klasycyzującym, z secesyjnymi balkonami pierwszego piętra oraz szeroką dwuskrzydłową bramą wjazdową. Parter zajmował salon z futrami Augustynów, na pierwszym piętrze była ich pracownia, a na drugim mieszkali właściciele, o czym wspomina w swojej książce *Lwów, wspomnienia lat szczęśliwych* (Wrocław 1994) dr Janina Augustyn-Puziewicz. Miał tu także skład sukna Ludwik Ralski, B. Dolnik zajmował się krawiectwem damskim, Schneikart naprawiał zegarki, natomiast W. Borzowski sprzedawał aparaty



Reklama zakładu futrzarskiego, Rutowskiego nr 5, Lwów – domena publiczna



Inserat w miesięczniku „Głos Eucharystyczny” (marzec, 1931), Lwów – domena publiczna

fotograficzne, a Turlik miał zakład złotniczy. W czasach II RP Towarzystwo Biblioteka Religijna sprzedawało tu między innymi modlitewniki.

Dom pod nr 9, dwupiętrowy, z namiotowym narożem i mansardą, na rogu Kiliń-



skiego, zbudował architekt Józef Kajetan Janowski (1892) dla księgarza Władysława Gubrynowicza (1836–1914), a fasadę ozdobił torsami Adama Asnyka, Jana Kochanowskiego, Zygmunta Krasińskiego, Ignacego Kraszewskiego, Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego rzeźbiarz Piotr Harasimowicz. Dom ten zastąpił kamienicę, która należała do rodziny Rodakowskich, lwowskich adwokatów Pawła i jego syna Zygmunta, a brat Zygmunta Henryk Rodakowski (1823–1894), też prawnik, był słynnym malarzem portrecistów. Księgarnię Gubrynowicz i Syn przejął Aleksander Krawczyński (1891–1971) w 1934 roku i prowadził ją do wojny. Po wojnie w Gdańsku założył Księgarnię Gdańską, a potem, po jej upaństwowieniu, prowadził antykwariat do emerytury.



Reklama księgarni Gubrynowicza, Rutowskiego nr 9, Lwów (1914) – domena publiczna



Reklama składu sukna Rutowskiego nr 7, Lwów



Reklama oferty, Antykwariat Polski

Kamienica Rutowskiego nr 11 stoi na rogu Kilińskiego obok placu św. Ducha (Iwana Pidkowy). Jest to dom dwupiętrowy w stylu neorenesansowym, z wyraźnymi nadokiennikami i gzymsowymi podziałami pięter, boniowany, z attyką i lukarnami od strony placu św. Ducha. Mieściło się tutaj biuro ewidencji ludności, swą siedzibę miał Związek Urzędników gminy Lwowa. Sprzedawano także przewodniki z adresami mieszkańców miasta. Stary dom i parcela należały do Ponińskich (1762), potem do Karola Hartmanna (1827) i wtedy odrestaurował ją Mateo Brezani (1829), w 1870 roku należała do Sieberów i została przebudowana przez Adolfa Kamienobrodzkiego (1880), dekoracje rzeźbiarskie wykonał Leonard Marconi, a od ostatniego właściciela Gabriela Starka przeszła na własność gminy. Po różnych powojennych losach obecnie zaadaptowana na potrzeby akademickie. Wszystkie te działania powiązane były także z domem stojącym przy Hetmańskiej nr 14, ale o tym za chwilę. Po drugiej stronie Rutowskiego, pod nr 4 stoi trzypiętrowa narożna kamienica w stylu eklektycznym. Za Galicji była tu apteka i drogeria Leszka Sładowskiego. Następna kamienica na Rutowskiego nr 6 to wąska trzypiętrowa budowla z kamienym balkonem na całej szerokości frontonu i opartym na nim wykuszku zwieńczonym balkonem trzeciego piętra. Kamienica posiada bogatą attykę z czterema fialami, a secesyjny balkon trzeciego, podobnie jak pierwszego piętra ozdabiają narożne wazony. Elewację obłożono granitem. Kamienica powstała w 1911 roku według projektu Adolfa Pillera i Tadeusza Nowakowskiego przy współpracy Jana Lewińskiego dla hrabiny Zofii Lasockiej. Następny dom nr 8 ma trzy piętra z piętnem klasycyzmu i balkon na drugim piętrze. W tym domu na parte-

Rutowskiego 9 i 11 oraz nr 4 na skrzyżowaniu z Kilińskiego, Lwów – domena publiczna

rze znajdowała się cukiernia rodziny Monné, która mieszkała po sąsiedzku w pięknej kamienicy nr 10. Tutaj odwiedzał ich córkę Wandę (1850–1923) jej narzeczony, wybitny malarz Artur Grottger (1837–1867). Dom zbudowano w latach 1768–1773 według planów architekta Piotra Polejowskiego, w stylu barokowym z domieszką klasycyzmu, dla generała Rocha Wieniawskiego, a po jego śmierci właścicielką była jego żona Urszula z domu Szembek, następnie dom przeszedł na własność dalszej ich rodziny Brajerów. Fasadę dekorują rzeźby Wenery i Marsa mistrza dłuta Pawła Eutele (1850), umieszczone na balkonie, oraz cztery maszkarony nad oknami parteru. Nad wejściem balkon wspiera się na parach kolumn z szeroką dwuskrzydłową bramą. Tutaj została otwarta w 1908 roku kawiarnia artystyczna Sztuka, której wnętrza zaprojektował Feliks Michał Wygrzywalski, dekorując je własnymi freskami. Była też księgarnia spółki Gubrynowicz i Schmidt, zanim Gubrynowicz nie zbudował własnego domu na Teatralnej 9. Tu sprzedawał meble Józef Schuster, który na placu Kapitulnym nr 1 handlował futrami, a Jan Höflinger miał cukiernię. Ostatnia kamienica w pierzei placu św. Ducha ma numer 12. i tutaj, w szerokiej bramie, kończył się pasaż Andriollego, idący z kamienicy Rynek nr 29 i wychodzący na prawą część fasady kościoła oo. Jezuitów. Ta eklektyczna trzypiętrowa kamienica posiada balkon na masywnych konsolach nad wejściem do pasażu. Zaraz za tym domem otwiera się placzyk Trybunalski (Jabłonowskiego), dzisiaj Jaworskiego. Pomnik hetmana wielkiego koronnego Stanisława Jabłonowskiego wykonany został w latach (1752–1754) z twardego piaskowca,



Rutowskiego (Teatralna) nr 11, Lwów, detal gzymsu dachowego, Wikimedia



Teatralna nr 6, Lwów, Wikipedia



Teatralna nr 6, Lwów, tablica budowlanych domu – domena publiczna

Teatralna nr 6, Lwów, kuta secesyjna brama

solidnie pozłoczonego, przedstawiał rycerza w barokowej zbroi z buławą w ręce. Najpierw ten „złoty” hetman stanął na dziedzińcu kolegium Jezuitów przy Teatralnej 15. Zaborca usunął walecznego hetmana, który przeleżał jakiś czas pod kościołem Jezuitów, skąd został zabrany na podwórze hotelu Angielskiego (Karola Ludwika 15). Tam został też odnaleziony (1859) i wydobyty z zapomnienia przez Hipolita Stupnickiego redaktora „Przyjaciela Domowego”, a dzięki ofiarności społeczeństwa, po renowacji dokonanej przez Pawła Eutele (1861), stanął na wałach, odąd zwanych Hetmańskimi. Potem miejsca rajcy przenieśli pomnik na placik Trybunalski (1932), gdzie stał pod piękną kamienicą z wykuszem zakończonym attyką w formie tympanonu. Stąd zniknął za sowietów w 1944 roku i nigdy nie został odnaleziony.



Pasaż Andriollego, widok na bramę kamienicy Rynek 29 – domena publiczna

Trzypiętrowa kamienica nr 10 na ulicy Hetmańskiej została zbudowana w stylu neobarokowym dla Banku Zaliczkowego (1898) przez architekta Hipolita Śliwińskiego. Fasadę zdobią rzeźby z pracowni Ludwika Tyrowicza, obramienia okien oraz wyraziste bonie parteru i piętra, a wykusz drugiego i trzeciego piętra podpierają hermy doryckie (męskie). Przed wojną miał tutaj siedzibę Warszawski Bank Handlowy. Kamienica

Teatralna nr 10, Lwów – domena publiczna



Teatralna 12, Lwów (pasaż Andriollego), Wikimedia

jektowana przez architekta Michała Ulama (1909) dla firmy bankowej Union. Tu, na czwartym piętrze, miał do 1916 roku fotograficzne atelier Kordyan Berthold Fenerstein, potem przeniósł się na ulicę Akademicką 14. W tym nowoczesnym na tamte czasy budynku miały swe siedziby znane lwowskie firmy, towarzystwa asekuracyjne, banki oraz biura architektoniczne z wybitnymi architektami Lwowa początku XX wieku, z Michałem Ulamem na czele. Towarzystwo Radio Films Emila Grubsteina miało (1925) swoje magazyny, podobnie Paramount Films. W ich magazynie doszło w 1930 roku do wielkiego pożaru, cudem ugaszonego, zanim ogień dopadł klisz filmowych. Dzisiaj są tam: sklep jubilerski, salon sukien i Old City Hostel.



Reklama fabryki cukrów, Teatralna 8, Lwów

nr 12, róg Kilińskiego (Pamwo Beryndy), już nie istnieje, jej właścicielem był Michał Ritter von Romaszkan, a po nim hrabina Rozalia z Romaszkanów (1878). Była tu w tamtych czasach (1872) cukiernia Jana Müllera, a od 1886 roku właścicielem nieruchomości byli Henryk Sokal i Ignacy Lilien i to na ich zlecenie w tym miejscu powstała nowa czteropiętrowa budowla modernistyczna, zapro-



Kamienica na ulicy Hetmańskiej nr 14, o której wspomniałem wcześniej, została przebudowana w duchu neorenesansowym (1880). Posiada trzy fasady, jedną od Kilińskiego, drugą od placu św. Ducha i trzecią – ujmując parcelę i jej zabudowę jako całość, od ulicy Teatralnej. W zobowiązaniach własnościowych została umieszczona budowa odwachu, co zostało zrealizowane razem z kamienicą i jej sławną kawiarnią Wiedeńską. W 1902 roku kawiarnia przeszła w ręce Stadtmüllera, Karola Czudżaka, cukiernika, i P. Błockiego, współwłaściciela, wtedy też została zmodernizowana i wyraźnie odżyła. Wejście przesunięto z Hetmańskiej na róg Kilińskiego, a od strony placu św. Ducha dobudowano pawilon (1906). Znani artyści J. Krupski i J. Zajkowski zadbali o wnętrze. Był tam również sklep kolonialny Karola Czudżaka (1907). Po długiej zapaści, liczonej w dekadę, kawiarnia wznowiła działalność w 1998 roku. A odwach stał się dziś kawiarnią. Wracając na Wały Hetmańskie przy Kilińskiego i patrząc w kierunku opery, dostrzegamy oczami wyobraźni galopującego na wysokim cokole króla Jana III Sobieskiego. Pomnik

Pomnik hetmana Stanisława Jabłonowskiego na Wałach Hetmańskich – domena publiczna





Hetmańska 10 i 12 z prawej,
14 z lewej u wylotu Kilińskiego,
Lwów – domena publiczna



Hetmańska 10, Lwów – domena publiczna

ten, autorstwa Tadeusza Barącz, stał tutaj w latach 1898–1945, następnie został ekspatriowany do Gdańska na plac Drzewny. To tutaj przygrywała królowi na harmonii „Ślepa Mińcia”, siedząc na rozkładanym stołku, i pomstowała w lwowskim bałaku na zaczepiającą ją po batiańsku młodzież. Wtajemniczeni stróże prawa wiedzieli, że była ona policyjnym wywiadowcą. Dzisiaj w tym



Reklama banku, Hetmańska 12, Lwów



Reklama firmy Hetmańska 12, Lwów

miejscu stoi pomnik ukraińskiego pisarza Tarasa Szewczenki, którego twórcami byli rzeźbiarze Andrij i Wołodymyr Suchorscy i architekci Jurij Dymba i Jurij Kromej (1992–1996). Natomiast na placu św. Ducha stanął (2014) pomnik Jana Podkowy, kozackiego watałki i buntownika, który dał głowę we Lwowie na rozkaz króla Stefana Batorego (1578); dzisiaj plac nosi jego imię, a głowę w brązie wyrzeźbił Petr Kułyk (1982).



Jezuici przybyli do Lwowa w 1584 roku, a w 1608 roku powołali kolegium męskiej młodzieży i po różnych perypetiach rozpoczęli budowę kościoła (1610), która trwała do 1635 roku. Budowla barokowa, prowadzona przez jezuickiego architekta Giacomo Briano, powstała dzięki wydatnemu wsparciu Elżbiety z Gostomskich Sieniawskiej, żony marszałka nadwornego koronnego Prokopa Sieniawskiego, a jej wzorcem był kościół II Gesù w Rzymie. Szeroką główną nawę ujmują wąskie nawy boczne z emporami,



Kawiarnia Wiedeńska i odwach na placu św. Ducha,
Lwów – domena publiczna



Reklama Kawiarni Wiedeńskiej (1938)



Samolot przed odwachem na placu św. Ducha,
Lwów – domena publiczna

a krótkie prezbiterium ma z obu stron zakrystie. Kiedyś od strony placu wznosiła się czworoboczna wysoka wieża (100 m), rozebrana po zawaleniu się wieży ratuszowej. Fasada składa się z dwóch kondygnacji podzielonych potężnym gzymsiem i jest rozczłonkowana przez korynckie pilastry. Trzy portale, boczne wyraźnie węższe, zwieńczone są półkoliście i posiadają galerie prowadzące na chór. Między pilastrami obu części fasady jest dużo przepruć okiennych i niszowych, w których umieszczono rzeźby świętych zakonników jezuickich. Górną kondygnację obejmują sploty wolutowe, wieńczy ją tympanon z rzeźbą Baranka Bożego. Ponadto ozdabiają ją smukłe pinakle. Nawa główna przesklepiona jest kolebkowo z lunetami na

gurtach, boczne nawy mają sklepienia kolebkowo-krzyżowe. Ściany kościoła opina ją pilastry dźwigające gzyms wewnętrzny kościoła. Chór podpira potrójna arkada. Dach jest dwuspadowy z sygnaturką, a nawy boczne nakrywa płaski dach jednospadowy. Polichromia wnętrza jest dziełem malarzy z Moraw, Franciszka ojca i syna Sebastiana Eksteinów (1740–1743), a ołtarz główny wykonał w manierze baroku lwowski rzeźbiarz Sebastian Fesinger (1744–1746). Nad ołtarzem wisi hebanowy krzyż, być może wykonany przez Jana Pfistera (1616). Nieco później wykonano ołtarze boczne oraz rokokową ambonę z bogato rzeźbionym baldachimem. W ołtarzu w lewej nawie wisiał słynący łaskami obraz Matki Boskiej Pocieszenia, który po wojnie trafił przez Kraków do Jezuitów we Wrocławiu, natomiast w pra-



Plac św. Ducha, Lwów (1830) –
domena publiczna



Pomnik króla Jana III Sobieskiego – Wąły
Hetmańskie, Lwów – domena publiczna



Plac św. Ducha, Lwów – domena publiczna

wej nawie był ołtarz św. Stanisława Kostki, polskiego jezuitę. W 1839 roku umieszczono w ołtarzu głównym obraz wiedeńskiego artysty Fruchwirtha *Ukrzyżowanie Zbawiciela*. Kościół posiadał także piękne rokokowe organy, przebudowane (1877) przez Ignacego ze znanej rodziny organmistrzów Żebrowskich, działających w Polsce od poł. XIX do pocz. XX w. Ignacy Żebrowski poznał wszystkie tajemnice zawodu, pracując w fabryce organów kościelnych i harmonium we Lwowie u Jana Śliwińskiego (wyszkolonego w francuskiej fabryce organmistrza Arisitida Cavaille-Colla), będącego jednym z ekspertów w tym zawodzie, znającego najlepsze europejskie wytwórnie organów, założyciela własnej manufaktury we Lwowie (1876). Ignacy Żebrowski ponownie przebudował jezuitckie organy (1882) i to z takim kunsztem, że uważano je za najlepsze w Galicji.



Fasada kościoła Jezuitów we Lwowie – domena publiczna



Remont kościoła (1891) prowadził architekt Julian Zachariewicz (1837–1898), profesor i rektor Politechniki Lwowskiej, a w pracach malarskich brał udział Henryk Rodakowski (1823–1894), malarz portrecista. Dziś kościół znajduje się przy ul. Teatralnej 11. Do ściany północnej kościoła przylega Kolegium Jezuitów (ul. Teatralna 13). Klasztor i kolegium budowano etapami od 1631 roku, tworząc zwarty czworobok z dziedzińcem pośrodku. Kolegium obecnie ma trzy

Pomnik Tarasa Szewczenki – Wały Hetmańskie, Lwów – domena publiczna



Widok kościoła Jezuitów, Lwów (1756)
– domena publiczna

kondygnacje (górne piętro zostało dobudowane w XIX wieku). Wejście jest ozdobione barokowym portalem, kartuszem i wazonami, a fronton dekorują pilastry, gzymsy i obramienia okienne. Prawa akademickie kolegium otrzymało z rąk króla Jana Kazimierza Wazy w 1661 roku, ale zatwierdzenie przez papieża Klemensa XIII nastąpiło dopiero w 1759 roku. Była tu drukarnia, w której powstało wiele bezcennych dzieł. Niestety w 1773 roku nastąpiła kasata zakonu i akademii. Świątynia stała się kościo-



Kaplica Matki Boskiej Pocieszenia, Jezuiti, Lwów (przed 1905)
– domena publiczna

łem garnizonowym dla wojsk austriackich. W kolegium początkowo umieszczono siedzibę namiestnika, a następ-



Obraz Matki Boskiej Pocieszenia (koronacja 1905), Jezuiti, Lwów
– domena publiczna

nie Sąd Krajowy. Po II wojnie światowej kościół stał się magazynem książek i prasy, także z Ossolineum (dwa i pół miliona tomów). Obecnie mieści się tam szkoła średnia nr 62 (ul. Teatralna 15), a kościół został garnizonową świątynią greckokatolicką (2011). Jego restauracja z wydatną pomocą artystów z Polski wciąż trwa.



Rzeźba św. Pawła z fasady kościoła Jezuitów, Lwów – domena publiczna



Ołtarz św. Stanisława Kostki, Jezuiti, Lwów – domena publiczna



Organy, Jeziuci, Lwów (stan po przejściach),
Wikimedia

wzdłuż Dzieduszyckich, przynależą do Hetmańskiej 18, dziś Wydział Ekonomiczny Uniwersytetu Lwowskiego im. Iwana Franki. Gmach nr 20, pomiędzy ulicami Teatralną i Hetmańską, to dawne Muzeum Przemysłu Artystycznego, także Galeria Narodowa miasta Lwowa oraz siedziba Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Budowlę zaprojektowali architekci Kajetan Janowski i Eugeniusz Wesołowski w duchu późnego neorenesansu (1898–1903). Rzeźby dłuta Leonarda Marconiego skuto w 1952 roku, gdy wprowadzano Lenina na salony muzeum. Ornamenty wnętrza są dziełem rzeźbiarzy Antoniego Popiela i Leonarda Marconiego. Dzisiaj jest to Muzeum Narodowe. Następne dwie budowle Hetmańskiej mają numery

Mijając kolegium Jezuitów i budynek szkoły, dostrzeżemy rekonstrukcję muru i Basztę Kramarzy, w której znajduje się bar o tej nazwie. W sąsiednim dwupiętrowym gmachu nr 17 przed wojną były urzędy związane ze ściąganiem należności od mieszkańców, ewidencja katastru podatku gruntowego, urząd skarbowy, izba skarbo-
wa i dyrekcja ceł. Za Galicji była Szkoła Przemysłowa, a dyrektorem jej Zygmunt Gorgolewski, budowniczy Teatru Wielkiego. Za kościołem i kolegium Jezuitów, od strony ulicy Hetmańskiej, zaborca wybudował długi gmach z przeznaczeniem na gubernialną austriacką administrację, później Dyрекcję Skarbu, zniszczony podczas wojny, usunięty w 1950 roku. Dopiero wtedy zrekonstruowano kawałek murów i basztę. Na Rutowskiego pod nr 15 w czasie II RP była Szkoła Powszechna Męska im. Adama Mickiewicza. Jej fronton zdobi rzeźba wieszcząca dłuta Stanisława Lewandowskiego, a gmach zbudowali architekci Juliusz Hochberger i Ignacy Brunek (1882). Dziś mają swe siedziby American English Center i szkoła tańca Lider Dance. Wielki gmach graniczący z Ormiańską (Wirmeńską), przed wojną pomiędzy Rutowskiego i Hetmańską



Dawne kolegium Jezuitów, Szkoła nr 62 (Teatralna 13),
Lwów, Wikipedia

22 i 24 i znajdują się za przecznicą Niski Zamek, przed wojną Łukasińskiego. Z tyłu za tymi domami placyk po Niskim Zamku (Castrum) dzisiaj okupują kramy, pasujące do tego miejsca jak pięść do nosa. Tu stał zamek wzniesiony w XIV wieku i należał do fortyfikacji miasta. Służył za siedzibę starości grodzkiemu, a także rezydowali od czasu do czasu królowie. Basztę Sądową nazywano „szlachecką” z tytułu jej przymusowych mieszkańców. Zamek w 1565 roku spłonął, a ówczesny starosta lwowski Andrzej Barzy wybudował wtedy budynek kamienny, renesansowy (1573), z attykami i krążgankami. Także w obrębie murów znajdował się kościółek św. Katarzyny Aleksandryjskiej z XIV wieku, rozebrany w 1784 roku. Zaborca dopuścił do dewastacji budowli, w rezultacie zrujnowany zamek rozebrano (1802),



Zbiory Ossolineum w kościele Jezuitów,
Lwów (2006), Wikipedia

Rzeźba wieszczka, Teatralna 15,
Lwów, Wikipedia



Hetmańska 20, Lwów – Muzeum Przemysłu Artystycznego (1910) – domena publiczna



Widok na domy 20 i 22 z Wałów Hetmańskich
– domena publiczna

a podmokły plac w bliskim sąsiedztwie Pełtwi miasto sprzedało hrabiemu Stanisławowi Skarbkowi pod jego ogromny gmach, później nazwany Teatrem Skarbkowskim. Za skrzyżowaniem z Rutowskiego ulica biegnąca wzdłuż cerkwi Przemienienia Pańskiego powstała podczas jej budowy (1885) i nosiła nazwę zasłużonego rodu Korniaktów, dziś Konstantego Korniaкта. Hetmańska nr

22 to trzypiętrowy dom zbudowany w 1895 roku, ozdobiony doryckim portykiem, atyką na osi frontonu i neorenesansowymi detalami, a kamienicę nr 24, też trzypiętrową, dwufasadową, noszącą cechy empirowe, projektował Jan Salzman (1836) dla Franciszka Adamskiego, a jego fasady od Hetmańskiej i Skarbkowskiej ozdabiają balkony. W latach 1856–1866 mieszkał tu Wincenty Pol (1807–1872), poeta i geograf. Mieszkał również dr Emil Rosenberg. Warto nadmienić, że architekt Jan Salzman projektował także stojący po sąsiedzku wielki gmach teatru dla hrabiego Stanisława Skarbka.

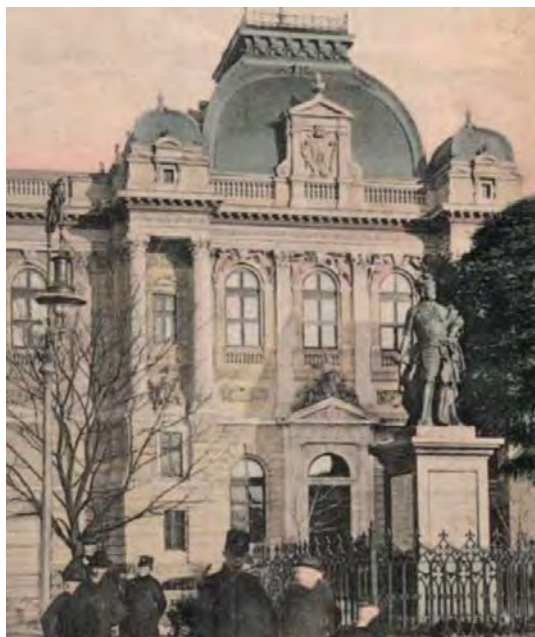


Wracając na ulicę Rutowskiego, w trzypiętrowej kamienicy pod numerem 16 mieszkał za II RP dr Paweł Ostern – pracownik Zakładu Chemii Lekarskiej Uniwersytetu Jana Kazimierza, był tutaj wielki magazyn mebli, a za Galicji sprzedawał i naprawiał zegarki Leon Janikowski. Obecnie znajduje się tam hotel Leopolis. Zanim powstał na Rutowskiego dzisiejszy gmach nr 18, wielką kamienicę w stylu empire zbudował tu Pierre Denis Guibaut (1740–1830), architekt francuski, wykładający rysunek na Wydzia-



Wały Hetmańskie, Lwów, z prawej nieistniejący
gmach zabory – domena publiczna





Muzeum Przemysłu Artystycznego i pomnik hetmana Jabłonowskiego – domena publiczna

le Sztuk Pięknych Uniwersytetu Lwowskiego i będący także inspektorem budownictwa miejskiego we Lwowie. Mieszkał w niej w latach 1793–1796.



Hrabia Włodzimierz Dzieduszycki (1825–1899)

Kolejny nabywca kamienicy (1804) przebudował ją bądź postawił nową, dwupiętrową. Fasada na osi wejścia posiada cztery doryckie kolumny wsparte na gzymsie parteru i dźwigające wąski architrav z tympanonem. Między nimi zawieszony jest kamienny balkon, który wspierają trzy głowy

maskaronów, nadokienniki pod płytkami balkonami drugiego piętra ozdabiają także głowy maskaronów. Gmach kupił z przeznaczeniem na muzeum (1868) hrabia Włodzimierz Dzieduszycki (1825–1899), zoolog, etnograf, archeolog, i przeniósł tutaj swoje zbiory z pałacyku na Kurkowej. Właściwie całe życie poświęcił na ich pomnażanie, ażeby w 1880 roku przekazać je jako Muzeum Przyrodnicze na rzecz narodu pol-

skiego. W 1893 roku zabezpieczył zbiory, tworząc Ordynację Poturzycką. W czasach II RP instytucja ta była jednym z najważniejszych muzeów przyrodniczych w Europie.



Medal wybitny na cześć Włodzimierza Dzieduszyckiego – domena publiczna



Reklama firmy futrzarskiej („Gazeta Poranna” nr 9360, 6.10.1930

W 1895 roku wydał publikację *Przewodnik po Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie*, wielokrotnie wznawianą, oraz wydawał inne broszury przyrodnicze, ukazywało się też „Polskie Pismo Entomologiczne”. Tylko sama naukowa biblioteka muzeum liczyła ponad 70 tysięcy tomów. Przez lata kustoszem działu botanicznego był profesor Tadeusz



Pierwszy przewodnik po Muzeum Dzieduszyckich (1880)



Wilczyński (1888–1981), znawca flory Karpat Wschodnich. Na UJK we Lwowie pełnił obowiązki kierownika Pracowni Botaniki i Farmakognozji i na uniwersyteckiej działce o powierzchni 5,5 hektara założył Ogród Roślin Leczniczych. Został po wojnie we Lwowie, pochowano go na Cmentarzu Łyczakowskim. Ciekawostką w muzeum jest najstarsza w Europie mechaniczna winda, którą wykonano w Wiedniu w połowie XIX wieku. Dzisiaj muzeum nosi nazwę Państwowego

sprzedawał meble Bernard Czysz, była też znana pracownia Barucha Dornhelma (1858–1928), najwybitniejszego w rodzinie złotnika i rytownika srebra (od 1890), znanego nawet wśród ówczesnych koronowanych głów. Za ulicą Ormiańską stoi trzypiętrowy budynek nr 22, wybudowany według planów architektów Wilhelma Schmidta i Sylwestra Hawryszkiewicza (1851–1864) dla ukraińskiego Domu Ludowego. Budowa ciągnęła się długo, gdyż była opłacana ze składek zebranych wśród mieszkańców Galicji. Właściwie była to przebudowa klasztoru i kościoła Trynitarzy, które to pomieszczenia od 1784 roku zajmował Uniwersytet Lwowski aż do czasu zbombardowania w 1848 roku przez zaborcę austriackiego, o czym więcej w eseju *Plac Bernardyński i okolica*. Zniszczone budynki wraz z działką oddało Namiestnictwo Galicji społeczności ukraińskiej pod budowę cerkwi i Domu Ludowego (1849). Gmach w swoich murach pomieścił ukraiński teatr Ruśka Besida, polski Teatr Żołnierza, bibliotekę oraz męskie gimnazjum. Nad wej-



Profesor Tadeusz Wilczyński
(1888–1981)

Muzeum Przyrodniczego Akademii Nauk Ukrainy, a popiersie z brązu (1903) twórcy muzeum, dłuta świetnego rzeźbiarza Jana Juliusza Nałborczyka, profesora Politechniki Lwowskiej, znalazło się w piwnicach muzeum. Następny dom nr 20, już na rogu ulicy Ormiańskiej, należał do Mieczysława Darowskiego (1810–1889), literata i działacza politycznego, powstańca listopadowego. Miała tu siedzibę Akademia Techniczna (1844–1876),

Muzeum Przyrodnicze im.
Dzieduszyckich, Teatralna 22,
Lwów – domena publiczna





ściem z trzyskrzydłową bramą, pomiędzy wyrzistymi pilastrami dzielącymi fronton wertykalnie, umieszczono długi żeliwny balkon, wsparty na solidnych pięciu konsolach. W czasie II RP były tu: Teatr Rozmaitości, biblioteka ukraińska (posiadała grubo ponad sto tysięcy tomów i pięć

tysięcy rękopisów), galeria obrazów i muzeum przyrodnicze. Po wojnie sowioci zlikwidowali ukraińską siedzibę i jej bezcenne zasoby. Dziś jest to Okręgowy Budynek Oficerów Lwowskiego Okręgu Wojskowego z kinem Kinopalać, teatrem Oko oraz biblioteką. Z drugiej strony budynku biegnie ulica Korniaktów. Pomiedzy ulicami Korniaktów, Skarbkowską, Teatralną i Krakowską stoi cerkiew Przemienienia Pańskiego (Preobrażeńską), której autorem jest także Sylwester Hawryszkiewicz, ale o niej nieco później. Ostatnie domy na Rutowskiego to numery 24 (trzy piętrowy) i 26 (dwu piętrowy), a pomiędzy nimi ulica Kamińskiego (Jana Żiżki) do Krakowskiej. Przy ul. Teatralnej nr 24 Stauber miał krawiectwo damskie, Bronisław Polański sprzedawał alkohole, Fridman i Zandberg mieli sklep z obuwiem, Goldfinger sklep z wyrobami powroźniczymi, a Dawid Hermelin miał fabrykę artykułów bławatnych. Dzisiaj jest tu kawiarnia Palermo. Przy ul. Teatralnej 26 Abram Kleinbaum i Abraham Prusinowski mieli sklep z trykotażami, Zygmunt Baran prowadził sklep z artykułami elektrotechnicznymi i kawiarnię, a Gleicher miał hotel Reunion. Naprzeciwko część gmachu Skarbkowskiego ma numery Teatralna 21 i 23. Projekt tego gmachu



„Posłowie austriaccy na audiencji u króla Jana III Sobieskiego” (1883) – Baruch Dornhelm, kolekcja wilanowska



Niski Zamek, Lwów – domena publiczna

przewidział część mieszkalną, więc mieszkał tu na trzecim piętrze z rodzicami i rodziną dr Tadeusz Kielanowski (1905–1992), starszy asystent Zakładu Anatomii Patologicznej UJK, późniejszy profesor i rektor UMCS w Lublinie, Akademii Medycznej w Białymstoku i w Gdańsku, etyk i filozof medycyny. Jego ojciec Bolesław był lekarzem, a matka Maria z Lityńskich była córką doktora Leopolda Lityńskiego. Bolesław Kielanowski pełnił funkcję lekarza miejskiego we Lwowie.



Teatr Skarbkowski to gmach zbudowany w stylu wiedeńskiego klasycyzmu, na owe czasy nowoczesny, z dobrze funkcjonującym ogrzewaniem i wentylacją, wzniesiony w latach 1837–1842 z inicjatywy oraz funduszy hrabiego Stanisława Skarbka (1780–1848) herbu Abdank, działający do 1900 roku. Gmach projektowali Johann Salzmann

Kinopalać, Rutowskiego 22, Lwów
– domena publiczna





Teatr na tamte czasy był jednym z największych w Europie (1460 miejsc) i miał hotel na trzysta pokoi, który praktycznie nie działał, kawiarnie, sklepy, biura, sale konferencyjne, nawet była stajnia na 36 koni i część lokatorska. Maszynię teatru stworzył F. Pohlman. W południowo-zachodniej części



Herb Abdank hrabiego Stanisława Skarbka – domena publiczna



Hrabia Stanisław Skarbek (1780–1848)

i Ludwig Pichl, a stanął on na miejscu bastionów i baszty cechu piekarniczego otaczających Niski Zamek. Teren w pobliżu rzeki Pełtwi był bagnisty, kurzawkowy, więc hrabia sprowadził ze swoich włości spod Mikołajowa szesnaście tysięcy pali dębowych w celu utwardzenia miejsca pod budowę. Gmach stanął na planie czworoboku i posiada dwa wewnętrzne dziedzińce przedzielone szeroką konstrukcją środkową. Reprezentacyjny fronton znajduje się od ulicy Skarbowskiej (Łesi Ukrainki) nr 1. Na tarasie parterowego portyku z pięcioma arkadami stoi sześć kolumn z jońskimi głowicami, które sięgają trzeciego piętra i dźwigają tympanon z rodowym herbem Abdank w girlandach.

Teatr Wielki, Lwów – domena publiczna





Teatr Wielki, Lwów – wnętrze, Wikipedia

gmachu był hrabiowski apartament oraz biuro. Hrabia oddał miastu gmach na bezpłatne użytkowanie przez okres pół wieku i był jego dyrektorem aż do śmierci (1848). Zmienne były losy teatru. Działała cenzura zaborcy, a w stałe dni niemieckiego repertuaru teatr świecił pustkami. Mieszkali tu malarze Artur Grottger, Juliusz Kossak, koncertowali Ferenc Liszt, Niccolò Paganini, Ignacy Paderewski i inni wielcy artyści europejskiego formatu. Hrabia był także założycielem fundacji opiekującej się artystami będącymi na emeryturze. W sali reductowej gmachu przez wiele lat obradował galicyjski Sejm Krajowy (1861–1880). Powstała tu jedyna w tamtym czasie scena opery i operetki w Galicji (1872). Miało tu także siedzibę Lwowskie Towarzystwo Śpiewackie Lutnia, założone w 1880 roku, a kawiarnia Café du Théâtre (Teatralna) czynna była całą noc. Przez intensywną eksploatację budynek podupadł, dodatkowo w efekcie zbudowania po sąsiedzku Teatru Wielkiego (1900) musiał się zmienić profil działalności tej także za-



Teatr Skarbkowski, główne wejście, Wikipedia

służonej dla Lwowa instytucji kultury. Najpierw powstała filharmonia, potem kino, a obecnie ukraiński Teatr Dramatyczny im. Marii Zankoweckiej. W tym gmachu (ul. Skarbowska – dzisiaj Łesi Ukrainki – nr 1) Joachim Willner miał sklep ze szkłem i porcelaną. A rzeźba hrabiego Skarbka, wykonana w piaskowcu przez Parysa Filippiego (1871), naturalnej wielkości, stała w westybule naprzeciw głównego wejścia. Hrabia ubrany w płaszcz trzymał w lewej ręce rulon aktu fundacyjnego teatru. W 1941 roku, gdy w czasie renowacji ściany pokrywano dekoracją rzeźbiarską, pomnik hrabiego zniknął. Dzisiaj na ścianie foyer wisi medalion hrabiego wykonany przez rzeźbiarza Dmytro Krwawycza (1997). A czas świetności tego wielkiego gmachu, przybytku lwowskiej kultury, pozostał tylko w annałach.



Posąg hrabiego Stanisława Skarbka w westybule teatru – domena publiczna

Teatr Wielki, Lwów – plan wnętrza

Anna Frajlich

Uciec ze Lwowa

Od czasu śmierci rodziców
nie słyszałam tyle razy
nazwy Lwowa
z którego niezmiennie
trzeba było w pośpiechu uciekać

w 1914 roku mój trzyletni ojciec
z rodzicami
przed pogromem uciekał do Pragi
gdzie trzy lata na cesarskich
kuponach żyli
zanim do Lwowa wrócili

druga wojna i ojca Rosjanie
na Ural do obozu pognali
matka moja w ciąży
biegła pieszo
zanim pociąg do Kirgizji
znalazła

a ci którzy we Lwowie zostali
śmierć na każdym roku spotykali

teraz widzę na monitorze
matki z dziećmi biegnące na dworzec
każda dziecko przed kamerą chowa
żeby znowu uciec ze Lwowa

5 marca 2022



Niezapominajki (Saga)

I zostało wszystko we Lwowie
w mieście mojej matki i ojca
wszyscy żywi stali się umarłymi
ale cmentarz
przeszedł być cmentarzem
i zostało wszystko we Lwowie
na wieszaku prawie nowe ubranie
stół i łóżko
może jakieś krzesła
fotografia w ramce na ścianie
na tej ramce niezapominajki
wyciął ojciec mój scyzorykiem
żeby nie zapomnieć
żeby nie zapomnieć
żeby nie zapomnieć
Lwowa
nawet w Ameryce.

Sen o Lwowie

Mojej mamie śni się Sykstuska
kto pamięta Sykstuską 14
już po wielkiej wojnie
przed potopem
kto pamięta
że tam mieszkał stolarz
biedny wdowiec
z szóstką swoich dzieci
kto pamięta
jak zbłąkany pocisk
Dawidowi czapkę strącił z głowy
ta Arkadia w ciasnej oficynie
głód i bicie
brak własnego łóżka
po przeciwnej stronie oceanu
na przeciwnym brzegu egzystencji
mamie mojej śni się Sykstuska

1 września 2003

Anna Frajlich-Zajac, poetka i eseistka, absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Urodziła się w Kattatałdyk w Kirgizji, dokąd wywiezieni zostali ze Lwowa jej rodzice, będący zasymilowanymi Żydami. W Warszawie związana była z grupą literacką Forum Poetów Hybrydy. Polskę opuściła w 1969 roku wraz z mężem Władysławem i dwuletnim synem Pawłem w związku z nagonką antysemicką. Zamieszkała w Nowym Jorku, gdzie pracowała na Uniwersytecie Columbia oraz Uniwersytecie Nowojorskim. W 2022 roku ukazały się dwa tomy jej wierszy zebranych „Przieszczep” i „Powroty”. Ostatni tom poekty „Odrastamy od drzewa” ukazał się w 2024 roku.

HUBERTOWIE – MOJA RODZINA NA PODOLU

Fragment wiersza Mariana Hemara „Kłaniam się Tobie...”

*Kłaniam się Tobie – Ziemi Podolska
Moja Ojczyzna – Ziemi Tarnopolska
Mlekiem i miodem obficie płynąca,
Wszelakim dobrem swoich gleb słynąca!*

*Witam Cię – Ziemi Ty niezapomniana
Od Miodoborów po Wały Trajana.
Od progów Lwowa do rumuńskich granic,
Od nurtów Lipy do zbruczańskich stanic. [...]*

*Kłaniam się polom, sedom, lasom, gajom;
Kłaniam się niwom pszenno-buraczanym,
Słonecznikom i polom hreczanym!*

*Witam Cię – Ziemi Jedynej, Podolskiej,
Choć dziś nie moja, ale zawsze polska!
Witam – choć z dala od kresowych stanic,
Poprzez zasieki narzuconych granic...*

Marian Hemar (6.04.1901 Lwów – 11.02.1972 Dorking pod Londynem) – poeta, satyryk, dramaturg, tłumacz poezji, autor tekstów piosenek



Połupanówka, Ostapie, Skalat, Tarnopol, Grzymałów, Miodobory, Podole... Lwów. Ta kolejność ma sens, tak właśnie poznawałam rodzinną historię. To nazwy miejscowości i miejsc, z którymi wiążą się losy moich bliskich. Wszystko, co wiem o tamtych czasach, zawdzięczam mojej Mamie, a właściwie Jej ustawicznej tęsknocie za tamtymi stronami. Jeszcze na kilka godzin przed śmiercią, w wieku 94 lat, płakała z tęsknotą za Połupanówką.

Postaram się ująć w słowa to, co zapamiętałam z opowieści Mamy, ale oczywiście nie raz pojawi się myśl, która często do mnie wraca, nie tylko w kontekście Tarnopola, Mamy i losów Jej rodziny, ale także w innych sytuacjach związanych z przeszłością członków mojej rodziny. A myśl, którą pragnę przekazać tym „dzieciom”, które mają jeszcze bliskich ze Lwowa, Stanisławowa, Tarnopola, szerzej ujmując z Kresów, to słowa: „Już nie mam kogo o to zapytać”. Kiedy ta myśl przychodzi po raz pierwszy

– przeraża, potem nasuwa się uczucie żalu i uświadomienie sobie: „Trzeba było słuchać i pytać”, a potem, tak jak to robię w tej chwili, uratować choćby skrawki wspomnień, aby opowiedzieć o tych ludziach i stronach, w których są nasze korzenie! Wielkim dla mnie skarbem były i wciąż są nostalgiczne wspomnienia mojej Mamy z czasów dzieciństwa i młodości w Połupanówce, potem w Ostapiu. Napisała je u schyłku życia, a opublikowała je *in extenso* już po Jej śmierci w kwartalniku *Cracovia Leopoldis* (2, 2007, Wanda Stengl, *Moje ukochane Podole*). Czy chciała te czasy ocalić od zapomnienia? Chyba tak. Ta tęsknota Mamy rozpałała we mnie chęć podróży w tamte strony, poznanie miejsc tak ukochanych dla Mamy, a równocześnie „spotkanie z Mamą” tam, w Jej pamięci. Udało się! Z pomocą dobrych ludzi, ks. proboszcza Andrzeja Maliga, Romy Żukowej i parafianina Wasyla, dotarłam do Połupanówki, szłam według opisu drogi przez wieś, minęłam szkołę, dotarłam

do kościoła na Świętej Górze pw. św. Józefa. W czasie kiedy Hubertowie tam mieszkali, proboszczem był ks. Konstanty Turzański, wielki patriota, wygłaszał wspaniałe patriotyczne kazania, za co początkiem wojny został przez Ukraińców w okrutny sposób zamordowany.

Opis drogi w spisanych wspomnieniach mojej Mamy był dokładny i żywy, czasem myślę, że chyba szła ze mną? I dotarła tam ze mną? Był to najbardziej niezwykły dzień, czas, w moim długim życiu.

Skąd Połupanówka, mała wioska w obwodzie tarnopolskim? Mój dziadek Maksymilian Hubert urodził się w Krakowie, ale jego rodzice, gdy był jeszcze małym chłopcem, przenieśli się do Lwowa. Kiedy kończył szkołę powszechną, zmarł jego ojciec. Dziadek Maksymilian wraz z matką i młodszym bratem znaleźli się w bardzo trudnych warunkach. Zaopiekował się nim ksiądz katecheta. Umieścił go w przyklasztornym internacie w Stanisławowie i tam w 1906 roku ukończył seminarium nauczycielskie. W powiecie lwowskim otrzymał posadę nauczyciela, poznał urodzoną we Lwowie Józefę z domu Świrską, też nauczycielkę, ożenił się. Dla Mamy rodziców nastał niby dobry czas, oboje dostali pierwszą posadę w czteroklasowej szkole w Połupanówce. Dziadek miał 23 lata, został kierownikiem szkoły, Babcia 22 lata, była nauczycielką. Moja Mama – Wanda – przyszła na świat 10 stycznia 1911 roku, ale... w 1914 roku dziadek



został powołany na ćwiczenia wojskowe. Wrócił dopiero w 1921 roku, po latach niewoli rosyjskiej. To był wciąż „czas Połupanówki”. Urodzili się Mamy bracia: Lesław (22.08.1923, zm. 7.03.2003 w Lublinie, pilot) i Jerzy (22.05.1925, zmarł tragicznie w wyniku doznanych obrażeń podczas pożaru 5.12.1952 roku w Krakowie; brał udział w walce o Kołobrzeg, był w zwiadzie konnym, miał przestrzeloną czapkę, a odszedł tak marnie w wieku 27 lat). Na świat przyszła także siostra Mamy – Busia; była niepełnosprawna i z powodów zdrowotnych wcześniej zmarła.



Józefa Hubertowa – babcia

O Dziadku – Maksymilianie – opowiem więcej, nie tylko o jego czasach podolskich, bowiem jest to też opowieść o strasznym czasie wojny, niewoli, tułaczce wielu Polaków...

Po powrocie Dziadka z niewoli do Połupanówki nadszedł czas, kiedy ojciec Mamy za służby na polu działalności społecznej, jak i jako dobry organizator został przeniesiony do innej, dużej wsi, drugiej pod względem liczby mieszkańców w powiecie skałackim – do Ostapia. Moja Mama przywiązana do pięknego ogrodu, bliskości łąk i skał przyjęła to





Zdewastowana szkoła mojego dziadka, zbudowana w latach 20. XX wieku. Zdjęcia wykonałam w 2009 roku

ze smutkiem, ale była to konieczność. Jej ojciec (a mój dziadek) stanął przed wieloma trudnymi zadaniami. Było to prawdziwe wyzwanie. Przede wszystkim trzeba było wybudować nową szkołę (stara miała tylko 2 sale). Ta nowa, siedmioklasowa, była piętrowa, a w niej 8 dużych sal, 4 małe, kancelaria, biblioteka i kuchnia na zajęcia praktyczne. Oczywiście sprawą jest to, że było to zadanie bardzo wymagające, szczególnie pod względem finansowym; brakowało pieniędzy na materiały i zapłaty dla robotników. W sytuacjach krytycznych dziadek brał materiał na kredyt u Żydów w Skałacie, ale po czasie wszystko spłacił. Szkoła była potrzebna, o czym świadczy fakt, że w każdej klasie było czterdzieścioro albo więcej uczniów.

Z myślą o tych, którzy nie mieli możliwości zarobkowania, założył mleczarnię.

Gospodarze z Ostapia, a także ci z okolicznych wsi chętnie zadeklarowali dowóz mleka. Mleczarnia dysponowała głęboką piwnicą z lodem. Dziadek wysłał do Rzeszowa na szkolenie młodego, rozsądnego człowieka, Szczepana Pitaka, równocześnie budowano mleczar-



nię. Kiedy wrócił, mleczarnia była gotowa i wszystko było przygotowane do produkcji masła. Małopolski Związek Mleczarski, któremu podlegała mleczarnia w Ostapiu, przyznał atest na eksport. W beczkach z jasnego drewna wysyłano masło do Anglii. Dziadek sam prowadził wszystkie obliczenia dotyczące np. procentu tłuszczu i ustalał odpowiednie do tego wynagrodzenia, a w dniu wypłaty już o 5 rano szedł do mleczarni, żeby ludzie nie czekali długo na pieniądze. Członkowie komisji z Małopolskiego Związku Mleczarskiego uważali, że dziadek za prowadzenie mleczarni powinien dostawać wynagrodzenie, ale na to się nie zgodził – pod wpływem nalegań przyjął tylko zapłatę za naftę, którą wyświecał nocami, robiąc wszelkie obliczenia. Biednym gospodarzom dawał pożyczki na kupno krowy, a spłacali je dostawą mleka.

Ale przyszedł inny trudny czas, kiedy wkroczyli sowietci. Zacytuję tu słowa mojej Mamy: „W krótkim czasie zrobili u ojca rewizję i znaleźli Srebrny Krzyż Zasługi za pracę społeczną. Uznali, że ojciec był oficerem i w 1940 roku wywieźli do Rosji. Tam przeszedł głód, brud – stracił 40 kg na wadze”.

Szczęśliwie w 1942 roku dostał się do armii Andersa. W 1944 roku z dużą grupą Polaków dotarł do Afryki i osiadł w Ugandzie (Koja, Masindi). Jako nauczyciel pracował



Leszek i Jurek – bracia mamy



Maksymilian Hubert – dziadek

w szkolnictwie (szkoły podstawowe i średnie), był także inspektorem szkolnym w Koji. Utrzymanie i wynagrodzenie dla nauczycieli finansowała Anglia.

W 1948 roku miał wrócić do kraju. Wcześniej, w jednym z ostatnich listów pisał o swoich przygotowaniach do wyjazdu, snuł plany na czas powrotu. Nadeszło lato, nasza rodzina, zwłaszcza Mama, przygotowywała się na przyjazd Dziadzia. Tato zabrał „dzieci”, tzn. Wacka i mnie, do Maszewa (tam mieszkał Jego brat), a Mama razem z wujkiem Jurkiem czekali w Krakowie na ten upragniony dzień. Ponieważ nadszedł czas naszego powrotu znad morza, wyjechaliśmy do Krakowa. Wtedy tę trasę pokonywało się w 26 godzin, przynajmniej tak mi się teraz wydaje. Dojeżdżaliśmy już do Krakowa, stanęliśmy w trójkę przy oknie, żeby jak najprędzej zobaczyć Dziadzia. Po- ciąg wjechał na peron, a na peronie... stali

Mama i Wujek, bardzo, bardzo smutni. Wyszliśmy, podeszliśmy do Mamy, rozplakała się i powiedziała: „Tato zmarł w drodze”. Tak pamiętam ten obraz i te słowa, chociaż miałam wtedy tylko 5 lat. Nie sposób opowiedzieć, jakie to było smutne dla nas wszystkich, a moja Mama do końca życia tęskniła za „Maksimem” (tak nazywała swojego Tatę) i za Połupanówką.

Na skutek choroby tropikalnej i niewydolności serca podróż Dziadzia została przerwana, znalazł się w szpitalu we Włoszech i mimo starań lekarzy zmarł w samotności w Turynie, z dala od Ojczyzny. Nie dojechał do Polski, do swoich, do bliskich...

Wracając do szkoły w Ostapiu: ojciec Mamy był kierownikiem, a jego żona nauczycielką, poza tym zwykłe siedmioosobowy zespół nauczycieli, a byli to m.in.: Maria Fedorowicz z Zaleszczyk, Janina Wilczyńska ze Stanisławowa, Karol Buczek i jego żona z Ostapia, Janina Kotówna z Sambora, Marysia Niedożytko z Kołodziejówki i in. Grono nauczycielskie z czasem się zmieniało. Z początkiem lat 30., po przejściu Babci na emeryturę, także i moja Mama otrzymała posadę nauczycielki w szkole w Ostapiu.

Jaka była droga „edukacyjna” mojej Mamy? W latach 1922–1929 uczęszczała do gimnazjum – najpierw, po złożeniu egzaminu wstępnego do klasy drugiej, do Gimnazjum Prywatnego Żeńskiego im. Juliusza Słowackiego we Lwowie i od 1926 roku do Gimnazjum Prywatnego Żeńskiego im. Marii Konopnickiej prowadzonego przez Zofię Lenkiewiczową w Tarnopolu. Świadectwo dojrzałości typu humanistycznego uzyskała 4 maja 1929 roku (Kuratorium Okręgu Szkolnego Lwowskiego). Po zdaniu egzaminu dojrzałości wstąpiła na Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie na polonistykę. Czas był trudny, powojenny i rodzicom nie było łatwo utrzymać Mamę we Lwowie przez cały okres studiów, dlatego przeniosła się na Państwowe Kursy Nauczycielskie, taki kurs trwał rok. Program obejmował przedmioty pedagogiczne. Po kursie i otrzymaniu dyplomu z bardzo dobrymi ocenami dostała z kuratorium zawiadomienie o mianowaniu na nauczycielkę w szkole w Ostapiu. Zawód nauczycielki był dla mojej Mamy prawdziwą pasją. Kochała dzieci, kochała tę pracę, miała predyspozycje i przygotowanie do różnych działań z uczniami. Można powiedzieć, że



Bracia mamy – Leszek i Jurek z ojcem Maksymilianem

cały czas doskonaliła wachlarz swoich umiejętności jako nauczycielka wszechstronna – grała na skrzypcach, ukończyła we Lwowie kurs dla dyrygentów i reżyserów teatrów ludowych i dyrygentów chórów, miała wspinały zespół młodzieży pozaszkolnej, chór mieszany, który śpiewał w kościele, zwłaszcza kolędy, a także wystawiła wraz z chórem jasełka według *Pastorałki* Leona Schillera. Przy tych wszystkich umiejętnościach moja kochana Mama pięknie śpiewała...

Czas kończyć tę podolską opowieść, ale jeszcze...

28 czerwca 1936 roku w kościele parafialnym pw. NMP Nieustającej Pomocy i św. Wacława w Ostapiu odbył się ślub moich Rodziców. Znali się z podwórka przy ul. Głębokiej 14 od 11. roku życia, mój Tato – Henryk – zakochał się w Mamie w wieku lat 12 i tak trwał do końca swoich dni. Choć były też rozstania, Tato nie tracił nadziei. Przeżyli w małżeństwie 66 lat, owocem tego związku był mój brat Wacław (ur. 14.01.1940 we Lwowie, zmarł 14.11.2018 w Krakowie) i jestem ja, pisząca te słowa (ur. 4.10.1943 we Lwowie).

W 2007 roku, kiedy byłam w Połupanówce, wciąż myślałam, że muszę odwiedzić Ostapie... koniecznie. W 2009 roku, podobnie jak poprzednio, pojechałam z wycieczką w Tarnopolskie, zajrzałam do p. Wasyla, który mnie zapytał, czy jedziemy, i... pojechalśmy. Chwila w Połupanówce, a potem, po wertepach, do Ostapia. Znowu wielkie wzruszenie, najpierw kościół, w którym ślub brali moi Rodzice – to było niepowtarzalne przeżycie: kościół zamknięty, ukłekałam na schodkach i przez dziurkę od klucza zobaczyłam główny ołtarz... Boże, to tutaj przed siedemdziesięcioma trzema laty moi Rodzice złożyli przysięgę małżeńską... Łzy wzruszenia, chwila zadumy...

No to teraz do szkoły. P. Wasyl podjechał i to, co zobaczyłam, było straszne, myślałam, że pęknie mi serce. Szkoła uległa dewastacji... To był cios!

Wasyl popatrzył na mnie i powiedział: „Straszne... i żal”. A ja powiedziałam tylko: „Wracamy”. Tyle trwał mój pobyt w Ostapiu... Być może moja reakcja

Ostapie – grono nauczycielskie.
Siedzą: w środku dziadek, po lewej mama, po prawej Maria Fedorowicz



była zbyt emocjonalna, nie uświadomiłam sobie, że minęło kilkadziesiąt lat, zmieniło się wszystko, tylko ja zostałam myślami w tamtych stronach, z moimi bliskimi, z tą „szkołą Dziadka”, jakby nie minął czas.

Rozstanie mojej Mamy z Ostapiem? Po zakończeniu roku szkolnego wyjechała do Lwowa, do męża, tak zawsze było, kiedy nie miała zajęć. W Grzymałowie wsiadała do pociągu i we Lwowie już czekał Tato. W 1939 roku, po zakończeniu zajęć w szkole, wyjechała z Grzymałowa ostatni raz, wybuchła wojna, szkoły były zamknięte, bracia poszli, mimo młodego wieku, na front i życie zmieniło barwy. Ale 14 stycznia 1940 roku przyszedł na świat mój brat Wacław i trzeba było zająć się dzieckiem...

Teraz, kiedy piszę te słowa, cała moja rodzina jest już po drugiej stronie, a moją

Rodzina Hubertów. Stoją: mama i jej brat Leszek, siedzą: babcia, brat mamy Jurek i dziadek





powinnością
jest uporząd-
kowanie do-
wodów ich
istnienia. Cza-
sem tylko my-
ślę: kto po mnie
posprząta? Mo-
że dlatego
staram się por-
ządkować to,
co zostało po
moich bliskich,
a po mnie? To
już nie będzie
moja sprawa...

Wszelkie do-
kumenty, listy,
zdjęcia, także
akt zgonu Dziad-

ka Maksymiliana Huberta przekazałam do
Centrum Dokumentacji Zsytek, Wypędzeń
i Przesiedleń Uniwersytetu Komisji Edukacji
Narodowej w Krakowie.

W tym wspomnieniu załączam niektó-
re dokumenty, zdjęcia, aby
pokażać Czytelnikom „tam-
ten świat” rodziny z Podo-
la. Większość materiałów,
w tym świadectwa moich
Rodziców, przekazałam
do Centrum Dokumentacji
Czynu Niepodległościowego
przy Bibliotece Jagiel-
ońskiej.

Moi rodzice:

Wanda Stengl z d. Hubert,
ur. 10 stycznia 1911 r. w Po-
łupanówce, zm. 25 kwietnia
2005 r.

Henryk Stengl, ur. 11 marca 1911 r. we
Lwowie, zm. 9 czerwca 2002 r. w Krakowie.

Rodzice mojej Mamy:

Józefa Hubert, z d. Świrska, ur. 17 marca
1888 we Lwowie, zm. 8 października 1980 r.
w Krakowie.

Maksymilian Hubert, ur. 9 października
1887 r. w Krakowie, zm. w sierpniu 1948 r.
we Włoszech, w Turynie, podczas podróży
do Polski.

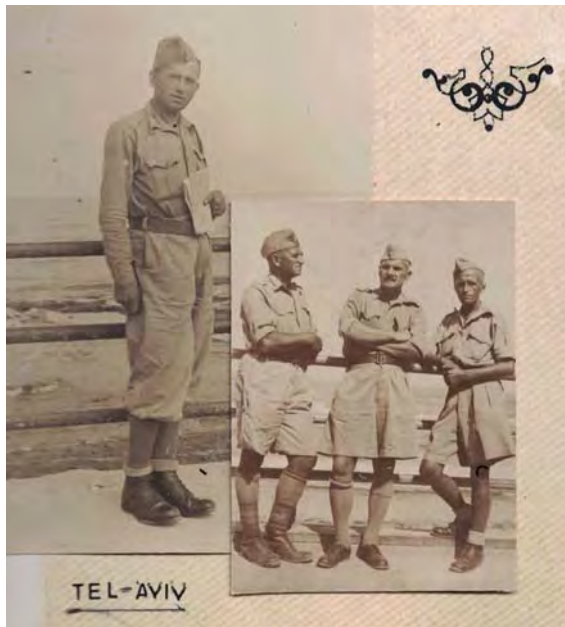
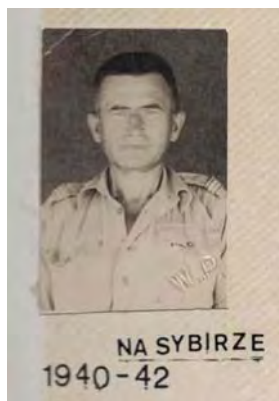
OBJAŚNIENIA

Połupanówka – wieś na Podolu w paśmie
Miodoborów, w rejonie podwołoczyskim na-
leżącym do obwodu tarnopolskiego. Droga
przez wieś prowadzi do kościoła pw. św.
Józefa, który jest usytuowany na „Świę-
tej Górze”. Kościół ustanowiony jest także
jako sanktuarium Matki Bożej Szkaplerznej.
Naprzeciw kościoła znajduje się cerkiew
greckokatolicka pw. św. Ducha.

Ostapie – wieś w rejonie podwołoczyskim
obwodu tarnopolskiego. W II Rzeczypospo-
litej miejscowość ta była siedzibą wiejskiej
gminy Ostapie w powiecie skałackim wo-
jewództwa tarnopolskiego, do 1939 roku
należała do hr. Zaleskiego herbu Dołęga.
Kościół neogotycki pw. Najświętszej Marii
Panny Nieustającej Pomocy i św. Wacła-
wa został ufundowany w 1900 roku przez
hr. Zaleskiego.

Badania archeologiczne w tej wsi wyka-
zały obecność kurhanów.

Kościół w obu omawianych miejscowo-
ściach należy do dekanatu tarnopolskiego.
Miodobory – silnie rozczłonkowane pasmo
wapiennych wzgórz powstałych z dawnych
raf koralowych przecinających Wyżynę Po-
dolską z północnego zachodu na południo-
wy wschód. Rozciągają się na długości ok.
200 km, szerokości ok. 5 km.



Na pierwszej fotografii żołnierze armii Andersa. Na fotografii
w tle Maksymilian Hubert



Pomnik Sobieskiego, fot. Lederer & Popper, Praha

Karolina Grodziska

TOAST JÓZEFA FRIEDLEINA Z OKAZJI ODSŁONIĘCIA POMNIKA JANA III SOBIESKIEGO WE LWOWIE

W 1955 r. do zbiorów Biblioteki Polskiej Akademii Nauk w Krakowie zakupiono zespół rękopisów od Edwarda Munnicha (1882–1965), wnuka prezydenta Krakowa Józefa Friedleina (1831–1917). Friedlein, przedstawiciel znanej krakowskiej rodziny, był właścicielem drukarni, następnie księgarni na Rynku Gł. 17, od 1866 r. radnym miejskim, od 1881 r. wiceprezydentem, a w latach 1893–1904 prezydentem miasta Krakowa. Nabyta do Biblioteki PAN spuścizna przynosi wiele ciekawych informacji do jego biografii. Rękopisy noszą sygnatury: 3166–3169, 3173, 3441 i zostały szczegółowo opracowane w wydany w 1973 r. tomie *Katalogu rękopisów Biblioteki PAN*, autorstwa Józefa Dużyka i Bogumiły Schnaydrowej¹.

Rękopis sygn. 3169 zawiera rękopiśmienne teksty 29 przemówień i toastów Józefa Friedleina z lat 1876–1904 oraz brulion artykułu wielkanocnego z „Gazety Lwowskiej” z 1904 r. Zapisywane w różnym czasie, na

kartkach różnego formatu (tylko jeden z tekstów przepisano na maszynie), z różnymi poprawkami i dopiskami, także – skrótami – bo przecież toast nie może być zbyt rozwlekły – budzą zainteresowanie, a po niekąd i wzruszenie, że ten rodzaj ulotnej, okolicznościowej wypowiedzi z epoki, gdy uroczystych spotkań nie filmowano ani nie nagrywano, przetrwał do naszych czasów.

Spośród 29 toastów, 19 pochodzi z czasów, gdy Friedlein był prezydentem Krakowa, cztery z okresu jego wiceprezydentury, pozostałe nie są datowane, w opisie zawarto tylko okazje, z jakich były wygłaszane. Uroczystości miały miejsce głównie w Krakowie, ale też w Pradze i Lwowie, jak np. przemówienie Friedleina na obiedzie wydanym we Lwowie 27 września 1882 r. na cześć ministra Floriana Ziemiałkowskiego czy toast na bliżej nieokreślonym obiedzie 30 września 1894 r.² Trzeci z tych lwowskich toastów jest niedatowany; autorzy katalogu przypisali go ogólnie do roku 1898. Przemówienie dotyczy bowiem pomnika Jana III Sobieskiego we Lwowie autorstwa Tadeusza Barączy. Jego nazwisko nie zostało w mowie wymienione, choć podkreślono ciężką sytuację bytową

¹ *Katalog rękopisów Biblioteki PAN w Krakowie, sygnatury 2907–3606*, oprac. Józef Dużyk i Bogumiła Schnaydrowa pod red. Zbigniewa Jabłońskiego., Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1973, s. 72–73.

² BN PAU i PAN, rkps 3169, k. 4 i 9.

„Russkije soldaty u pamiatnika Jana Sob'skowo”, wyd. D. Chramow, R. Barchrach, 1914/15, Moskwa

rzeźbiarzy, zależnych od stosunkowo rzadkich zamówień.

Co ciekawe, w znajdujących się w naszej bibliotece papierach Józefa Friedleina napotykamy tekę wycinków prasowych z lat 1876–1904, dotyczących najrozmaitszych uroczystości państwowych, spotkań, jubileuszy, delegacji, wystaw, nawet ślubów. To często przemówienia innych osób, ale i relacje ze spotkań, w których Friedlein jako wiceprezydent lub prezydent uczestniczył. Zawartość teki nie wyjaśnia jednak dokładnej daty wygłoszenia interesującego nas toastu, choć jest w niej zawarty wycinek z „Czasu” zawierający relację z odsłonięcia pomnika w dniu 20 listopada 1898 r.

Na samym początku czytamy:

Opatrzność czuwała nad szlachetnym przedsięwzięciem, gdyż dzień dzisiejszy był jednym z najpiękniejszych dni jesiennych, ciepłych, słonecznych. Od wczesnego rana panował na ulicach ruch niezwykle, wszystkimi pociągami przybywały liczne deputacje z prowincji; deputacja krakowska z prezydentem miasta Drem Friedleinem na czele przybyła już wczoraj i wzięła udział w raucie urządzonym przez Koło artystyczno-literackie z okazji odsłonięcia pomnika Sobieskiego³.

Dalej opisano przebieg uroczystości, mszę świętą w katedrze łacińskiej, pochód przez plac Mariacki i ulicę Karola Ludwika na Wały Hetmańskie, przytoczono tekst przemówienia prezydenta Lwowa Godzimira Małachowskiego. Po uroczystości nastąpiło „sute śniadanie” w salach Ratusza, po czym część osób udała się na Rynek do pałacu Ponieńskich, gdzie oglądali sale zamieszkiwane ongiś przez Sobieskiego, lub na Wysocki Zamek. Okolicznościowe przedstawienia odegrano w teatrze, a wieczorem, jak z dumą zapisano, pomnik oświetlony był światłem elektrycznym. W relacji prasowej przebija też wyraźnie duma lwowian z faktu, iż pomnik wykonał właśnie lwowianin, Tadeusz Barącz, a dzieło zbiera już nader pozytywne opinie⁴.

³ BN PAU i PAN, rkps 3173, k. 67.

⁴ Tamże.



Ciągle niejasna pozostaje data wygłoszenia przytoczonej poniżej mowy. Wprawdzie jej treść wskazuje bardziej na sam zamiar, inicjatywę wzniesienia pomnika, nie pada w niej nazwisko artysty, jednak najprawdopodobniej należy ją wiązać z wieczorem urządzonym w przeddzień uroczystości, 19 listopada 1898 r., przez Koło artystyczno-literackie, w którym Józef Friedlein uczestniczył.



LWÓW. Pomnik Sobieskiego. — Monument du roi Sobieski.

Lwów, pomnik Sobieskiego, podpis polski i francuski, wyd. SiS, 1939

Początek toastu był przez autora przeredagowany, na rękopiśmiennym tekście widnieją poprawki i skreślenia. Poniżej podaję tekst w ostatecznej wersji:

Zamiar poczęty wzniesienia Janowi III znalazł poklask w kraju, bo myśl to była piękna, godna miasta, pożyteczna i wielce patriotyczna.

Piękna, bo nic tak nie przyczynia się do szlachetnego przyozdobienia miast, jak pomniki, godne miasta, bo aczkolwiek na jej urzeczywistnienie znaczniejszy fundusz mieć wypadło, to jednak miasto, ponosząc tę ofiarę na dzieło sztuki, przyczyniło się już tym samym do podniesienia sztuki rzeźbiarskiej, której artystom tak rzadko nadarza się sposobność do popisu i okazania talentu.

Pożyteczną [jest] ta myśl, bo nic tak nie rozpowszechnia wiadomości z przeszłości narodu jak pomniki, które za najpiękniejszą księgę dziejów ojczystych uważać należy.

Że zaś myśl ta jest wielce patriotyczną, każdy przyznać musi, pomnik ten bowiem przypominać będzie narodowi liczne zwycięstwa odniesione przez tego króla wojownika i to mocne stanowisko, jakie Ojczyzna nasza w rządzie państw europejskich zajmowała. Lecz nie tylko nam, ale i obcym, którzy kroki swe w te strony skierują, przypominać będzie naszą przeszłość. Przypominać im bowiem będzie, że i my byliśmy niegdyś potężnym państwem, i to tak potężnym, że króla tego na klęczkach błagano, aby ratował od najeźdy, a może i od niewoli muzułmańskiej, ten dziś pełen pychy i zarozumiałości naród niemiecki, odpłacający nam za przelaną ówczesnie krew kwiatu rycerstwa naszego nikczemnymi obelgami.

Słusznie należy się Gminie [Miasta Lwowa] uznanie i wdzięczność za podjęcie tak patriotycznej myśli, czemu dając wyraz, wznoszę toast: Na cześć Rady Miejskiej i za pomysłność Miasta Lwowa!⁵

Warto wydobyć z rękopisu i przypomnieć ten drobny, ulotny tekst, także i dlatego, że to właśnie za prezydentury Józefa Friedleina odsłonięto na rynku krakowskim pomnik Adama Mickiewicza, więc istotna jest jego refleksja o roli pomników dla krzewienia patriotyzmu. Jest ten toast także drobnym



przyczynkiem do bliskich kontaktów Krakowa i Lwowa w XIX wieku.

Jako uzupełnienie tekstu załączam pocztówki ukazujące ów piękny pomnik w pięciu odsłonach: w czasach autonomii galicyjskiej, rosyjskiej okupacji Lwowa w 1914/15 r., za Polski Odrodzonej, w czasach II wojny światowej, gdy Wały Hetmańskie przechrzczono na Adolf Hitler Platz, i w czasach PRL, gdy pomnik znalazł godne (i bezpieczne!) schronienie w Gdańsku.



Gdańsk pomnik króla Jana III, fot. Z. Kosycarz,
wyd. Biuro Wydawnicze RUCH

⁵ Rkps 3169, k. 16 i 16 v.

Michał Piekarski

Andrzej Nikodemowicz – w 100. rocznicę urodzin kompozytora*

Po 1945 r. zdołało pozostać we Lwowie około 10 tysięcy Polaków, którzy czekali na powrót Polski do ich rodzinnego miasta. Wśród nich znajdowali się znani przedwojenni muzycy, jak urodzeni jeszcze pod koniec XIX w.: Adam Sołtys, dyrektor przedwojennego Konserwatorium Polskiego Towarzystwa Muzycznego (PTM), Tadeusz Majerski, wykładowca tej uczelni i awangardowy kompozytor, Józef Nowakowski, absolwent tej uczelni, wieloletni organista katedry lwowskiej, i in. Do młodszego pokolenia, urodzonego w niepodległej Polsce, należał Andrzej Nikodemowicz. Przyszedł na świat we Lwowie 2 stycznia 1925 r. Reprezentował generację późniejszych polskich kompozytorów, takich jak: Krystyna Moszumańska-Nazar (ur. 1924 we Lwowie, zm. 2008 w Krakowie) czy nieco młodszy Wojciech Kilar (ur. 1932 we Lwowie, zm. 2013 w Katowicach). W odróżnieniu od Moszumańskiej-Nazar i Wojciecha Kilara Andrzej Nikodemowicz zdołał poznać warunki życia powojennego Lwowa – od lat czterdziestych do końca lat siedemdziesiątych XX w.

EDUKACJA MUZYCZNA PRZEDWOJENNA I POWOJENNA

Andrzej Nikodemowicz był najmłodszym synem Mariana Nikodemowicza (ur. 1890 k. Tarnopola, zm. 1952 we Lwowie). Razem mieszkali w zaprojektowanej przez ojca nowoczesnej kamienicy z 1938 r. przy ul. Potockiego 76. Do 1939 r. Andrzej Nikode-



Andrzej Nikodemowicz, Lwów 1973 r.
Ze zbiorów Małgorzaty Nikodemowicz

mowicz kształcił się prywatnie w zakresie gry na fortepianie u Romana Sawickiego, w latach 1938–1939 z powodzeniem podchodząc do egzaminów eksternistycznych w Konserwatorium PTM. W ten sposób już przed 1939 r. miał okazję zetknąć się z Adamem Sołtysem. Po II wojnie światowej kontynuował przerwana edukację w utworzonym przez władze sowieckie Lwowskim Państwowym Konserwatorium (LPK działające w budynku przejętym od PTM). Trafił do klasy kompozycji Adama Sołtysa (dyplom w 1950 r.) i fortepianu Tadeusza Majerskiego (dyplom w 1954 r.). W ten sposób, choć kształcił się już na sowieckiej uczelni, za sprawą wymienionych pedagogów poznał dokładnie przedwojenne lwowskie tradycje. Dołączył wkrótce do kręgu rodziny swojego profesora jako ojciec chrzestny córki Adama Sołtysa – Marii, która kilkanaście lat później uczęszczała do niego na prywatne lekcje harmonii i pod jego wpływem podjęła decyzję o studiach na Wydziale Teorii i Historii LPK. Nikodemowicz pamiętał zawsze o swoim profesorze, któremu zadedykował jedną ze swoich kantat, a w 1990 r. urządził w Krakowie obchody 100. rocznicy urodzin. Jeśli są osoby, które pamiętają to wydarzenie, uprzejmie prosimy o kontakt z redakcją *Cracovia Leopoldis*.

* Artykuł stanowi uzupełnioną wersję fragmentu artykułu: M. Piekarski, *Poza granicami kraju, lecz nie na emigracji. Polscy muzycy i kompozytorzy we Lwowie po 1945 roku*, [w:] *Muzyka polska za granicą*, t. 4 *Wśród Słowian*, red. B. Bolesławska-Lewandowska, J. Guzy-Pasiak, Instytut Sztuki PAN, Warszawa 2023, s. 9–42.



Kamienica we Lwowie przy ul. Potockiego 76

ORGANISTA KOŚCIELNY I WYKŁADOWCA NA SOWIECKIEJ UCZELNI

Nikodemowicz w latach 1944–1962 był też organistą w swoim kościele parafialnym św. Marii Magdaleny, aż do zamknięcia świątyni na blisko 40 lat, gdzie licznie uczęszczała część pozostałej we Lwowie inteligencji. Należy dodać, że parafia św. Marii Magdaleny została reaktywowana w 2001 r., jednak na zasadach podnajemcy od działającej do dziś od czasów sowieckich sali koncertowej. W obowiązkach organisty często zastępował go Bronisław Pacan (późniejszy organista katedralny, kontynuator Nowakowskiego). W tym właśnie kościele w 1952 r. Andrzej Nikodemowicz wziął

ślub z Kazimierą Grabowską (nie zważając na możliwe represje władz sowieckich). Nikodemowicz utrzymywał też bliskie relacje z polską rodziną Szymańskich, w tym Zofią Szymańską, absolwentką przedwojennego konserwatorium, która po 1945 r. prowadziła przedmioty teoretyczne w szkole muzycznej.

W latach 1951–1973 Nikodemowicz został zatrudniony w LPK, gdzie pracował w katedrze fortepianu głównego (i dodatkowego). Nieco później do wykładowców Katedry Fortepianu dołączyła kolejna Polka – Maria Tarnawiecka (ur. 1932 we Lwowie, zm. 2017 tamże), córka polskiego architekta Piotra Tarnawieckiego, która w 1954 r. ukończyła klasę fortepianu w LPK. Nikodemowicz przez krótki czas w 1973 r. należał też do pracowników Katedry Kompozycji (prowadził zajęcia z kompozycji, kontrapunktu i analizy). Ostatnie zatrudnienie szło w parze z coraz większymi osiągnięciami w tym właśnie zakresie. Niedługo po otrzymaniu nowego stanowiska został jednak zwolniony za swoje stałe zaangażowanie religijne – po zamknięciu kościoła św. Marii Magdaleny (1962) uczęszczał wraz z dziećmi do katedry. Nikodemowicz miał w konserwatorium przeciwko sobie innego wykładowcę, nieznacznie młodszego, który również aspirował do kariery kompozytora, a na dodatek obejmował stanowisko przewodniczącego organizacji partyjnej w LPK. Z tego powodu zaangażowanie religijne Nikodemowicza (i wychowywanie dzieci w tym duchu) posłużyło do zwolnienia go z pracy w 1973 r.

Wpisywało się to w okres przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX w., gdy po okresie względnej odwilży (w latach sześćdziesiątych) ponownie nastała ostra walka ideologiczna z Kościołem oraz polską tradycją i kulturą, czego przykładem była choćby planowa dewastacja Cmentarza Obrońców Lwowa.

Wszystkie nagrania utworów Nikodemowicza przechowywane w radiu lwowskim zostały wtedy zniszczone. Przez kilka lat kompozytor utrzymywał się z prywatnych lekcji (harmonii, solfeżu, fortepianu), jednak z braku wystarczających środków do życia opuścił Lwów wraz z żoną oraz dziećmi Małgorzatą i Janem, z którymi w 1980 r. zamieszkał w Lublinie.



Andrzej Nikodemowicz, Lwów ok. 1955 r.
Ze zbiorów Małgorzaty Nikodemowicz

Lwów, kościół św. Marii Magdaleny (z wciąż od czasów sowieckich zamurowanym wejściem głównym), fot. M. Piekarski (2024)

Pozostała we Lwowie jego córka chrześcijańska Maria Sołtys wspominała: „Miałam wrażenie, że coś się skończyło w moim życiu bezpowrotnie”.

KOMPOZYTOR

Jako kompozytor Nikodemowicz kontynuował nurt awangardy muzycznej zapoczątkowany przez Tadeusza Majerskiego, choć kształcił się pod jego kierunkiem przede wszystkim jako pianista. Nikodemowicz uprawiał różne gatunki. Pierwszym utworem były 3 *Preludia* na skrzypce i fortepian (1945). Tworzył też utwory na większy skład, m.in. *Symfonię koncertującą* na skrzypce i orkiestrę (1957), utwory na fortepian i kameralne. Wyjątkowo istotne były częste inspiracje religijne, począwszy od *Requiem pamięci Rodziców* na chór mieszany, sopran solo i organy (1952), widoczne także w powstałych jeszcze we Lwowie kilkunastu kantatach, m.in.: *De nativitate* na sopran solo, chór i orkiestrę (1958). Większości z tych utworów nie można było prezentować oficjalnie, zwłaszcza na uczelni czy w filharmonii.

Inspiracji do tworzenia niektórych kompozycji sakralnych dostarczał powstały w 1971 r. (podczas reżimu czasów Breżniewa) Chór Katedry Lwowskiej, zwłaszcza że pomysł jego założenia powstał podczas spotkania Bronisława Pacana w domu Nikodemowiczów. Na jego prośbę Nikodemowicz stworzył wiele opracowań polskich kołęd i innych pieśni, głównie na chór a cappella. Jak pisała Joanna Pacan-Świetlicka (córka Bronisława Pacana, absolwentka muzykologii UJ), współpraca ta musiała być utrzymana w tajemnicy i niewielu chórzystów wiedziało, że obok nich siedzi autor wykonywanych „anonimowo” utworów. Zbiór ten zatytułowany jako *Dnia jednego o północy* po raz pierwszy ukazał się drukiem w 1978 r. w Krakowie (łącznie miały miejsce trzy wydania) z dedykacją dla o. Rafała Kiernickiego, proboszcza katedry lwowskiej w latach 1949–1958 i 1965–1995.

Po zwolnieniu z konserwatorium Nikodemowicz nie przestał komponować, tworząc m.in. *Symfonię* na wielką orkiestrę (1974–1975), a także kolejne kantaty religijne, m.in.: *Rozmowa duszy z Matką Bolesną I* na mezzosopran, 3-głosowy chór żeński i 3-gło-



sowy chór chłopięcy (1976), *Magnificat* na 3-głosowy chór żeński i orkiestrę (1977–1978). Nurt religijny był ważną częścią jego twórczości także po 1980 r. Widoczne były też nawiązania do tradycji lwowskich, m.in. w cyklu miniatur *Grudki kadzidla* na różną obsadę do słów Beaty Obertyńskiej (cz. I–II 1989, cz. III 1991, cz. IV 2010) oraz w kantacie *Do Najświętszej Marii Panny Łaskawej* na chór i organy (2010).

Nikodemowicz komponował też muzykę do sztuk teatralnych dla Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie, który powstał w 1958 r., m.in. do *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego (1969, wznowienie 1980), *Fantazego* Juliusza Słowackiego (1978), *Pierwszej lepszej* Aleksandra Fredry (1978) i *Serenady* Stanisława Mrożka. Z Polskim Teatrem Ludowym Nikodemowicz współpracował wielokrotnie, także jako ilustrator muzyczny, m.in. podczas *Wieczoru poezji Jana Kasprówicza* w 1964 r. czy *Wieczoru poetyckiego „Norwid”* w 1973 r., grając utwory Fryderyka Chopina. Z teatrem tym nawiązał dalszą współpracę począwszy od 1990 r. Od 1969 r. wiele utworów instrumentalnych Nikodemowicza ukazywało się drukiem w Krakowie. Spośród nich *Sonorità* na wiolonczelę z 1971 r. została najpierw wykonana podczas Warszawskiej Jesieni w 1977 r., a następnie rok



Andrzej Nikodemowicz. ok. 1960 r. – Lwów, rynek, w tle ratusz. Ze zbiorów Małgorzaty Nikodemowicz

później opublikowana. Poza wspomnianym zbiorem kolęd utwory sakralne kompozytor mógł wydawać dopiero po 1980 r., gdy wyjechał z ZSRR.

PAMIĘĆ O ANDRZEJU NIKODEMOWICZU

Od lat osiemdziesiątych niemal do samej śmierci Andrzej Nikodemowicz aktywnie włączył się w rozwój życia muzycznego Lublina, którego został honorowym obywatelem. Zmarł w Lublinie 28 stycznia 2017 r. Nad zachowaniem pamięci o postaci i dokonaniach Andrzeja Nikodemowicza czuwa dziś Małgorzata Nikodemowicz – jego córka, zamieszkała w Lublinie. W związku z 100. rocznicą urodzin Rada Miasta Lublina podjęła uchwałę w sprawie ustanowienia roku 2025 Rokiem Andrzeja Nikodemowicza. Jak dotąd (koniec lutego) na początku roku odbyły się już trzy koncerty, dwa w Lublinie i jeden w Warszawie. W dniu 18 stycznia w archikatedrze lubelskiej miała miejsce uroczysta msza oraz koncert organowy i kameralny (Jarosław Wróblewski – organy, Jagumiła Dziel-Wawrowska – sopran, Ja-

kub Waszczeniuk – trąbka, Teresa Księżka-Falger – słowo o muzyce), z kolei 16 lutego koncert kameralny zorganizowało Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego w Lublinie (Wojciech Fudała – wiolonczela, Michał Rot – fortepian, Teresa Księżka-Falger – słowo o muzyce) – w obydwu przypadkach na program złożyły się utwory Andrzeja Nikodemowicza. W Warszawie w dniu 14 lutego Polska Opera Królewska przygotowała koncert symfoniczny *Polska muzyka XX wieku* (Lilianna Krych – dyrygentka), podczas którego zabrzmiały utwory dwóch polskich kompozytorów pochodzących ze Lwowa – Andrzeja Nikodemowicza (*Mała suita* na orkiestrę) i Wojciecha Kilara (*Orawa*), a także dwóch kompozytorów mających powiązania z kresami północno-wschodnimi – Mieczysława Karłowicza (*Rapsodia litewska*) i Grażyny Bacewicz (*Divertimento*) – poprzez jej ojca Litwiną pochodzącego z Suwalszczyzny.

Ponadto w styczniu 2025 r. – jak co roku od ponad 40 lat – wiele kolęd w opracowaniu Andrzeja Nikodemowicza śpiewał Chór Katedry Lwowskiej pod dyrekcją Bronisława Pacana, będący zespołem macierzystym dla tego właśnie repertuaru. Niektóre kolędy w opracowaniu Nikodemowicza można było też usłyszeć w Krakowie w wykonaniu Chóru bł. Anieli Salawy (dyrygentka Anna Godek), który śpiewał je ostatnio m.in. w kościele oo. Misjonarzy na Stradomiu i kościele św. Floriana. Warto pomyśleć, aby na Boże Narodzenie w grudniu tego roku również inne chóry krakowskie (i nie tylko krakowskie) przygotowały choć niektóre kolędy w opracowaniu Nikodemowicza (np. słynne *Hola, hola*), zwłaszcza że właśnie w Krakowie po raz pierwszy ukazały się one drukiem.



Andrzej Nikodemowicz, „Dnia jednego o północy”, Kraków 1978 (wydanie I)

W stulecie debiutu Jana Kiepury we Lwowie

100 lat temu, 15 stycznia 1925 roku, Jan Kiepura zadebiutował na scenie operowej. Dwudziestotrzyletni tenor wystąpił w roli tytułowej w *Fauście* Charlesa Gounoda w Teatrze Miejskim, zwanym Wielkim, we Lwowie. Występ ów stał się początkiem jego spektakularnej światowej kariery scenicznej.

W jaki sposób syn piekarza spod Częstochowy, mający za sobą zaledwie krótki stosunkowo okres prywatnych studiów wokalnych u profesora Wacława Brzezińskiego w Warszawie (pobieranych zresztą w tajemnicy przed ojcem, który pragnął dla syna kariery prawniczej), trafił na jedną z najbardziej renomowanych i cieszących się długą tradycją polskich scen operowych? Osobą, która przyczyniła się do organizacji tego debiutu, był pochodzący z Krakowa znany tenor Ignacy Warmuth. Przekonany o wybitnym talencie Janka, któremu pomagał w przygotowaniu partii operowych, postanowił sprzyjać mu w karierze, gdy ta, po niefortunnym incydencie, stanęła pod znakiem zapytania. Niesforny adept opery warszawskiej został z hukiem usunięty z pracy przez dyrektora Emila Młynarskiego za niesubordynację, kiedy to, wykonując króciutką partię przodownika chóru górali w moniuszkowskiej *Halce*, deprymował kolegów i chór, przebijając się swym głosem ponad pozostałych wykonawców. Warmuth wykorzystał rozległe kontakty w lwowskim środowisku artystycznym, które posiadał z dawnych czasów, kiedy to z powodzeniem występował na deskach Teatru Skarbkwowskiego, śpiewając pod batutą wybitnego dyrygenta i kompozytora, a niegdyś ucznia Stanisława Moniuszki – Henryka Jareckiego. Tak oto, po miesiącu od rozpoczęcia tych starań, ukazał się anons w lwowskiej „Gazecie Porannej”: „Jan Kiepura. Młody niezwykle utalentowany tenor liryczny, któremu prasa warszawska przepowiada wielką przyszłość, wystąpi u nas we czwartek w *Fauście* w roli tytułowej”¹.

Debiutant, najmłodszy wiekiem spośród solistów przewidzianych na ów wieczór, wystąpił u boku zarówno młodych lwowskich



Jan Kiepura w stroju scenicznym doktora Fausta, źródło: NAC. Sygnatura 1-K-8228

śpiewaków, swoich niemalże rówieśników, jak i owianych legendą już za życia weteranów tej sceny. Do tych ostatnich z pewnością zaliczyć należało Amalię Kasprończową, która kreowała rolę Marty. Nazwisko artystki, ulubienicy lwowskiej publiczności, nierozdzielnie związane było z teatrem lwowskim od chwili, gdy jako szesnastolatka stawiała swe pierwsze kroki na scenie jeszcze w dawnej jego siedzibie w gmachu Skarbkwowskim pod opiekuńczą batutą maestra Jareckiego. Z czasem, opanowawszy rozległy repertuar, stała się niekwestionowaną podporą opery i operetki. W chwili debiutu Kiepury, mając 71 lat, wciąż cieszyła się niesłabnącym powodzeniem. Sopranową partię Małgorzaty wykonała Helena Lipowska – znakomita młoda wokalistka, u schyłku Wielkiej Wojny zaangażowana do zespołu opery lwowskiej, ceniona zarówno przez publiczność, jak i krytykę. Artystka, pochodząca podobnie

¹ Kronika, „Gazeta Poranna” 1925 nr 7302, s. 6.

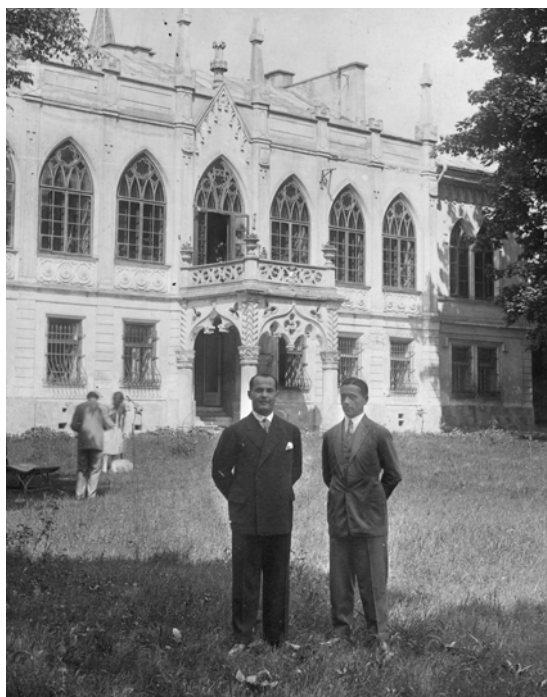
jak Kiepura z niezamożnej rodziny (urodziła się w małej wiosce Werbiż koło podlwowskiego Mikołajowa), zanim trafiła na deski opery lwowskiej, zarabiała na życie jako kwiaciarka, a dzięki Marii i Zofii Kozłowskim, które zainteresowały się jej głosem, otrzymała solidne wykształcenie wokalne (pod kierunkiem Zofii Kozłowskiej kształciła się wcześniej we Lwowie m.in. Stanisława Korwin Szymanowska, siostra kompozytora Karola Szymanowskiego). W partii Siebla zaprezentowała się młoda, utalentowana, przed trzema laty dopiero zaangażowana do zespołu opery urocza lwowianka Maria Popowiczówna, wychowanka Heleny Oleskiej (spod ręki której wyszedł znakomity baryton Andrzej Hiolski, w chwili debiutu Kiepurzy mający dopiero trzy lata). W rolę Mefista wcielił się niezawodny bas Jan Zopoth, nazywany przez kolegów ze sceny „Diabłem”, a Walentego – baryton Franciszek Schütz.

Przedstawienie relacjonował ma łamach „Gazety Porannej” Franciszek Neuhauser, polski pianista (uczeń i syn chrzestny Karola Mikulego) i kompozytor, wieloletni profesor Konserwatorium Galicyjskiego/Polskiego Towarzystwa Muzycznego i zarazem prezes Związku Recenzentów Muzycznych we Lwowie². Palmę pierwszeństwa w spektaklu oddał Lipowskiej, która w swej partii uwypakowała walory „szlachetnego, odznaczającego się srebrzystym dźwiękiem” sopranu. To ona, jego zdaniem, była główną bohaterką wieczoru i adresatką „niemiłkających” oklasków publiczności. Nie zawiodła swych wielbicieli „znakomita, wprost niezrównana” Kasprowiczowa, jak również pozostali soliści. Sporo uwagi w sprawozdaniu poświęcił krytyk muzyczny Janowi Kiepurze w roli Fausta, ukazując zarówno zalety głosu debutanta, jak i wytykając braki, zwłaszcza w zakresie jego wyszkolenia: „Głos tego wiele obiecującego w przyszłości młodego adepta sztuki jest wydatny i fenomenalnie piękny, wykształcenie tego niezwyklego materiału wokального pozostawia natomiast wszystko jeszcze do życzenia. Jest to tenor o nadzwyczaj sympatycznym brzmieniu, atakujący wysokie tony w sposób prawdziwie imponujący. Lecz



suma tych wyjątkowych środków wokalnych – jak dotąd – nieumiejętnie wyzyskana dziś jeszcze do interpretacji partii Fausta absolutnie się nie nadaje”. Zapewne jak kubek zimnej wody musiały zadziałać słowa uznającego krytyka, nie na tyle jednak, by zdeprymować debutanta czy wręcz pozbawić go wiary w siebie i swój talent, której – sądząc z przekazów współczesnych – nigdy mu nie brakowało. „Chanter, ce n’est pas crier” [„Śpiewanie to nie krzyk!”] – grzmiał powściągliwy zazwyczaj profesor, przyznając przy tym, że „P. Kiepura jest muzyczny, posiada sporo temperamentu scenicznego i wszelkie warunki na tenora pierwszorzędny, lecz to wszystko nazwać by można muzyką przyszłości”. Nie omieszczał również zaznaczyć, że „gorące oklaski”, jakie otrzymał debutant od lwowskiej publiczności, winny być dla niego zachętą „do dalszej pracy nad wydoskonaleniem swego okazałego głosu i talentu”. Całość przedstawienia sprawozdawca określił mianem bardzo chwiejnej: „Częste na punkcie taktu, tempa i rytmiki nieporozumienia między śpiewakami a orkiestrą zatruły słuchaczom niejednokrotnie nieliczne zresztą – ze względu na obsadę – chwile zadowolenia. Przypuszczam, że inne muzyczne jednostki odczuwały też dotkliwie lęk, jakby ustawicznie wiszący nad głową miecz

² F. Neuhauser, *Z opery. Gounoda „Faust” w odmiennej obsadzie ról*, „Gazeta Poranna” 1925 nr 7305, s. 4.



Jan Kiepura (z lewej) ze swym sekretarzem p. Leszczyńskim w ogrodzie przed pałacem Turkullów-Comello przy ul. Piekarskiej we Lwowie, w którym mieszkała Zofia Batycka, źródło: NAC. Sygnatura 1-K-8251

Damoklesa: niepewność współdziałających, która każdej chwili grozi katastrofą. Solista za wcześniej, orkiestra za późno, albo – na odwrót. Jak to przykro być świadkiem podobnej walki! Wszystko rwało się ustawicznie”. Najwidoczniej nieokiełznany temperament młodego śpiewaka, jak również brak doświadczenia, maskowany zbytnią pewnością siebie, oraz eksponowana w nadmiarze predylekcja do popisów wokalnych musiały być sporym wyzwaniem dla doświadczonego dyrygenta, jakim był Milan Zuna.

Opadła wspaniała kurtyna autorstwa Henryka Siemiradzkiego, zgasty światła, lwowscy melomani zapełniali powoli przyprószone śniegiem Wały Hetmańskie, dzieląc się wrażeniami z tego wieczoru, tak ważnego w karierze artystycznej Kiepury. Jak potoczyły się dalsze losy wymienionych w sprawozdaniu przez prof. Neuhausera solistów? Franciszek Schütz porzucił zawód śpiewaka operowego. Amalia Kasprończowa trzy lata po tamtym spektaklu zakończyła wspaniałą ponad półwiekową karierę sceniczną, przechodząc na zasłużoną emeryturę, a po kolejnych dziesięciu, w 1938 roku, spoczęła na Łyczakowskiej nekropolii. Dwa lata po niej, już w czasie okupacji niemieckiej, w Warszawie zmarł Jan Zapoth, członek modnego i cieszącego się sporą popularnością na początku lat trzydziestych kwartetu wokального

w stylu rewelersów. Obie nieco tylko starsze od debutanta wokalistki przeżyły go o prawie dwie dekady. Maria Popowiczówna pozostała wierna lwowskiej scenie przez cały okres międzywojenny. We Lwowie też rozpoczęła pracę pedagogiczną w jednej z najbardziej cenionych szkół muzycznych w mieście, którą prowadziła przy ul. 29 Listopada Malwina Reyssówna (prywatnie ciotka generała Romana Abrahama). Rok przed wybuchem wojny naukę rozpoczął tam m.in. 6-letni Wojciech Kilar. Opuściła rodzinne miasto na zawsze dopiero w transporcie przesiedleńczym wraz z częścią pracowników Opery Lwowskiej, znajdując zatrudnienie w Operze Śląskiej w Bytomiu jako solistka, a potem korepetytorka. Dożyła sędziwych 84 lat, podobnie jak Helena Lipowska, która zwiąawszy się z Operą Warszawską doczeka końca wojny, mieszkając w ruinach unicestwowionej stolicy, by potem wyjechać do Kanady. Zmarła w Toronto w 1985 roku, przekroczywszy 90. rok życia.

A Kiepura? Niezrażony surową oceną krytyka, a uskrzydłony entuzjastycznym przyjęciem, które zgotowała mu uchodząca za najbardziej muzykalną w kraju publiczność lwowska, zaopatrzony w plik fotografii w kostiumie Fausta, które już na drugi dzień po debiucie kazał zrobić sobie równocześnie u kilku najlepszych lwowskich fotografów, ruszył na podobój Poznania. Następnie, w aureoli zwycięzcy, już w lutym 1925 roku dokonał triumfalnego powrotu na scenę warszawską, wreszcie jesienią 1927 roku, niespełna dwa lata po lwowskim debiucie, „rzucił na kolana” Wiedeń. Odtąd kariera 25-letniego tenora rozwijała się błyskawicznie. Po sukcesie wiedeńskiej sceny najważniejszych teatrów europejskich stały dla niego otworem. Jako śpiewak operowy i operetkowy, a także aktor filmowy, stał wkrótce się jednym z najbardziej znanych Polaków w świecie. Jego niepowtarzalny głos oraz charyzma zjednały mu rzesze wielbicieli w całej Europie i w obu Amerykach. Niezwykle wpływowy lwowski krytyk muzyczny, pedagog i kompozytor, a w międzywojniu profesor stołecznego konserwatorium Stanisław Niewiadomski, wspominając pierwsze występy tenora z Sosnowca, pisał w „Dzienniku Polskim”: „Przed laty

kilkoma wyleciał w świat z Warszawy wielki talent śpiewacki, jeden z największych, jakie Polska w ciągu pół wieku wyprodukowała... Wyleciał skwapliwie, może z maleńkim żalem, że publiczność nie od razu okrzyknęła go znakomitością, a krytyka to i owo zawsze do powiedzenia miała. Ale w 25. roku życia widzi się wszystko różowo i chciałoby się, ażeby zdania i sądy były zawsze jednogłośne³. Niewiadomski, wytrawny znawca wokalistyki, wcześniej dwukrotnie piastujący stanowisko dyrektora artystycznego opery lwowskiej, oceniając zalety i braki młodego śpiewaka, dociekał źródła niebywałego jego powodzenia: „Kiepusa jest szczęśliwym posiadaczem całej sumy tych danych, co stanowią bogactwo artysty, lecz najsilniej w jego talencie przemawia i nerw sceniczny, i lubowanie się w śpiewie. Wybornie to nazwał jeden z krytyków niemieckich: *Sangesfreude*. Bo Wiedeń pierwszy ocenił z tej strony talent młodego śpiewaka, a ponieważ tradycje opery nad modrym Dunajem nakazują wielbić ponad wszystko temperament, przeto nic dziwnego, że Kiepusa nigdzie nie znalazł przyjęcia równie entuzjastycznego jak w Wiedniu, i że jego *Sangesfreude* tak silnie chwyciła wiedeńczyków za serce”. Nie tylko wiedeńczyków. Pierwszymi, których chwyciła za serce, byli właśnie lwowianie – bez lwowskiego debiutu nie byłoby wiedeńskiego sukcesu.

Trzy lata po debiucie kontakty Kiepusy ze Lwowem nabrały realnych szans na znaczne zintensyfikowanie. Latem 1928 roku poznał piękną 21-lletnią lwowiankę, jedyną córkę zamożnego adwokata, Zofię Batycką. Spekulowano, czy najznamienitszy tenor osiedli się na stałe w mieście pod Wysokim Zamkiem, pojawiając się za żonę najurodziwszą Polkę (Batycka zdobyła tytuł Miss Polonia 95 lat temu, w styczniu 1930 roku). Kiepusa jednak nie stanął z Batycką na ślubnym kobiercu. Wybranką jego serca została węgierska śpiewaczka i aktorka Marta Eggerth, partnerka śpiewaka w wielu produkcjach filmowych, z którą stworzył duet doskonały i w życiu, i na scenie. W przeciwieństwie do tej pary Batycka, wbrew usilnym zabiegom i poparciu m.in. Kornela Makuszyńskiego, kariery filmowej nie zrobiła. Zapisala



Zofia Batycka jako Matylda w jednej ze scen filmu „Moralność pani Dulskiej”, źródło: NAC. Sygnatura 1-K-12308-2

się jednak na kartach historii sztuki filmowej, grając epizodyczną rolę w pierwszym polskim filmie dźwiękowym *Moralność pani Dulskiej*, nakręconym w 1930 roku. Na marginesie można wspomnieć, że muzykę do tego obrazu skomponował dawny profesor Konserwatorium Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego we Lwowie i dyrygent lwowskiej opery Ludomir Różycki. Nie trzeba przypominać, że autorką pierwowzoru literackiego była lwowianka z wyboru i – podobnie jak Batycka – mieszkanka lwowskiej dzielnicy Łyczaków Gabriela Zapolska.

Po stu latach od czasu debiutu pamięć o Kiepurze w grodzie nad Pełtwią przygasła, lecz nie zanikła. Przypomnienia o tym wydarzeniu podjął się Chór Katedry Lwowskiej im. św. Jana Pawła II wspólnie z Towarzystwem Muzycznym im. Ignacego Jana Paderewskiego z Sosnowca, organizując 25 stycznia br. w macierzystej świątyni koncert kolęd. Zabrzmiały one w opracowaniu kompozytorów polskich ze Lwowa, współczesnych Kiepurze, m.in. Andrzeja Nikodemowicza, urodzonego na lwowskim Nowym Świecie 100 lat temu, dwa tygodnie przed tamtym debiutem; Michała Woźnego, który rok po tym wydarzeniu objął posadę organisty w lwowskim kościele św. Elżbiety; czy wspomnianego Stanisława Niewiadomskiego. Był to zatem hołd nie tylko dla talentu artysty, ale i dla dorobku kulturalnego miasta,

³ Cyt. za: W Panek, *Jan Kiepusa*, Warszawa 1990.

które przed stu laty nieznanego szerszemu ogółowi chłopaka z sosnowieckiego chóru kościelnego wypuściło – jak wielu innych – na szerokie wody światowej muzyki, by daleko od kraju świadczyli o tym, „skąd nasz ród”.

Na koniec należy przywołać jeszcze jednego domniemanego uczestnika tamtego spektaklu sprzed 100 lat. Mógł nim być ówczesny organista katedralny Józef Nowakowski, niezwykle zdolny uczeń Stanisława Niewiadomskiego i Mieczysława Sołtysa w Konserwatorium Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego. Starszy od Kiepur o osiem lat, podobnie jak on z piękną w życiorysie kartą uczestnika zmagani na frontach wojennych o przywrócenie polskiej państwowości, objął to stanowisko w 1920 roku (pozostając na nim długie 70 lat!) i łączył je w okresie międzywojennym z funkcją chórzysty i organisty w Teatrze Wielkim, począwszy od września roku 1922. Nie wiemy, czy spotkali się kiedykolwiek osobiście. Wiemy natomiast, że obaj wywodzili się z prowincji, obaj pochodzili ze zwykłych niezamożnych rodzin, obaj obdarzeni talentem i siłą charakteru umieli przeciwstawić się woli otoczenia, pokonać wiele przeciwności losu, by konsekwentnie realizować swoje marzenia i powołanie. Obaj również, każdy na swój sposób, stali się z czasem ambasadorami kultury polskiej – po obu stronach żelaznej kurtyny: Kiepura – w blasku fleszy na estradach całego świata, Nowakowski – tylko i aż w wypełnionej zawsze po brzegi wiernymi katedrze lwowskiej, którą ustrzegł od zamknięcia przez władze i w której stworzył na chórze przystań dla ocalałych z zawieruchy wojennej polskich artystów opery, tych, którzy wbrew wyrokowi historii postanowili nie opuścić ukochanego miasta. Przypadła im w udziale tak potrzebna misja ubogacania liturgii swoim śpiewem (o koncertach przecież nie mogło być mowy) i niesienia pamięci o tamtym Lwowie następnym pokoleniom. Na tym zaś gruncie mógł powstać w czasach najmniej ku temu sprzyjających założony przez ucznia prof. Nowakowskiego, jego następcę i sprzymierzeńca, Bronisława Pacana, Chór Katedry Lwowskiej. Od ponad półwiecza daje świadectwo, śpiewając w każdą niedzielę podczas sumy, a okazjonalnie podczas takich wydarzeń jak wspomniany koncert, że muzyka polska we Lwowie, tak jak w czasach Kiepur, wciąż żyje.

Antoni Wilgusiewicz

Udział kapłanów przybyłych z archidiecezji lwowskiej w działalności duszpasterskiej diecezji katowickiej (po 1945 roku)

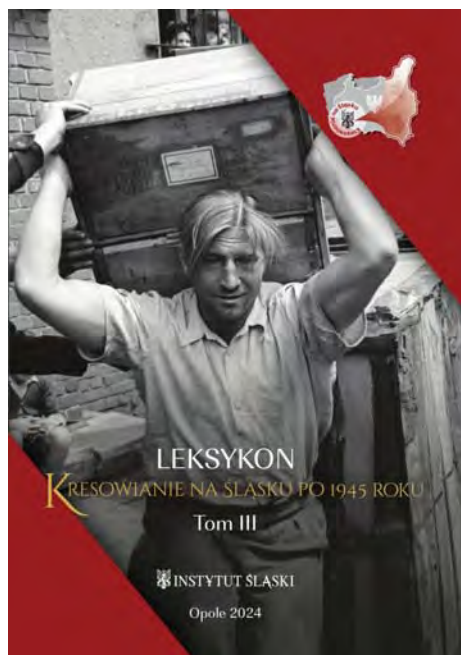
Obchodzone w 2025 roku stulecie powołania diecezji katowickiej jest okazją do przypomnienia różnych aspektów jej działalności, w tym także biografii pracujących tu kapłanów – poczynając od księży biskupów, a obecnie arcybiskupów. Obok kapłanów pochodzących ze Śląska, na czele z tak wybitną osobowością jak bł. ks. Emil Szramek, pojawili się tu kapłani pracujący w archidiecezji lwowskiej, obejmującej Kresy Południowo-Wschodnie II Rzeczypospolitej. Zjawisko to wiąże się ściśle z przemianami demograficznymi będącymi skutkiem II wojny światowej, kiedy to na mocy wymuszonych przez Józefa Stalina przesiedleń ludności na tereny Polski w nowych granicach przybyła ludność wysiedlona z Kresów Wschodnich (tak zwani repatrianci, a naprawdę ekspatrianci, czyli usunięci z ojczyzny). Wraz ze swymi wiernymi przybyli także duchowni świeccy i zakonni, by objąć ich opieką duszpasterską w nowym miejscu osiedlenia.

Nim to jednak nastąpiło, w części Śląska w granicach II RP także odnajdujemy kapłanów ze Lwowa i Kresów Wschodnich. Warto podać tu przykład ks. Ludwika Bombasa, urodzonego w 1892 roku we Lwowie, a wyświęconego na kapłana przez abpa Józefa Bilczewskiego w 1915 roku. Od 1 listopada 1918 roku jako kapelan uczestniczył w Obronie Lwowa, a następnie w walkach z bolszewikami, przejawiając niezwykle męstwo, nagrodzone przez przełożonych Krzyżem Walecznych. Jako kapelan 1. Dywizji Piechoty Legionów brał udział w tzw. wyprawie kijowskiej, a potem w Bitwie Warszawskiej. W latach trzydziestych był kapelanem Korpusu Kadetów we Lwowie, a następnie został skierowany na Śląsk do Katowic, gdzie objął funkcję administratora, a od 1938 roku proboszcza

Parafii Garnizonowej pw. św. Kazimierza. Jego zasługą było m.in. zbudowanie nowoczesnego Wojskowego Domu Parafialnego. Brał udział w walkach we wrześniu 1939 roku jako kapelan 23. Górnośląskiej Dywizji Piechoty, a potem w walkach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Po wojnie z upoważnienia prymasa Polski ks. kard. Augusta Hlonda działał w Edynburgu w Szkocji, gdzie prowadził działalność duszpasterską i patriotyczną wśród miejscowej Polonii. Zmarł i został pochowany w Edynburgu w 1970 roku.

Utrata Kresów Wschodnich na rzecz Związku Sowieckiego była dla Kościoła rzymskokatolickiego na tych terenach podwójnie bolesna. Wprawdzie nie został całkowicie zakazany jak Kościół greckokatolicki, ale z racji ideologicznych (programowy ateizm) i narodowych (wypędzenie Polaków, którzy stanowili podstawową grupę wiernych) został zupełnie zmarginalizowany i poddany drastycznej kontroli władz. Archidiecezja lwowska przestała istnieć (pozostał jedynie jej fragment na ziemiach na zachód od Bugu z administracją w Lubaczowie), arcybiskup Eugeniusz Baziak wraz z kurią i dużą grupą duchownych świeckich i zakonnych opuścił Lwów pod naciskiem władz 26 kwietnia 1946 roku. Wielu duchownych w latach okupacji sowieckiej i niemieckiej straciło życie, także z rąk ukraińskich nacjonalistów, jak ojciec Ludwik Wrodarczyk z Radzionkowa, zakonnik-oblat, proboszcz parafii Okopy na Wołyniu, okrutnie zamordowany 6 grudnia 1943 roku. Inni, którzy nie zdecydowali się na pozostanie i działalność duszpasterską w skrajnie opresyjnych warunkach państwa sowieckiego (jak bł. ks. Władysław Bukowiński, zwany apostołem Kazachstanu), wyjechali do Polski w nowych granicach. Często zabierali ze sobą jako symbol łączności z utraconą Ojczyzną obraz Matki Bożej, nierzadko czczony od stuleci w miejscowym kościele. Na Górnym Śląsku przykładem takiego obrazu jest wizerunek Matki Bożej Dobrej Drogi, zwany Matką Boską Kochawińską (od miejscowości Kochawina, gdzie był otoczony kultem od 1646 roku) – obecnie pod opieką oo. Jezuitów w sanktuarium w Gliwicach.

Główny szlak, którym udawali się na Zachód ekspatrianci z Kresów Południowo-Wschodnich, a więc terenów pod wzglę-



dem kościelnym należących do archidiecezji lwowskiej, wiódł od Lwowa przez Przemyśl, Kraków do Katowic, gdzie przekraczano dawną granicę polsko-niemiecką. Wiele transportów kolejowych kończyło trasę na stacjach Bytom Karb i Zabrze Mikulczyce, a przesiedleńcy nieraz po kilkutygodniowym „koczowaniu” na torach kolejowych osiedlali się głównie w Bytomiu, Gliwicach czy Zabrzu, zajmując miejsce przesiedlonej do Niemiec tutejszej ludności. Zasadnicza masa ekspatriowanych udawała się jednak dalej, na Opolszczyznę i Dolny Śląsk, a nawet Ziemię Lubuską. Tereny Pomorza Gdańskiego i Zachodniego były z kolei zasiedlane przez ludność polską z terenów obecnej Litwy i Białorusi. Kapłani przybywający w tych transportach zwracali się w pierwszej kolejności do biskupa katowickiego Stanisława Adamskiego z prośbą o przydzielenie im miejsca pobytu i posługi na terenie jemu podlegającym, a więc w przedwojennych granicach państwa polskiego. Niestety najczęściej spotykali się z odmową, gdyż wakatów na terenie diecezji było niewiele, a kapłani z Kresów byli znacznie bardziej potrzebni na Opolszczyźnie i Dolnym Śląsku, skąd księża identyfikujący się jako Niemcy lub Ślązacy wyjechali, a ci, którzy pozostali, często ze względów językowych

nie mogli pełnić posługi kapłańskiej wobec przybyłych z Kresów nowych wiernych. Z odmową spotkał się między innymi ks. Kazimierz Bilczewski, bratanek nieżyjącego już wtedy od wielu lat arcybiskupa lwowskiego. Przyjechał on ze Stanisławowa wraz z częścią wyposażenia tamtejszej kolegiaty, między innymi przywożąc obraz Matki Bożej Niepokalanie Poczętej. Ostatecznie został on skierowany do Wrocławia, gdzie objął parafię św. Maurycego. Zmarł w 1970 roku i został pochowany w rodzinnych Wilamowicach koło Bielska-Białej, gdzie urodził się także jego stryj, arcybiskup Józef. Podobnie ks. Jan Palica, który z kościoła w Kałuszu przywiózł obraz Matki Boskiej Wszystkich Narodów; wobec braku miejsca w diecezji katowickiej udał się znacznie dalej na północ, gdzie został proboszczem parafii Gryfino, a następnie proboszczem i dziekanem w Szczecinie-Dąbju.

Część przybywających do diecezji katowickiej księży z Kresów znalazła tu jednak miejsce pobytu i posługi kapłańskiej. Najwyższą godność kościelną spośród nich osiągnął ks. Ignacy Tokarczuk, wyświęcony na księdza przez abpa Eugeniusza Bazia-ka 21 czerwca 1942 roku. Biskup katowicki w grudniu 1945 roku przyjął go jako wikariusza w katedrze pw. Chrystusa Króla, wyrażając jednocześnie zgodę na studiowanie katolickiej nauki społecznej. W związku ze studiami przeniósł się on w następnym roku akademickim do Lublina. W 1965 roku został biskupem (od 1991 roku arcybiskupem) przemyskim, znanym jako zagorzały przeciwnik ustroju komunistycznego.

Na podobnie niedługi czas swoje losy z diecezją katowicką związała grupa księży, którzy potem przenosili się na inny teren, głównie Opolszczyznę. Przykładem może być tu ks. Bolesław Biliński, który 15 maja 1946 został wikariuszem w parafii św. Marii Magdaleny w Bielszowicach (dzielnica Rudy Śląskiej), a od 1947 jednocześnie w pobliskim Pawłowie (dzielnica Zabrze). Odznaczył się tu dużą aktywnością, zwłaszcza w pracy z młodzieżą; w 1949 roku przeniósł się do Bytomia, należącego do Administratury Apostolskiej Śląska Opolskiego. Podobnie ks. Jan Kulpa, który przybył ze Lwowa w kwietniu 1946 roku; pracował w parafiach Bieruń Stary, Syrynia i Radoszowy, po czym w maju 1947 roku przeniósł się do Łądko-

-Zdroju, gdzie został proboszczem i kapelanem miejscowego szpitala.

Spośród kapłanów z Kresów Wschodnich, którzy na trwałe związali swoje losy z diecezją katowicką, najbardziej znany jest niewątpliwie twórca i wieloletni Sekretarz Apostolstwa Chorych, najpierw we Lwowie, a po ekspatriacji w Katowicach, ks. Michał Rękas (1895–1964). Zatwierdzone przez władzę duchowną w 1930 roku Apostolstwo Chorych wydawało nie tylko miesięcznik pod tą nazwą, ale przede wszystkim prowadziło audycje radiowe emitowane w programie ogólnopolskim Polskiego Radia. Ksiądz Rękas współpracował z Akcją Katolicką, udzielał się aktywnie w kraju i za granicą, zakupił dla chorych wiele radioodbiorników radiowych. Po wojnie, którą przeżył we Lwowie, wyjechał do Katowic, gdzie biskup Adamski umożliwił mu kontynuację dawnej działalności, w tym audycji radiowych (tych jednak władze komunistyczne zakazały w 1949 roku). Jednocześnie ks. Rękas prowadził wykłady na temat duszpasterstwa chorych, uzyskał doktorat i stopień adiunkta na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Zmarł w Katowicach w 1964 roku i został pochowany na cmentarzu przy ulicy Francuskiej, a jego dzieło życia do dziś jest kontynuowane w Katowicach – <https://www.apchor.pl/>.

Następcą ks. Rękasa został także przybyły ze Lwowa ks. Jan Szurlej. Pracował tu jako kapelan szpitalny i katecheta, współpracując z ks. Rękasem w Apostolstwie Chorych. Uzyskał doktorat z teologii moralnej, którą wykładał wiele lat na Wyższym Śląskim Seminarium Duchownym w Krakowie. Jako Sekretarz Apostolstwa Chorych i redaktor miesięcznika pod tą nazwą organizował m.in. dwa razy do roku Ogólnopolską Pielgrzymkę Chorych na Jasną Górę, odwiedzał chorych w domach i szpitalach, głosił kazania dla nich oraz lekarzy, kapłanów i kleryków. Zmarł w 1982 roku. Śp. ks. Józef Krętosz w swoim artykule *Duchowieństwo archidiecezji lwowskiej na terenie diecezji katowickiej po 1945 roku* oblicza, że z kapłanów, którzy pojawili się na terenie diecezji katowickiej, 15 pracowało tu do końca życia, a przynajmniej do odejścia w stan spoczynku. Obok wspomnianych wyżej Sekretarzy Apostolstwa Chorych znaczący wkład w życie diecezji wniósł ks. Zygmunt Bauer. Pod koniec 1945 roku przybył tu z parafii Brzeżany i został rezydentem

przy kościele garnizonowym w Katowicach. W latach 1949–1959 administrował parafią św.św. Cyryla i Metodego w Załęskiej Hałodzie, a następnie został proboszczem parafii pw. Przemienienia Pańskiego w Katowicach. W 1971 roku przeszedł na emeryturę, zmarł w 1982 roku i został pochowany na cmentarzu przy ul. Sienkiewicza w Katowicach. Z kolei w okolicach Bielska pracował ks. Bronisław Jakubowski – do 1953 roku w Aleksandrowicach, a następnie w Starym Bielsku, gdzie przeszedł na emeryturę i mieszkał aż do śmierci w 1980 roku. Podobnie ks. Roman Sztajer; po krótkim pobycie w Katowicach i Czechowicach został proboszczem w Jasienicy koło Bielska, gdzie pracował ponad 20 lat. Zmarł w 1988 roku w Bielsku-Białej i tam został pochowany. Starszy wiekiem ks. Michał Struś osiadł w parafii Bielszowice – Czarny Las (dzielnica Rudy Śląskiej) i tam zmarł w 1949 roku. Z Cieszynem z kolei wiązał się ks. Franciszek Tustanowski – najpierw jako katecheta, a następnie kapłan sióstr boromeuszek; zmarł w 1963 roku. Kapłanem w domu dziecka prowadzonym przez siostry felicyjanki w Starej Wsi koło Pszczyny był ks. Leon Ryś, zmarły i pochowany w Pszczynie w 1959 roku.

Ciekawy przypadek stanowi ks. Maksymilian Dyrbuś, Ślązak z Piekar Śląskich-Szarleja, salezjanin, a potem kapłan archidiecezji lwowskiej. Po zajęciu jej terenu

przez ZSRR w 1940 roku wrócił na Górny Śląsk, gdzie do końca wojny pracował w parafii św. Jana Chrzyciela w Jaśkowicach. Z racji głoszonych tam kazań naraził się ówczesnej władzy świeckiej i duchownej. Po 1945 roku pracował m.in. w parafii św. Jadwigi w Szopienicach, a następnie w Strumieniu, gdzie był kapłanem w zakładzie Sióstr de Notre Dame. Tam też w 1953 roku zmarł i został pochowany. Podobnie Ślązakiem był ks. Albert Kaszuba, urodzony w Siemianowicach Śląskich, od 1907 roku kapłan archidiecezji lwowskiej. Po pobycie u franciszkanów w Krakowie i powrocie w 1948 roku na Śląsk przebywał do śmierci w 1953 roku w klasztorze w Panewnikach.

Podsumowując, należy stwierdzić, że w odróżnieniu od diecezji opolskiej i wrocławskiej księża wywodzący się z archidiecezji lwowskiej nie byli w diecezji katowickiej grupą liczną i znaczącą. Teren diecezji był raczej miejscem czasowego, krócej czy dłużej trwającego postoju przed udaniem się na docelowe miejsce pobytu i działalności duszpasterskiej. Pozostała tu na stałe niewielka liczebnie grupa, z której na trwałe zapisali się przede wszystkim księża prowadzący przeniesione przez nich ze Lwowa Apostolstwo Chorych, istniejące i owocnie działające w Katowicach do dziś. Niemniej w roku obchodów stulecia powstania diecezji warto i o tych jej kapłanach pamiętać.



Grób śp. ks. Michała Rękasa na cmentarzu przy ul. Francuskiej w Katowicach. Fot. Antoni Wilgusiewicz

Janusz M. Paluch

Prof. Zygmunt Kolenda (1936–2025)

10 lutego na krakowskim Cmentarzu Salwatorskim odbył się pogrzeb prof. Zygmunta Kolendy. Zawodowo związany z Akademią Górniczo-Hutniczą w Krakowie, przez wiele lat był prezesem krakowskiego zarządu Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Z Jego inicjatywy powstał w początkach XXI wieku apel do społeczeństwa polskiego o pomoc dla rodaków na Kresach. Do tej akcji aktywnie włączyła się Telewizja Polska i córka Profesora red. Katarzyna Kolenda-Zaleska.

Do tej inicjatywy doszło zupełnie przypadkowo. Prof. Kolenda na lwowskim parkingu usłyszał fragment rozmowy aktorów Teatru Śląskiego z polskimi mieszkańcami Lwowa. Mówiono o bardzo ciężkich warunkach życia Polaków, starych, samotnych i obłożnie chorych ludzi, którzy leżą w domach w koszmarnych warunkach. Po powrocie Profesor poprosił Towarzystwo Kultury Polskiej we Lwowie o informację na ten temat.

W odpowiedzi przysłano mi ankiety na temat Polaków, ale prawdę mówiąc niewiele z nich wynikało. Wiedzieliśmy przecież, że trudno jest tam wyżyć za 10 dolarów miesięcznie, bo tak w przeliczeniu wyglądała renta czy emerytura. (...) W kilka osób pojechaliśmy do Lwowa i według tych ankiet zaczęliśmy ludzi odwiedzać. Dopiero wtedy przekonałem się, że to, co nam opowiadano, to jest nic w porównaniu z rzeczywistością. To, co zobaczyliśmy, przekroczyło wszelkie wyobrażenia. Jak ci ludzie żyją w zimie bez ogrzewania, bez elektryczności, często bez wody, nierzadko jedząc zaledwie kawałki chleba gotowanego na wodzie – potworność! Wtedy zaczęła się ta akcja. Do Lwowa pojechała ekipa krakowskiej telewizji, która nakręciła film pokazywany później na antenie telewizji publicznej i lawinowo zaczęły napływać pieniądze z całej Polski. Spontanizm i hojność ludzi też przekroczyła nasze wyobrażenia.

Na pomocowe konto zaczęły spływać środki finansowe od ludzi i przedsiębiorstw z całej Polski. Przez Profesora powołana została Komisja Charytatywna, w której skład weszli członkowie krakowskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów



Południowo-Wschodnich. Wśród nich byli m.in. Romana Machowska, Barbara Szumska, Barbara Ołasińska, Krystyna Bobrowska, Teresa Kondolewicz-Wilk, Urszula Kogut czy Jerzy Żuk. Komisja za pozyskane środki organizowała pomoc najbardziej potrzebującym Polakom żyjącym we Lwowie, ale i w innych miastach kresowych. Profesor wielokrotnie osobiście odwiedzał Lwów, przy okazji spotykając się z Polakami, do których trafiała pomoc. Ten wyjazd wspominał też Andrzej Chlipalski:

Byłem przez lata związany ze Stowarzyszeniem „Wspólnota Polska” i pojechałem z prezesem prof. Jerzym Kolendą na Kresy i w kilku miejscowościach badaliśmy sytuację. A ta była bardzo różna, bo odwiedzaliśmy ludzi żyjących w skrajnej nędzy, ale odwiedzaliśmy też wille luksusowo urządzone.

Oczywiście to nie była jedyna forma działalności na rzecz Kresowian krakowskiego oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Ale dla nas najważniejsza, bo dzięki inicjatywie Pana Profesora można było wesprzeć Polaków nie tylko materialnie, ale zorganizować im pomoc i opiekę na miejscu, wykorzystując niepracujące Polki w roli opiekunek na zasadzie wolontariatu, czy dostarczać im potrzebne lekarstwa, sprowadzać do Polski na trudniejsze zabiegi medyczne, a nawet zapewnić w Krakowie – tym, którzy się na to decydowali – miejsce opieki w domach pogodnej jesieni.

Za wszystko, co Profesor Zygmunt Kolenda zrobił na rzecz Polaków we Lwowie i na Kresach, serdecznie dziękujemy, zapewniając o pamięci.

Kuchnia lwowska Jadwigi Sabadasz

Zima za nami... Mamy piękną i radosną wiosnę. Jeżeli Państwo mają jeszcze zapas pozostałych po zimie ziemniaków, proponuję trzy przepyszne i proste dania kuchni kresowej.

GOŁĄBKI Z FARSZEM KRESOWYM



Składniki: 1 główka kapusty, 1 kg ziemniaków, ½ kg twarogu, 2 cebule, 150 g boczku, 3 ząbki czosnku, ½ l bulionu warzywnego, 2 łyżki masła, sól, pieprz.

Przygotowanie: cebulę i boczek pokrojony w kostkę należy podsmażyć. Ziemniaki ugotować i ugnieść z twarogiem, dodając podsmażoną cebulkę z boczkiem. Następnie dodajemy wyciśnięty przez praskę czosnek, sól, pieprz i wszystko mieszamy. Na zaparzone liście kapusty nakładamy po 2–3 łyżki nadzienia (w zależności od wielkości liści), zwijamy i układamy w naczyniu żaroodpornym wysmarowanym masłem. Gołąbki zalewamy bulionem i pieczemy w 180° przez 1,5 godziny, co jakiś czas podlewając bulionem. Gołąbki można podawać ze śmietaną lub dowolnym sosem.

KOPYTKA KRESOWE



Składniki: 1 kg ziemniaków (przed obraniem), ½ kg twarogu, 1 jajko, 1 szklanka mąki, pieprz, sól, 1–2 podsmażone cebule.

Do podania: podsmażona cebulka z boczkiem lub bułka tarta z masłem.

Przygotowanie: ugotować ziemniaki i zemleć razem z serem, dodać jajko, mąkę, cebulkę podsmażoną, doprawić i dokładnie wymieszać. Ciasto formować w rulony, pokroić na kopytka. Kopytka gotujemy w osolonej wodzie, podajemy z dowolną okrasą.

KROKIETY KRESOWE



Składniki: 1 kg ziemniaków (po obraniu), ½ kg twarogu, 2 cebule, ewentualnie 100–200 g boczku, majeranek, sól, pieprz, szczypta gałki muszkatołowej.

Ciasto na naleśniki: 2 szklanki mleka, 1,5 szklanki mąki, 1 jajko, ½ łyżeczki soli, 1 łyżka oleju.

Przygotowanie: ziemniaki ugotować i ugnieść z twarogiem, dodać pokrojoną i podsmażoną cebulę (pokrojony, podsmażony boczek), dodać przyprawę, dobrze wymieszać. Składniki na ciasto naleśnikowe połączyć, wymieszać, aby nie było grudek. Usmażyć naleśniki, nasmarować je przygotowanym nadzieniem i pozawijać.

Przed podaniem krokiety panierujemy w roztrzepanym jajku, a następnie obtaczamy w bułce tartej.

Życzę Państwu smacznego!

LISTY DO REDAKCJI



Reakcje Państwa Czytelników są dla naszego pisma i autorów niezwykle cenne. Cieszymy się z każdego słowa otuchy, gratulacji i wsparcia – także materialnego, co w ostatnich czasach jest dla nas niezwykle ważne. Z Rzeszowa nadszedł do redakcji list od naszego stałego czytelnika, ale i Mecenasa naszego kwartalnika, Pana Jerzego Wolańczyka. Czytamy słowa podziękowań skierowane do autorki artykułu *Sprawy Wołynian* – Natalii Tarkowskiej:

Niewiele czytania, a ile treści. Wzruszający artykuł, dający wiele do myślenia. Szkoda tylko, że niewielu ludzi go przeczyta. Jak można zapomnieć o ludziach,

którzy oddali życie, zdrowie. Jak można zapomnieć o pomordowanych dzieciach, kobietach, starcach? 80 lat to długi czas, żeby przeprosić i pomóc w pochowaniu pomordowanych. Teraz chyba nikt nie oczekuje przeprosin, chyba za późno.

O tym, czego możemy spodziewać się od naszych sąsiadów, świadczy tablica na szkole im. Marii Magdaleny we Lwowie. Obok niej przechodzą czasem nasze ważne osobistości. I co?!

Muszę zauważyć jeszcze jedną rzecz. Pani Natalia nie marnuje czasu na media społecznościowe, a poświęca go dzieciom. Myślę, że kiedyś będą wdzięczne mamie.

P.S. Z przyjemnością przeczytałem *Lecnicę narodu*.

Serdecznie dziękujemy za pozdrowienia, które odwzajemniamy.

Errata

W artykule mojego autorstwa pt. *Zakład Ojców Jezuitów w Chyrowie we wspomnieniach wychowanków* (Cracovia Leopold 2023, nr 3 [112]) na s. 51, opierając się w dobrej wierze na tekstach, które znalazłam w Internecie, podałam, że spośród znanych osób uczniami kolegium był między innymi Jan Brzechwa, tym samym przyczyniając się do powielenia błędnej informacji o pisarzu, za co przepraszam. Wędlug zachowanych dokumentów i materiałów archiwalnych szkoły w Chyrowie Jan Brzechwa

(właśc. Jan Wiktor Lesman) **nie był uczniem tego kolegium**. Nie jest również wymieniany w jakichkolwiek zachowanych wspomnieniach uczniów tej szkoły. Szymon Kobylński dowcipnie radzi: „Zawsze sprawdzaj informacje, nawet to, kto napisał *Pana Tadeusza*, ja wiem, że Słowacki, ale muszę sięgnąć do biblioteki”. Niestety nie skorzystałam z tej wskazówki, stąd mój błąd, za co jeszcze raz Szanownych Czytelników przepraszam.

Z poważaniem
Beata Bednarz

Z lwowskich przedwojennych przepisów zapisanych przez Jadwigę Halaubrenner



Krajem rybu w dzwonka duże
Podsmażamy je w braturze
Jak już zarumieniom się
Kładziem na półmisek je
W kostkę warzyw naciąć musim
W tłuszczu te warzywa dusim
Dodać możem co do ziół
Bobkowego liścia pół
Jak ten gips już jest gotowy
Bierzem przecier tomatowy
Soli, pieprzu, cukru, łut
I musztardy ciut, ciut, ciut
Teraz nam zostaje ino
Rybe przykryć tom jarzynom
Na półmisek na stół wnieść
No i cześć
Możem jeść

Na I stronie okładki:

Andrzej Chłipalski (1931–2019). Fot. Ringer (2005)



**Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Prezes Zarządu:

Kamil S. Woźniak

Rada Programowa:

Stanisław Czerny – Oddział Krakowski TMLiKPW, dr Karolina Grodziska – Biblioteka PAN i PAU, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański – Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz M. Paluch – redaktor naczelny kwartalnika, Kamil S. Woźniak – prezes Zarządu Krakowskiego Oddziału TMLiKPW

Redakcja:

Piotr Boroń, Paweł Brzegowy, Jarosław Krasnodębski (Warszawa), Janusz M. Paluch (redaktor naczelny), Michał Piekarski (Warszawa), Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Natalia Tarkowska, Aleksandra Solarewicz (Wrocław), Antoni Wilgusiewicz (Katowice)

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

oraz www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/

UWAGA – ZMIANA ADRESU DO KORESPONDENCJI!

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie
skrytka pocztowa nr 176, ul. Wielopole 2, 31-045 Kraków, e-mail: cracovialeopolis@gmail.com

Informacje o kwartalniku CL: cracovialeopolis@gmail.com, tel. 608 155 693

Konto bankowe Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Przygotowanie do druku: FALL, Kraków, tel. 502 022 027, fall@fall.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania skrótów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Andrzej Chlipalski WSTĘPNIK DO NUMERU PIERWSZEGO <i>CRACOVIA LEOPOLIS</i>	1	Karolina Grodziska TOAST JÓZEFA FRIEDLEINA Z OKAZJI ODSŁONIĘCIA POMNIKA JANA III SOBIESKIEGO WE LWOWIE	61
Janusz M. Paluch NASZA KRÓTKA HISTORIA	3	Musica Leopoldis Michał Piekarski ANDRZEJ NIKOŁEMOWICZ – W 100.ROCZNICĘ URODZIN KOMPOZYTORA	64
Karol Chlipalski STRAŻNIK PAMIĘCI – WSPOMNIENIE O MOIM OJCU	5		
Janusz M. Paluch ROZMOWA Z ANDRZEJEM CHLIPALSKIM	14	Joanna Pacan-Świetlicka W STULECIE DEBIUTU JANA KIEPURY WE LWOWIE	68
Franciszek Jaworski W KAWIARNIANYM DYMIE	22	Antoni Wilgusiewicz UDZIAŁ KAPŁANÓW PRZYBYŁYCH Z ARCHIDIECEZJI LWOWSKIEJ W DZIAŁALNOŚCI DUSZPASTERSKIEJ DIECEZJI KATOWICKIEJ (PO 1945 R.)	72
Aleksandra Solarewicz DZIEWCZYNNKA Z KLEPAROWA	25		
Ulice Lwowa Franciszek Haber Z BATOREGO NA WAŁY HETMAŃSKIE I POBLIŻE	33	Janusz M. Paluch PROF. ZYGMUNT KOLENDA Jadwiga Sabadasz KUCHNIA LWOWSKA	76
Poezja Anna Frajlich UCIEC ZE LWOWA NIEZAPOMINAJKI (SAGA) SEN O LWOWIE	54	Jadwiga Halaubrenner Z LWOWSKICH PRZEDWOJENNYCH PRZEPISÓW	78
Anna Stengl HUBERTOWIE – MOJA RODZINA NA PODOLU	55	LISTY DO REDAKCJI	78